



Z. Zeydler Zborowski

S

pacier

po suficie

ISKRY

Zygmunt Zeydler-Zborowski

Spacer po suficie



ISKRY • WARSZAWA • 1957

Rozdział pierwszy SPACER PO SUFICIE

Gęste strumienie wody spływały po szerokim, nieprzemakalnym płaszczu, tworząc wokół zabłoconych sportowych butów brudną, ciemną kałużę.

Antoni nasunął na oczy targany wichrem kapelusz i rozejrzał się bezradnie wokół. Właściwie nie wiedział, co ma z sobą począć.

Miasto tonęło w ciemnościach, a ponury nastrój potęgował jeszcze ulewny deszcz, w którym roztapiały się czarne kontury milczących domów. Chłodny, przejmujący wiatr zacinał ostrymi kroplami w zmęczoną twarz podróżnego. Było zimno i bardzo nieprzyjemnie.

Poczuwszy, że woda poczyna się natarczywie przedostawać do lewego buta, Antoni westchnął, otarł szeroką chustką mokre policzki i dźwignąwszy z błota walizę, ruszył zrezygnowanym krokiem w głąb ciemnej, bezludnej ulicy. Trzeba było przecież zdobyć jakiś nocleg. Nie bardzo wiedział, po co przyjechał do tej miejsciny, ale nad tym nie czas się było teraz zastanawiać. Skoro już przeznaczenie zawiodło go do takiej dziury, to należało zorganizować sobie jakoś życie choćby na najbliższe godziny. Czuł zupełnie wyraźnie, że dłuższe przebywanie na wietrze i deszczu musiałby przyplacić monstualnym katarem. Wilgoć wdzierająca się bezceremonialnie do obuwia była objawem wysoce niepokojącym i pobudzała do energicznej akcji.

Błoto monotonna chlupało pod nogami, wiatr dzwonił o szyby pobliskich domów, a deszcz padał nieprzerwanie, zatrzymując się dużymi kroplami w załamaniach powyginanego fantastycznie kapelusza. Ciężka waliza z bezwzględny uporem ciągnęła zmęczone ramię ku dołowi.

Rozmiękła podeszwa ześliznęła się nagle po kamieniu i noga wędrowca ugrzęzła w jakiejś nierówności gruntu. Antoni

potknął się i o mało nie upadł. „Psiakrew” zaklął głośno, stawiając walizę w błocie. Otarł spocone czoło i odsapnął. Należało koniecznie zasięgnąć informacji. W ten sposób mógł krążyć po ulicach miasteczka do rana. Tuż obok widać było w ciemności uchyloną furtkę. W oknach niedużego domku błyszczało światło. Antoni wszedł do ogródka i po wąskiej ścieżce ruszył w kierunku oświetlonych okien. Po kilku stopniach dostał się na mały, ocieniony ganek i zastukał do drzwi. Cisza. Żadnej odpowiedzi. Zmoknięty podróżnik ponowił swe wysiłki. Wreszcie coś skrzypnęło, dały się słyszeć czyjeś ciężkie kroki i zabrzmiał ponury basowy głos.

– Kto tam?

– Podróżny. Chciałem prosić o informację – odparł Antoni, starając się tym słowom nadać możliwie miłe brzmienie.

Przez chwilę słychać było tylko jakieś niewyraźne pomruki, aż wreszcie zazgrzytały zasuwki, zadźwięczał łańcuch i drzwi się otworzyły, wyrzucając z wnętrza snop słabego światła. W mrocznym korytarzu stał wysoki brodaty mężczyzna w wyczekującej, jakby obronnej postawie. Jego pochylona ku przodowi duża głowa zdawała się węszyć niebezpieczeństwo.

– Najmocniej pana przepraszam – powiedział trochę nieśmiało Antoni – Jestem tutaj przejazdem i przypadkowo...

– Proszę wejść i zamknąć drzwi – mruknął brodac. – Zimno. Niech pan wytrze buty w tę ścierkę. Zabłoci mi pan całe mieszkanie.

Antoni posłusznie wykonał rozkaz i stanął zmieszany i niepewny.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Drzwi pchnięte silną ręką otworzyły się i znaleźli się w ciepłym i widnym pokoju. Nad stołem przykrytym kolorową serwetą wisiała duża lampa, pod ścianą stał kredens, na którym złościł się zegar z epoki pierwszego cesarstwa. Pod oknem niewielka kanapka i bujający fotel dopełniały umeblowania. Na ścianach wisiały fotografie rodzinne i dwa niezbyt wybredne oleodruki w złożonych ramach.

Antoni przyglądał zmierzwioną czuprynę i zwrócił się do człowieka z brodą:

– Pan pozwoli, że się przedstawię – powiedział już pewniejszym głosem. – Nazywam się Antoni Walton i podróżuję w celach wypoczynkowych. Bardzo przepraszam, że pana niepokoję, ale jestem po raz pierwszy w Farrow i nie mam pojęcia, gdzie mogę tu znaleźć nocleg.

Para szarych, przenikliwych oczu zlustrowała młodzieńca.

– Moje nazwisko Wilhelm Pings – zabrzmiał niechętny bas.
– Niech pan siada. Zaraz będzie herbata.

Antoni usiadł posłusznie na wskazanym krześle i rozglądając się, wyjął papierośnicę. Tymczasem mister Pings uchylił drzwi od sąsiedniego pokoju.

– Eli, Eli, chodź no tutaj. Mamy gościa.

– Już idę, tatusiu – rozległ się dźwięczny kobiecy głos i po chwili weszła młoda, może dwudziestoletnia dziewczyna. Twarz miała bladą, jakby rzeźbioną w alabastrze, okoloną gęstymi jasnobłond lokami. Rysy drobne, delikatne, niedokończone w rysunku, zdradzały dużą wrażliwość i nieśmiałość. Antoni wstał i skłonił się uprzejmie.

– Pani wybaczy – powiedział, nie wiadomo dlaczego bardzo cicho. – Przepraszam za takie bezceremonialne najście, ale...

Ciemne, zamyśnione oczy spojrzały na niego z pewnym roztargnieniem.

– Jesteśmy panu bardzo radzi. Proszę spocząć. Zaraz podam herbatę.

– Ależ serdecznie dziękuję. Nie chciałbym państwu robić kłopotu.

Dziewczyna pominęła ten wykrzyknik milczeniem i skinąwszy lekko głową, zniknęła za drzwiami. Po chwili dał się słyszeć brzęk wyjmowanych z szafy talerzy.

– Może pan tymczasem przejrzy gazetę? – zaproponował brodac, podając gościowi jakieś czasopismo.

Antoni odruchowo wyciągnął rękę. Wzrokiem jeszcze wodził w zamyśleniu po drzwiach, za którymi zniknęła dziewczyna. Wyczuwał instynktownie, że to spotkanie nie pozostanie dla niego bez znaczenia. Od paru minut zaledwie znajdował się tutaj, a jednak...

W tej chwili miss Eli znowu weszła i cicho nakryła do stołu.

Na widok apetycznych bułeczek, masła, sera i paru plasterków świeżej szynki Antoni poczuł, że jest naprawdę porządnie głodny. Zerkał też niespokojnie na przygotowania do kolacji, udając pogrążonego w lekturze.

Wreszcie błada dziewczyna wniosła na tacy trzy szklanki herbaty i swym równym, cichym głosem zaprosiła panów do stołu. Mister Pings podniósł się i wskazawszy miejsce gościowi, zabrał się w milczeniu do jedzenia, Antoni przygotował sobie sporą kromkę chleba z szynką, ale czuł, że wypada mu coś powiedzieć. Pragnął jakoś rozbić przytłaczającą atmosferę tego pokoju.

– Jestem doprawdy wzruszony gościnnością państwa – powiedział zagłębiając zęby w świeżym pieczywie. – Muszę się przyznać, że byłem już w rozpacz, brnąc w tych ciemnościach po błocie.

– Tu nie Londyn. Nie mamy zbyt jaskrawego oświetlenia – warknął niemal wrogo Pings.

Antoni spojrzał zdziwiony. W tej chwili pochwycił szybkie, niepewne spojrzenie Elizy.

– Czy można pani podać ser? – zapytał nagle.

– Bardzo proszę – szepnęła, nie podnosząc na niego oczu. Wydało mu się, że w głosie jej zabrzmiało coś jakby wdzięczność.

Jacyś dziwacznicy ludzie – pomyślał podsuwając talerz z serem. I nagle żal mu się zrobiło tej delikatnej, bladej dziewczyny, która musiała mieć ciężkie życie z ponurym, mrukliwym ojcem. Czas pewien jadł w milczeniu, systematycznie zaspokajając głód.

– Musi pan być bardzo zmęczony – powiedział niespodziewanie Pings, wycierając serwetą wargi i brodę. – Podróże są bardzo męczące.

– Tak. Jestem trochę zmęczony – odparł niewyraźnie Antoni, czując, że pod wpływem tych szarych, niezwykle przenikliwych oczu traci swą zwykłą pewność siebie. Brodacz popatrzył na niego uważnie.

– Chętnie przenocowalibyśmy pana u siebie, ale w jednym pokoju ja śpię, a drugi zajmuje moja córka, więc pan rozumie...

– Ależ, cóż znowu – przerwał żywo Antoni. – Nie miałem najmniejszego zamiaru prosić państwa o nocleg. Wstąpiłem tylko po to, aby zasięgnąć informacji, gdzie można przenocować. Jestem i tak bardzo zobowiązany za dowód gościnności. Nie będę się dłużej państwu narzucał.

Dziewczyna spojrzała na niego niespokojnie.

– Jeszcze bardzo wcześnie – powiedziała pośpiesznie. – Może pan przecież jeszcze chwilę u nas posiedzieć.

Pings wyjął z kieszeni fajkę.

– Żałuję, że nie mamy większego mieszkania – powiedział ponuro, nadając tym słowom nazbyt poważną intonację. – Ale cóż, jestem tylko nauczycielem matematyki w tutejszej szkole. Pan rozumie, nie zarabiam zbyt wiele. Tyle, żeby nie umrzeć z głodu. Trudno sobie pozwolić w tych warunkach na większe mieszkanie. Co prawda córka moja także pracuje, ale to wszystko nie wystarcza. Małe miasteczko, cóż można zdziałać w takiej dziurze jak Farrow. Powiada pan błoto, ciemno, brudno. No cóż, mój panie, to nie Londyn, to nie Londyn. Ale przecież i takim małym miasteczkiem nie należy pogardzać, prawda, panie Walton?

– Ależ oczywiście, oczywiście – zapewnił pośpiesznie Antoni, zaskoczony tym przemówieniem. – W nocy nie mogłem się zorientować, ale jestem przekonany, że mi się tu będzie bardzo podobać.

– Tak, tak – ciągnął dalej brodacz. – Każdy myśli, że tylko duże miasto, stolica, wielki świat, że to tylko jest coś warte, ale nie zawsze, nie zawsze. Różnie się życie ludziom układa, bardzo różnie. Nie można przecież powiedzieć, że na takie małe miasteczko nie warto już zupełnie zwracać uwagi. I tutaj przecież mogą się trafić ludzie wartościowi. Cóż, zapewne, żyłem kiedyś inaczej. Miałem żonę, byłem kimś, ale to minęło, żona moja nie lubiła mojej brody. Czy to nie jest śmieszne, mój panie, no niech pan sam powie, czy to nie jest śmieszne? Dlaczego ona właściwie nie lubiła mojej brody?

– Ależ tatusiu, pana Waltona wcale nie interesują te sprawy – przerwała pośpiesznie Eliza.

– Przeciwnie. Słucham z wielkim zainteresowaniem –

zapewnił Antoni.

Brodacz wyjął fajkę z zębów i ponuro zapatrzył się w czerniejące nocą okno.

– Skoro to nikogo nie interesuje, nie mówmy już o tym – mruknął niechętnie. Antoni był zły, że dziewczyna przerwała tę rozmowę.

– No, na mnie już czas – powiedział wstając. – Bardzo dziękuję i przepraszam za kłopot, jaki państwu mimo woli sprawiłem.

– Gdzież pan będzie nocował?

– Chyba tylko w gospodzie Darlena – odezwał się obojętnie brodac.

– Nie wiem, czy mister Walton zdecyduje się nocować u Darlena – powiedziała Eliza.

– A to dlaczego? – zainteresował się Antoni. – Nie jestem zbyt wybredny.

– Gospoda Darlena cieszy się złą opinią.

Antoni uśmiechnął się.

– Nie sądzę, żeby mi się mogło przytrafić coś złego przez jedną noc – powiedział wesoło. – Gdzież jest ten sławny zajazd?

– Pójdzie pan tą ulicą do końca, a potem na prawo – objaśnił Pings. – Niedaleko od szosy zobaczy pan duży murowany budynek, kryty czerwoną dachówką. To będzie gospoda Darlena.

– Ja bym panu jednak nie radziła – szepnęła Eliza.

– Niech pani będzie o mnie spokojna. Nie pozwolę się skrzywdzić.

– Proszę nie zwracać na nią uwagi – mruknął Pings. – Moja córka jest ogromnie przewrażliwiona.

Antoni raz jeszcze podziękował za gościnę, zabrał z przedpokoju swą walizę i po chwili zagłębił się ponownie w ciemność.

Idąc w dół błotnistą, mroczną ulicą, zastanawiał się nad tym wszystkim, co widział i słyszał przed chwilą. Już teraz nie żałował, że przyjechał do tego miasteczka. Może nareszcie zdobędzie temat do nowej powieści. Tajemniczy nauczyciel

matematyki był świetną postacią literacką. Wyczuwało się w tym człowieku jakąś ukrytą tragedię życiową, która rzucała ponury cień na niego samego i na tę biedną, wątłą dziewczynę. Błada twarz Elizy stała mu żywo przed oczami. Jej delikatna, niezwykle subtelna uroda miała w sobie coś niepokojącego i pociągającego zarazem. Nietrudno było odgadnąć, że córka Pingsa żyje w ciasnym, przytłaczającym ją kręgu wydarzeń, z którego nie umie się wyzwolić. Być może, iż ulegała całkowicie tyranii ojca, który nie robił wrażenia człowieka zbyt łatwego w pożyciu.

Deszcz padał teraz ze zdwojoną energią, a przejmujący wichur dął niemiłosiernie. To przerwało Antoniemu rozmyślenia na tematy literackie. Przyspieszył kroku, chcąc jak najprędzej dostać się do zbawczej gospody. Tajemnicze aluzje pod adresem zajazdu owego Darlena były niczym w porównaniu z panującą na dworze zawieruchą. Przypomniawszy sobie obawy Elizy, Antoni uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Nie miał przy sobie nic specjalnie cennego i nie obawiał się grabieży. Mimo woli dotknął rewolweru wsuniętego do tylnej kieszeni spodni. Ulica, na której mieszkał Pings z córką, wlokła się w nieskończoność. Wreszcie jednak w ciemnościach zamajaczył zapowiadany zakręt. Znużony wędrowiec ruszył na prawo z nową nadzieją w sercu.

Jeszcze kilometr forsownego marszu i rzeczywiście wyłoniły się niewyraźne kontury dużego budynku. Antoni przyspieszył kroku i dobywając resztek sił stanął przed gospodą Darlena. Wszystko tu tonęło w ciemnościach, tylko w jednym małym okienku błyskało słabe, anemiczne światło. Antoni odszukał z trudem drzwi i zakolał energicznie. Miał już dość świeżego powietrza. Stukanie odbiło się głuchym echem w ciemnościach. Cisza. Po kilku nieudanych próbach, aby się dostać do wnętrza, Antoni wspiał się na mur i uderzył pięścią w oświetlone okno. Po chwili otworzyła się mała szybka i ciemna głowa wychyliła się na zewnątrz.

– A czego tam? – rozległ się niezbyt zachęcający, schrypnięty głos.

- Szukam noclegu – zawołał Antoni. – Proszę otworzyć.
- Noclegu? – padło zdumione pytanie, jak by gospoda była miejscem najmniej odpowiednim do spędzenia nocy.
- No tak – zniecierpliwił się Antoni. – Niechże pan otwiera.
- A kto pan jest? Może z policji?
- Nie z żadnej policji. Jestem tutaj przejazdem. Niechże mnie pan wpuści, u licha. Nie będę przecież stał na deszczu.
- No dobrze.

Okno zamknęło się, a po chwili inne szyby również zapłonęły światłem. Rozległy się jakieś skomplikowane manipulacje przy drzwiach i niebawem Antoni znalazł się w dużej, słabo oświetlonej sieni. Woń stęchlizny i kiszzonej kapusty drażniła nieprzyjemnie nozdrza. W progu stał niski, krępy mężczyzna w długim, bardzo brudnym szlafroku. Na szerokiej, czerwonej twarzy błyszczały niespokojnie dwa małe czarne oczka.

- Pan pragnie u mnie przenocować?
- Antoni wykonał niecierpliwy gest.
- Oczywiście. Przecież chyba od tego jest gospoda?
- Od roku nikt tu u mnie nie nocował – mruknął Darlen.
- No to ja zrobię dobry początek. Mam nadzieję, że znajdzie pan jakieś łóżko.
- I nie boi się pan spać w mojej gospodzie?
- Czegóż miałbym się bać?
- Tutaj straszy – szepnął tajemniczo oberżysta, rozglądając się niespokojnie, jakby obawiał się, że go tajemniczy duch podsłuchuje.

Antoni, spojrzawszy na wystraszoną twarz grubasa, nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Panie Darlen – powiedział po chwili. – Niech mnie pan nie próbuje brać na tego rodzaju kawały. To może dobre dla miejscowego aptekarza, ale nie dla mnie. Chce mi się spać i proszę o pokój. Wasze duchy wcale mnie nie interesują.

Oberżysta zrobił obrażoną minę.

- To nie są kawały. U mnie naprawdę straszy od roku i zdaje mi się, że będę musiał opuścić te strony. Jak tak dalej pójdzie, nie będzie z czego żyć. Jestem, szanowny panie, w prawdziwej rozpacz.

– Dobrze, dobrze – przerwał niecierpliwie Antoni. – A ja jestem potwornie zmęczony i nie mam ochoty w tej chwili wysłuchiwać tych głupstw.

– Jak pan uważa. – Oberżysta wzruszył ramionami i skierował się w głąb korytarza. – Proszę za mną – dodał, widząc, że jego gość nie rusza się z miejsca.

Weszli do niedużego hallu, a następnie po stromych drewnianych schodach wygramolili się na górę. Darlen wetknął duży klucz w drzwi i zgrzytnął nim przeraźliwie w dawno nie oliwionym zamku. – Proszę.

Mdle światło słabej żarówki, umieszczonej pod sufitem, oświetlało dość duży, bardzo zaniedbany pokój. Niskie, szerokie łóżko było przykryte poźółkłą, dziurawą kapą. Duża szafa, stół na jednej nodze, ciężka umywalnia i parę koślawych krzeseł dopełniało umeblowania. Na ścianach wisiały stare sztychy i fotografie koni wyścigowych. Wszystko to było pokryte grubą warstwą kurzu, który unosił się przy każdym gwałtowniejszym ruchu.

– Nie jest tutaj zbyt czysto – mruknął Antoni, rozejrzawszy się po swym nowym apartamencie. Darlen skinął głową.

– Tak. Bardzo dawno tu nie sprzątano – przyznał szczerze. – Szkoda zachodu i tak nikt się u mnie nigdy nie zatrzymuje od tego czasu. – Westchnął i podrapał się w zamyśleniu za uchem.

Antoniego zaczęły już denerwować te niedopowiedzenia.

– O czymże wy właściwie mówicie, u diabła? – spytał, przyglądając się bacznie oberżystcie. – Nie chcecie przecież we mnie wmówić, że u was naprawdę straszy. Nie wyglądam chyba na chłopka ze wsi.

– Uchowaj Boże – zaprotestował żywo Darlen. – Od razu spostrzegłem, że mam przed sobą światowca i gentlemana. Nie chciałbym też pana dobrodzieja urazić, ale tutaj u mnie to rzeczywiście dzieją się dziwne rzeczy.

– Cóż to takiego się dzieje?

– Najgorsze są te spacery.

– Jakie spacery?

– Spacer po suficie.

Antoni spojrział na niego jak na wariata.

– Po suficie?

– A tak. Musiał pan chyba podróżować gdzieś za granicą, kiedy pan o tym wszystkim nie słyszał. Nawet już i gazety pisały.

– Rzeczywiście byłem jakiś czas we Francji – przyznał Antoni, sam nie wiedząc, dlaczego właściwie udziela oberżycie tak ścisłych informacji. – Więc jakżeż to jest z tym sufitem? Nic zupełnie nie rozumiem.

– Widzę, że muszę opowiedzieć panu wszystko od początku – mruknął zakłopotany oberżysta, wygładzając odruchowo kłapy swego poplamionego szlafroka.

– Tak będzie najlepiej.

– Ale może najpierw przyniosę panu gorącej herbaty. Jeszcze na pewno nie wystygła.

– Do diabła z herbatą. Mów pan o tym suficie.

– To było tak – zaczął swe opowiadanie oberżysta. – Osiem lat temu sprowadziłem się tu z całą rodziną do tego miasteczka. Założyłem restaurację, hotelik i powodziło mi się zupełnie nieźle, aż nagle... Ależ może ja rzeczywiście przyniosę herbaty.

– Zostawże pan tę herbatę – zniecierpliwiał się Antoni. – Co dalej?

– Pewnego wieczoru przed rokiem pokazały się po raz pierwszy te ślady.

– Jakie ślady?

– Na suficie. Przecież mówiłem.

– Jak to na suficie? Gdzie?

– W restauracji. W dużej sali restauracyjnej. Jakiś niewidzialny osobnik przechadzał się po suficie, pozostawiając po sobie ślady zabłoconych, ciężkich butów. Jak moi goście to zobaczyli, oczywiście uciekli z wrzaskiem i od tego czasu nikt u mnie nie jada ani nikt się nie zatrzymuje na noc.

– Dziwne – szepnął Antoni. – Zupełnie nieprawdopodobne. I cóż pan zrobił?

– Chciałem ratować jakoś interes – westchnął Darlen. – Żaden malarz nie chciał nawet za wysokim wynagrodzeniem zamalować tego nieszczęsnego sufitu.

– I cóż dalej?

– Ano nic. Kupiłem farby i sam zamalowałem ślady.
– Nie bał się pan?
– Bałem się, ale co miałem robić. Wiedziałem, że czeka mnie ruina.

– No i co?

Oberżysta usiadł na krześle i potarł spocone czoło.

– I zamalowałem sufit, a po tygodniu znowu.

– Jak to znowu? – wykrzyknął Antoni.

– A tak, znowu te same ślady. Znowu ktoś w ubłoconych butach przechadzał się po suficie.

– Niesłychane. A potem? Co pan potem robił?

– Znowu zamalowałem sufit i od tej pory tak już ciągle.

– Ciągłe pojawiają się te ślady?

– Tak.

– I to tak często?

– Mniej więcej co tydzień. Najrzadziej co dziesięć dni. Ja maluję, a on sobie chodzi po suficie. Już i ksiądz święcił, i uczeni przyjeżdżali z Londynu, nic nie pomaga. Co ja zamaluję, to za tydzień znowu to samo.

– Nic nie rozumiem z tego wszystkiego – mruknął Antoni. – A policja tu była?

– Na szczęście jeszcze nie.

– Dlaczego mówi pan na szczęście?

Darlen podrapał się za uchem.

– Bo ja to już jestem taki, że wolę zobaczyć ducha niż policjanta – powiedział z uśmiechem.

– Ach tak. Jednakże to dziwne, że dotychczas nie zainteresowała się tym policja.

Oberżysta machnął ręką.

– Cóż pan chce. Panowie ze Scotland Yardu nie przyjadą do takiej dziury, żeby podziwiać ducha spacerującego po suficie. A miejscowa policja była, popatrzyła i poszła. Zresztą nic się właściwie złego nie stało. Nikt nie został zamordowany ani ograbiony, więc...

– Tak, tak – mruknął jakby do siebie Antoni. – Mister Darlen – powiedział nagle, jakby sobie coś przypominając. – O ile się nie mylę, to powiedział pan, że najgorsze są te spacerunki po

suficie.

– Tak.

– To znaczy, że zdarzają się też i inne niezwykle rzeczy.

– Oczywiście.

– Na przykład co takiego?

– Samochód.

– Jaki samochód?

– Czasami zajżdża tutaj tajemniczy samochód. Duża szara limuzyna, z zapuszczonymi firankami.

– Cóż w tym niby dziwnego, że przyjeżdża samochód?

– Tak, ale nikt z tego samochodu nie wysiada.

– Nikt nie wysiada?

– Właśnie przyjeżdża ta limuzyna, postoi czasem godzinę, a czasami dłużej i nikt z niej nie wysiada ani nikt do niej nie wsiada.

– I co dalej?

– Nic. Samochód najspokojniej odjeżdża.

– I gdzie pojawia się to tajemnicze auto?

– Tutaj niedaleko na szosie. Jakieś dwieście, trzysta metrów od mojego domu.

Antoni zapalił papierosa.

– Hm – mruknął, zaciągając się dymem. – Naopowiadał mi pan nadzwyczajnych historii. Kto wie, czy osobiście się tym nie zainteresuję.

– Gdyby pan zdołał wynaleźć jakiś sposób na tego tam, co łązi po suficie, to...

– To co?

– To dopuściłbym pana do spółki na 50%. Niech mi pan wierzy, że przedtem to był złoty interes.

Antoni uśmiechnął się.

– Chętnie panu wierzę – powiedział, spoglądając w okno. – Ale mnie nie interesuje prowadzenie restauracji. Jeśli się zajmę tą sprawą, to zupełnie z innych względów.

Darlen popatrzał na niego z niedowierzaniem. Nie mógł pojąć, jak człowiek rozsądny może zrezygnować z tak korzystnej propozycji. Nie podnosił już jednakże tego tematu i zaczął szykować się do odejścia.

– Jeszcze jedno – rzucił Antoni, widząc że oberżysta kieruje się ku drzwiom. – Chciałbym wiedzieć, czy ma pan tutaj jakichś wrogów osobistych.

– Ależ uchowaj Boże. Żyję ze wszystkimi mieszkańcami w najlepszej zgodzie i przyjaźni. Nikt się nie może na mnie uskarżać. Zawsze chętnie dawałem na kredyt, jeżeli oczywiście klient był pewny. Nie rozumiem, dlaczego pan pyta o takie rzeczy.

– Ach nic. Tak mi coś nagle przyszło na myśl Nic ważnego. Niech mi pan jeszcze powie, mister Darlen, kiedy ostatnio zamalował pan w tej sali ślady na suficie.

Oberżysta pomyślał chwilę.

– W zeszłym tygodniu. Jakies pięć, sześć dni temu – odparł.

– All right. Czy mógłby mi pan pokazać tę salę restauracyjną?

– Teraz? O tej porze?

Antoni uśmiechnął się.

– Właśnie teraz, o tej porze. Niech się pan nie przeraża. Zaręczam panu, że osobnik, który z takim wdziękiem przechadza się po suficie, nie zrobi nam nic złego.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Idziemy.

Oberżysta bardzo niechętnie ruszył przodem, świecąc sobie po drodze latarką elektryczną. Gdy byli już na dole, zatrzymał się niezdecydowany, jakby się nad czymś zastanawiał.

– A może byśmy odłożyli to do jutra – powiedział cicho. – Tak po nocy...

– Nie bój się, przyjacielu. Jazda.

Ażeby dostać się do restauracji, trzeba było wyjść na dwór. Połączenia wewnętrznego nie było.

– Zamurował pan przejście – powiedział Antoni, spostrzegłszy ślady niedawnych robót murarskich.

Oberżysta skinął głową.

– Tak, wołałem się trochę odgrodzić.

– Sądzę, że dla ducha mur nie jest przeszkodą – zaśmiał się Antoni.

– Tak. Ale zawsze jakoś człowiekowi przyjemniej.

Weszli do dużej, mrocznej sali i Antoni wyczuł, że Darlen

chowa się na wszelki wypadek za jego plecami.

– Zapal pan światło.

Oberżysta odnalazł wyłącznik i snop jaskrawego światła trysnął z dużego, ciężkiego żyrandola.

– Tam, tam – zawołał zdławionym głosem Darlen. – Widzi pan? Widzi pan? Tam, znowu.

Antoni spojrział i poczuł się dziwnie nieswojo. Na świeżo wybielonym suficie widać było zupełnie wyraźnie ślady ciężkich, zabłoconych butów. Sala restauracyjna była duża i bardzo wysoka.

– Chodźmy – powiedział Antoni i wydało mu się, że jego własny głos zabrzmiał jakoś nienaturalnie. Darlen pośpiesznie skierował się ku drzwiom.

Deszcz przestał padać, ale wicher przybrał jeszcze na sile.

Tego wieczoru Antoni już więcej nie rozmawiał z oberżystą. Wsunął się do chłodnej, trochę wilgotnej pościeli i odprawivszy pośpiesznie Darlena, pograżył się w zadumie. Czuł się właściwie bardzo głupio. Jeszcze pół godziny temu śmiał się z dziwacznych opowieści tego grubego poczciwca, a jednak to, co zobaczył na własne oczy, było przecież faktem niezaprzeczonem. Nie znajdował się pod wpływem alkoholu ani też nie miał gorączki. Nawal sprzecznych myśli wirował mu po głowie i pomimo zmęczenia nie mógł od razu zasnąć. Na razie trudno mu było właściwie zdać sobie sprawę z tego, co widział i słyszał tego wieczoru. Na pozór sytuacja była najzupełniej banalna i bardzo zakrawała na jakąś powieść niesamowito-sensacyjną. Stara, opuszczona gospoda, w której straszy, to tematyka wykorzystywana już wielokrotnie w literaturze, teatrze i filmie. Ale jednak ślady na suficie widział na własne oczy i to się nie dawało zaprzeczyć. Należało gruntownie zbadać całą sprawę. Antoni nie wierzył w życie pozagrobowe, ale jednocześnie nie mógł sobie stworzyć w tym wypadku jakiejś rozsądnej teorii, która by miała chociaż pozory prawdopodobieństwa. Co to były za ślady i komu mogło zależeć ewentualnie na straszaniu spokojnych mieszkańców tego cichego miasteczka? Postanowił stanowczo pozostać tutaj dłużej. Czuł, że zdobędzie materiał, jeśli nie do powieści, to

przynajmniej do ciekawych felietonów. W jakim stopniu wpłynęło na tę decyzję spotkanie z Elizą, trudno by było na razie osądzić, a i sam Antoni nie uświadamiał sobie jeszcze tego należycie.

Poczuł, że jest straszliwie zmęczony. Ostatnim wysiłkiem zgasił światło i natychmiast zasnął.

Zbudził się wśród nocy z przeświadczeniem, że ktoś wszedł do jego pokoju. W jednej chwili otrząsnął z siebie resztki snu. Wydarzenia wieczoru przemknęły mu błyskawicą przez rozgorączkowany mózg. Ostrożnie sięgnął po rewolwer, który przed zaśnięciem wsunął pod poduszkę, i zapalił światło. Pokój był pusty i cichy. Antoni wyszedł z łóżka, a poczuwszy pod stopami chłodną podłogę oprzytomniał zupełnie.

– Do licha, zaczynam ulegać jakimś sugestiom – mruknął niezadowolony z siebie. Sprawdził drzwi, obszukał na wszelki wypadek wszystkie kąty, a nie znalazłszy nic podejrzanego, wrócił pod kołdrę. Był zły, że zaczynał poddawać się głupiemu zdenerwowaniu. Przewracał się dłuższy czas z boku na bok, zanim zdołał usnąć ponownie.

Z rana zbudziło go dyskretne stukanie do drzwi. Antoni przetarł oczy, przegarnął palcami zmierzwioną czuprynę i spojrzawszy niechętnie na niewidocznego intruza, wstał i przekręcił klucz w zamku. Wszedł Darlen, niosąc na tacy śniadanie. Takiego efektu Antoni nie spodziewał się wcale. Najwidoczniej oberżysta wszelkimi siłami pragnął sobie pozyskać gościa do walki z tajemniczym duchem. Tak czy inaczej, smakowicie wyglądająca jajecznica nie była do pogardzenia.

– Jakże się panu spało? – spytał grubas, ustawiając śniadanie na małym stoliku. – Mam nadzieję, że dobrze pan u nas wypoczął.

– Doskonale – skłamał Antoni. – Spałem całą noc jak zabity.

– Tak, tak. A ja, wie pan, nie bardzo spałem. Ciągłe mi się wydawało, że ktoś łązi po domu.

Antoni spojrział z pewną niechęcią na Darleną. Z nastaniem dnia wszystko było jakieś prostsze i mniej tajemnicze. Nie miał też ochoty wprowadzać się znowu w te niesamowite nastroje.

– Chciałbym pana jeszcze o coś zapytać – powiedział, smarując bułkę świeżym, pachnącym masłem.

Oberżysta pochylił się ku przodowi.

– Słucham?

– Czy przypadkowo nie zauważył pan, że to tajemnicze auto, o którym pan wczoraj wspominał, zatrzymuje się w tych stronach wtedy, kiedy ukazują się ślady na suficie?

Grubas zastanowił się przez chwilę.

– To zależy – powiedział powoli. – Czasami tak, a czasami nie. Na przykład wczoraj nie widziałem przez cały dzień szarej limuzyny. Ale co też pan ma na myśli? Jestem zaskoczony tym pytaniem.

– Ach, nic takiego – mruknął obojętnie Antoni i sięgnął po kubek z kawą. – Tak sobie rozważam rozmaite możliwości.

– Czy przypuszcza pan, że zdoła pan wyjaśnić te niesamowite zjawiska? – spytał niespokojnie oberżysta.

Antoni uśmiechnął się.

– Nie jestem ani detektywem, ani nie zajmuję się naukami tajemnymi. Nie może więc pan bardzo liczyć na moją pomoc. Jednakże interesuje mnie to wszystko i chciałbym dojść do pewnych rezultatów. Czy będę mógł się u pana zatrzymać przez kilka dni?

– Jak długo pan tylko zechce, mister... mister...

– Walton. Nazywam się Antoni Walton.

– Tak jest, mister Walton. Może pan u mnie przebywać, jak długo pan zechce. Będę bardzo szczęśliwy mogąc pana gościć u siebie. Jest pan przecież pierwszym mym gościem od przeszło roku. Więc jeżeli pan tylko chce i... i...

– I nie boi się – uzupełnił z uśmiechem Antom.

– Tak, właśnie. Coś takiego miałem na myśli.

– Nie, panie Darlen, nie boję się tego jegomościa spacerującego po suficie i zamieszkał u pana.

Oberżysta skłonił się uprzejmie. Antoni poklepał przyjacielsko grubasa po ramieniu.

– A więc załatwione – powiedział wesoło. – Zostaję tutaj i mam nadzieję, że nie policzy mi pan zbyt drogo za ten pokój.

– Ach, mister Walton, jakżeż pan może nawet przypuszczać

take rzeczy – zawołał pośpiesznie Darlen. – Gdzież bym śmiał.

Antoni sięgnął po papierosy.

– Jeszcze jedna sprawa – mruknął, widząc, że oberżysta ustawia na tacy naczynia i zabiera się do odejścia. – Czy nigdy nie pokusił się pan o to, żeby zajrzeć do tego tajemniczego samochodu?

Darlen spojrzał na niego jak na wariata.

– Nie, nigdy nie przyszło mi to na myśl.

– A tutejszy policjant nie zainteresował się tą sprawą?

– Policjant to przecież także człowiek.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że policjant także się boi, mister Walton.

– Ach tak – zaśmiał się Antoni. – No, ma pan rację. Nie wziąłem tego pod uwagę.

– Niech się pan nie śmieje – obruszył się oberżysta. – Każdy człowiek chce żyć.

– Ależ proszę się nie gniewać. Rozumiem to doskonale. Nie chciałem pana urazić. Jednak jeśli pan zauważy to tajemnicze auto, to proszę zaraz mnie zawiadomić. Chciałbym się zobaczyć z szoferem.

– All right. Jak pan sobie życzy. – Darlen zebrał starannie resztki śniadania i wyszedł, zamykając cicho drzwi za sobą.

Pozostawszy sam, Antoni zgasił papierosa i wyciągnął się z przyjemnością w ciepłym łóżku. Był rozleniwiony po obfitym śniadaniu i czuł, że ogarnia go senność. Myśl jednakże pracowała intensywnie, nie dając usnąć. Cała ta tajemnicza historia zaczynała go naprawdę intrygować. Słyszał wielokrotnie o tym, że jacyś zbrodniarze posługiwali się „duchami” dla swych celów, wykorzystując głupotę ludzką. W tym wypadku jednak trudno się było czegoś takiego dopatrzeć. Komu mogło zależeć na tym, ażeby gospodę Darlena otoczyć atmosferą niesamowitości? Jakiejż to trzeba było wytrwałości, ażeby przez rok straszyć systematycznie. A poza tym spacerowanie po suficie nie należało do rzeczy najprostszych. Restauracja Darlena była dobrze zamknięta i już samo przedostanie się do wnętrza przedstawiało duże trudności. Czyżby naprawdę należało przyjąć możliwość jakichś sił nadprzyrodzonych? An-

toni sięgnął po nowego papierosa i obracając go w palcach, zastanawiał się dłuższą chwilę. Wreszcie zrezygnował z palenia, wstał i począł się pośpiesznie ubierać. W pokoju było bardzo zimno.

Za oknem szarym blaskiem kołysał się smutny jesienny dzień. Drobnym, uporczywym deszczem mżył jednostajnie. Chłodny wiatr uderzał ostrymi kroplami o szyby i z nagich drzew strącał resztki pożółkłych liści. Ponad mokrymi dachami brudnych domów chyliło się zadymione mgłą, ponure niebo. Poprzez zalane wodą ulice podążali skuleni, okryci gumowymi płaszczami przechodnie. Szerokie skrzydła czarnych parasoli lśniły gładką powierzchnią.

Antoni zapatrzył się w niewesoły krajobraz. Właściwie najchętniej wróciłby do Londynu zamiast siedzieć w tej zabłoconej dziurze, ale ciekawość kazała mu uzbroić się w cierpliwość. To, co tu usłyszał i widział, stanowczo zasługiwało na uwagę.

Okolo południa czekała go niezbyt miła niespodzianka. Musiał zapoznać się z całą rodziną oberżysty. Darlen najwidoczniej był dumny ze swego gościa i nie mógł sobie odmówić tej przyjemności, aby się nim pochwalić przed żoną i dziećmi. Madame Darlen była, w przeciwieństwie do męża, wysoką, kościstą kobietą o podłużnej końskiej twarzy, na której dominował duży, drapieżnie zagięty nos. Mocno zarysowana dolna szczęka nadawała całej postaci wyraz siły i zdecydowania. Okrągłe, czarne oczy, osadzone dość blisko nosa, patrzyły poważnie, a nawet ponuro. Jeżeli ktoś szukał wdzięku i kobiecości, to na pewno nie znalazł tego u żony grubego oberżysty. Młody Patrick Darlen, dwudziestoparoletni chłopak, posiadał kościstą budowę matki, był barczysty i muskularny. Nie lubił dużo mówić. Spoglądał spode łba i robił wrażenie bardzo nieśmiałego. Natomiast młodsza jego siostra Klara paplała bez przerwy. Odziedziczyła po ojcu pełne kształty, a jej okrągła, czerwona twarz przypominała duży dojrzały pomidor. Przy najlepszych chęciach nie można jej było nazwać ładną, ale była bardzo żywa i posiadała o wiele więcej przyrodzonego wdzięku niż jej matka. Z natarczywą ciekawością przyglądała

się Antoniemu, starając się wszystkimi możliwymi sposobami zwrócić na siebie uwagę eleganckiego młodzieńca. Darlen zaprowadził swego gościa do najbardziej reprezentacyjnego pokoju, gdzie na szerokiej otomanie siedziała rzędem cała jego rodzina. Antoni w pierwszej chwili odniósł wrażenie, że znalazł się przed dużą rodzinną fotografią, sporządzoną z okazji imienin lub ślubu. Uśmiechnął się i złożony uprzejmy ukłon przedstawił się pani domu.

– Jakżeż się pan czuje w naszym mieście? – spytała oschle Darlenowa, mierząc gościa badawczym spojrzeniem.

– Doskonale. Ogromnie mi się tu podoba – odparł swobodnie Antoni, ubawiony tą całą dziwną sytuacją.

– Właśnie mister Walton obiecał nam dopomóc w naszych kłopotach – pośpiesznie wtrącił się do rozmowy Darlen, jak by się obawiał, że później może nie być dopuszczony do głosu.

– Za bardzo ojciec przejmuje się tymi duchami – mruknął Darlen junior. Antoni spojrzał na niego trochę zdziwiony.

– W każdym razie jesteśmy panu bardzo zobowiązani – powiedziała Darlenowa, ale w głosie jej nie czuć było najmniejszego entuzjazmu.

– Małżonek pani stanowczo przecenia moje możliwości – zauważył skromnie Antoni. – Po prostu zainteresowałem się, jako literat, tą całą historią, ale nie sądzę, żebym potrafił coś tutaj zdziałać...

– Jestem pewien, że przy pańskiej pomocy zdołamy jakoś to wszystko wyjaśnić! – zawołał Darlen. Antoniemu wydało się, że grubas rzucił żonie porozumiewawcze spojrzenie.

– Miejmy nadzieję, że to się jakoś ułoży – powiedziała koścista kobieta. – Klaro – zwróciła się do córki – przynieś nam wina.

– Ach, po cóż ten kłopot – uśmiechnął się Antoni.

– To żaden kłopot. Musi pan skosztować kieliszek naszego wina.

Po chwili wróciła Klara niosąc ostrożnie pękata, omszałą butelkę. Darlen pośpiesznie wyjął z kredensu kieliszki. Antoni stwierdził ze zdziwieniem, że trunek jest stary i wysokogatunkowy. Znał się na tym.

– Rzeczywiście wyśmienite wino – powiedział z przekonaniem, zanurzając wargi w gęstym, aromatycznym płynie. – Widzę, że warto tutaj posiedzieć.

– Mamy kilka niezłych buteleczek w piwnicy dla specjalnych gości – zaśmiał się Darlen. – Zostało jeszcze coś niecoś ze starych zapasów.

Klara chciała sobie powtórnie napełnić kieliszek. Matka stanowczo odebrała jej butelkę.

– Młode panny nie piją alkoholu – powiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Dziewczyna zaczerwieniła się gwałtownie i spojrzała przelotnie na Antoniego.

– Niech się mama o nią nie boi. Może wypić – wtrącił się niespodziewanie ponury Patrick.

Darlenowa zgromiła syna spojrzeniem.

– Niech mi pan powie – zwrócił się do młodzieńca Antoni, pragnąc nie dopuścić do rodzinnej scysji. – Czy i pan także widział kiedyś ten tajemniczy samochód?

– Oczywiście – odparł młody Darlen, łypnąwszy niechętnie na matkę. – Każdy z nas widział to szare auto.

– Jak ono wyglądało?

– Duże, bardzo eleganckie, szarego koloru. W oknach są zawsze zapuszczone ciemne firanki.

– Tak, ciemne firanki – powtórzył w zamyśleniu Antoni – Czy pan nigdy nie próbował zajrzeć do tego samochodu? Przekonać się, kto wewnątrz siedzi?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Wolę się tam w takie sprawy nie wdawać. Jeszcze mi co łeb ukręci. Co to można wiedzieć.

– Mam do pana prośbę – powiedział wolno Antoni. – Gdyby pan przypadkiem zauważył tę limuzynę, proszę mnie zawiadomić. Dobrze?

– Bardzo chętnie, jeżeli to pana interesuje.

– Ogromnie mnie interesuje. Niech pan nie zapomni.

– Dobrze.

Antoni jeszcze chwilę porozmawiał z rodziną Darlenów, a następnie pożegnał się i wyszedł. Chciał przy świetle dziennym

zorientować się trochę w sytuacji.

Obszedł dokoła cały dom, obejrzał uważnie z zewnątrz salę restauracyjną, a przekonawszy się, że nigdzie nie ma jakiegoś ukrytego wejścia czy choćby zamaskowanego otworu, począł szczegółowo badać grunt w pobliżu budynku. Postanowił zabawić się w detektywa. Jednakże pomimo najszczerzych chęci nic ciekawego nie zdołał odkryć. Deszcz przecież padał całą noc i gdyby nawet ktoś kręcił się w pobliżu, to i tak wszelkie ślady musiałyby ulec zatarciu.

Tak więc te wstępne badania nie dały na razie żadnych wyników. Antoniemu nic takiego nie wpadło w oko, co by mogło skierować myśl na jakieś realne tory. Zniechęcony wrócił do domu i postanowił zainteresować się obiadem. Rozmowa z Darlenami oraz ten spacerek zaostrzyły mu znakomicie apetyt.

Oberżysta szukał go właśnie. Antoni, nie mając już nastroju do towarzyskich rozmówek, kazał sobie podać obiad do pokoju i posiliwszy się należycie, począł się zastanawiać nad tym, co mu w dalszym ciągu czynić wypada. Nie miał wielkiej ochoty siedzieć do wieczora w chłodnym, wypełnionym wonią stęchlizny pokoju, a ponieważ deszcz przestał padać, postanowił odbyć spacer po miasteczku. Miał nadzieję, że może poza domem Darlenów zdobędzie jeszcze jakieś ciekawe wiadomości odnośnie tajemniczych spacerów po suficie. Powziąwszy to postanowienie, włożył płaszcz i wyszedł, zamykając drzwi na klucz. Na wszelki wypadek wolał zabezpieczyć swoją walizę.

Przed domem spotkał młodego Darlena, który rozmawiał z ożywieniem z jakimś tęgim mężczyzną. Na widok nowego lokatora chłopak zamilkł i zrobił taki ruch, jak by się chciał uklonić. Antoni uśmiechnął się, pchnął masywną, okutą furtkę i wyszedł na ulicę.

Deszczowa woda lśniła ciemnymi kałużami na nierównym bruku. Wiatr strącał z niewielkich drzew chłodne krople, które błyszczały na zeschniętych liściach. Zapach błota mieszał się z wonią gnijącej w pobliskich ogródkach roślinności

Antoni zsunął kapelusz na tył głowy i pogwizdując cicho

jakaś melodię, szedł dużymi krokami, wciągając z zadowoleniem w płuca orzeźwiające, wilgotne powietrze. Był bardzo rad, że chociaż na chwilę wydostał się z tej ponurej gospody. Mógł wprawdzie obecnie poszukać sobie przyjemniejszego schronienia, ale wołał już być w pobliżu tych niesamowitych zjawisk. Jeśli już postanowił zainteresować się tą sprawą, trzeba było ponosić konsekwencje swej decyzji.

Na zakręcie wpadł z rozpędem na jakąś kobietę.

– Ach, przepraszam panią najmocniej – powiedział uchylając pośpiesznie kapelusza.

– Nic nie szkodzi.

Antoni drgnął i spojrzał uważnie. Tuż przed sobą zobaczył bladą twarz Elizy Pings.

– To pani? Bardzo panią przepraszam. Byłem taki zamyślony. Czy nie potrąciłem panią zbyt mocno?

– O nie. Przestraszył mnie pan tylko trochę.

– Jestem niepokieszony i przepraszam jeszcze raz.

– Drobnostka. Nie ma o czym mówić. Jakżeż pan spędził dzisiejszą noc? Gdzie znalazł pan nocleg?

– W gospodzie Darlena.

– Doprawdy? No i?

– No i nic. Wyspałem się doskonale.

– Zapewne pan nie wie, że...

– Wiem, wiem – zapewnił żywo Antoni. – Wiem o spacerach po suficie i o tajemniczym samochodzie.

– I mimo to nocował pan tam?

– Tak, nie miałem przecież właściwie innego wyboru, a poza tym dostałem dość przyzwoity pokój.

– Tak – szepnęła Eliza. – Mogłam się tego spodziewać. Żałuję, że nie przenocowaliśmy pana u siebie.

Antoni zaśmiał się.

– Dziękuję pani za troskliwość, ale doprawdy wyspałem się doskonale. Nie mogę narzekać.

Eliza spojrzała na niego ze smutkiem.

– Źle się stało, bardzo źle się stało. Żal mi pana.

Antoni popatrzał na nią zdumiony. Czyżby ta dziewczyna była niespełna rozumu – pomyślał mimo woli.

– O czym pani mówi? Nic nie rozumiem. Cóż to za miasto zagadek, to wasze Farrow?

– Niech pan nie żartuje. Może niepotrzebnie mówię z panem o tych sprawach, ale bardzo się boję, żeby panu nie przytrafiło się coś złego. Czuję się jak gdyby odpowiedzialna za pana.

Antoni uśmiechnął się.

– Czy to przypadkiem nie jest maleńka przesada?

– Ach, nie, nie. Przecież pan wczoraj wieczór zastukał do naszych drzwi, przecież pan nic nie wiedział o tym, że... Mógł być się pan ostatecznie przespać na podłodze, na sienniku. A teraz nie wiem doprawdy... Bardzo się boję. – Rozejrzała się trwoźnie wokół.

Ulica była w tej chwili zupełnie pusta. Tylko jakiś wychudzony koń ciągnął po błocie rozklekotany, skrzypiący wózek. Antoni z zacięciem przyjrzał się dziewczynie. Nie wiedział, co ma sądzić o tym wszystkim.

– Może wstąpimy tu na filiżankę kawy – powiedział, wskazując jakieś nieduże, świeżo pomalowane drzwi, nad którymi widniał wyblakły napis „Coffee-House”. – Będziemy tu mogli swobodnie porozmawiać.

– Dobrze – zgodziła się Eliza.

W mrocznej, małej salce nie było o tej porze nikogo. Zaspana kelnerka przyjęła z melancholijnym wyrazem twarzy zamówienie i pozęglowała w kierunku ukrytej za welwetową kotarą kuchni. Antoni wyjął z kieszeni płaszcza papierosnicę i poczęstował swą towarzyszkę. Eliza potrząsnęła głową.

– Dziękuję panu, nie palę – powiedziała cichym, nastrojowym głosem, jak gdyby te słowa były co najmniej jakimś miłosnym wyznaniem. Antoni zapalił papierosa i sięgnął po popielniczkę stojącą na sąsiednim stoliku.

– Może mi pani teraz wszystko dokładnie wytłumaczy – powiedział, wypuszczając dym nozdrzami. – Zaintrygowała mnie pani swymi niedomówieniami, więc chciałbym wiedzieć, o co właściwie chodzi.

– Właściwie nie jestem pewna, czy powinnam z panem o tym mówić, ale...

– Skoro zaczęła mnie pani intrygować, należy mi się teraz

wyjaśnienie – uśmiechnął się Antoni, którego zaczynała już bawić ta egzaltowana dziewczyna.

– Widzi pan – powiedziała Eliza – od roku dzieją się w naszym miasteczku dziwne rzeczy. Panu może się to wydawać śmieszne, ale sprawa gospody Darlena nie jest taka prosta. Niech pan nie sądzi, że ja jestem głupia, egzaltowana gęś.

– Ale cóż znowu.

– Może to tak na pozór wygląda, jeśli pobędzie pan jednak u nas dłużej, zmieni pan zdanie. Radziłabym panu z całego serca wyjechać stąd, i to wyjechać jak najprędzej.

– Dlaczego?

– Dlatego, że człowiek, który nocuje w gospodzie Darlena, nie żyje już potem długo.

– Darlen powiedział mi, że od roku nikt się u niego nie zatrzymuje.

– Darlen skłamał. Od owego wieczoru nocowało u niego trzech ludzi.

– No i co?

– Dwóch z nich już nie żyje. Z trzecim nie wiem, co się stało.

– Skąd pani ma te wiadomości?

– Z gazet. Czytuję pilnie prawie wszystkie czasopisma, jakie tylko mogę tu zdobyć.

Antoni w zamyśleniu strzepnął popiół z papierosa.

– Czy pani wie, kim byli ci ludzie?

– Tak. Jeden z nich był lekarzem, nazywał się Natan Herrington, drugi to jakiś kupiec z Londynu, Henry Torson, a trzeci Robert Bissinger. Nie wiem, czym się zajmuje.

– Skąd pani posiada tak dokładne wiadomości?

– Ach, u nas ludzie są bardzo ciekawi. My tutaj tak mało mamy atrakcji.

Antoni osłodził kawę, którą kelnerka przed nim postawiła, i popatrzał z roztargnieniem na czarny płyn.

– Więc pani twierdzi, że Herrington i ten Torson umarli?

– Tak. Widziałam wzmianki w gazetach o ich śmierci. Żaden z nich nie żył dłużej niż trzy miesiące po pobycie u Darlena.

– Hm. A czy nie sądzi pani, że jest to po prostu zbieg okoliczności? Przecież ci ludzie umarliby prawdopodobnie

niezależnie od tego, czy nocowali u Darlena, czy nie.

Eliza w zamyśleniu potrząsnęła głową.

– Można to sobie niewątpliwie w ten sposób tłumaczyć, ale niech mi pan wierzy, że poza śmiercią Herringtona i Torsona kryje się coś więcej. Nie potrafię naturalnie tego uzasadnić, ale czuję to zupełnie wyraźnie, że gospoda Darlena odegrała tu jakąś rolę. Niech pan wierzy mojej intuicji i niech pan stąd jak najprędzej wyjeżdża, mister Walton. Bardzo pana proszę. Jeśliby się panu miało, nie daj Boże, przytrafić coś złego, czułabym się współwinna.

Antoni delikatnie pogładził drobną dłoń dziewczyny.

– Niechże się pani tak nie sugeruje, Elizo. Zapewniam panią, że nic mi się nie stanie. Powinna pani trochę wyjechać gdzieś na odpoczynek. Tutejsza atmosfera fatalnie działa na pani nerwy.

– Ach, gdybym mogła, gdybym tylko mogła wydostać się stąd. O Boże! – zawołała z nagłym ożywieniem. – Tylko tego jednego pragnę z całej duszy.

– Cóż prostszego, jak sobie poszukać gdzie indziej zajęcia. Jestem pewny, że pani wszędzie znajdzie pracę.

Eliza nagle zgasła, a twarz jej jak gdyby poszarzała.

– Nie mówmy już o tym, to niemożliwe – szepnęła, odwracając głowę ku oknu.

Antoniemu zrobiło się jej żal. Chciał coś powiedzieć, ale na razie nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Wyczuwał instynktownie, że ta blada, na pozór spokojna twarz kryje za sobą jakąś tragiczną tajemnicę.

Czas jakiś milczeli. Wreszcie Eliza podniosła wzrok na swego towarzysza.

– Więc co pan postanowił? – spytała.

– Muszę się jeszcze zastanowić – odparł wymijająco Antoni.

– To wszystko bardzo mnie intryguje. Zapewne pozostanę tu jeszcze przez pewien czas.

– Jak pan uważa. Proszę jednak pamiętać, że pana ostrzegłam. – Wstała i skierowała się ku drzwiom. Antoni zapłacił pośpiesznie i dogonił ją już na ulicy. Był tym wszystkim niezwykle podniecony.

– Wolałabym, aby mnie pan nie odprowadzał do domu – powiedziała cicho. – Tutaj się pożegnamy.

– Jak pani sobie życzy – skłonił się Antoni. – Kiedy się znowu zobaczymy?

– Nie wiem. Może kiedyś przypadkiem.

– Przypuszcza pani, że znowu wpadniemy na siebie na tym zakręcie. Przyrzekam, że teraz będę uważniejszy.

Dziewczyna uśmiechnęła się błado.

– Do widzenia.

Antoni stał i patrzył za nią, dopóki nie zniknęła na zakręcie. Potem nasunął kapelusz na oczy i wolno powlókł się w kierunku gospody. Czuł się bardzo niewyraźnie. Nie mógł przecież dopuścić do tego, ażeby jakaś egzaltowana panienka z małego miasteczka miała wpływ na jego postanowienia. Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę z tego, że powoli poczyną poddawać się tej dziwacznej atmosferze, która jak wilgotna, nasiąknięta deszczem pajęczyna osnuwa się dookoła jego osoby. Postanowił za wszelką cenę zachować trzeźwość umysłu i nie pozwolić rozhulać się fantazji. Był pewny, że prędzej czy później trafi na jakiś ślad, który rzuci snop światła na te wszystkie tajemnicze historie. Opowieścią o śmierci klientów Darlena nie przejął się zbyt. Uważał to za zwykły zbieg okoliczności, który nerwowa dziewczyna wykorzystała dla stworzenia swej niesamowitej teorii.

Zapadał wczesny jesienny mrok. Wiatr potrząsał rytmicznie nagimi gałęziami drzew. Wilgotne, mgliste powietrze niemile łaskotało płuca. Poza mokrymi szybami poczynąły się pojawiać pierwsze światła.

Antoni szedł wolno, starając się odzyskać równowagę ducha. Gdy zbliżył się do gospody Darlena, posłyszał nagle niedaleki warkot motoru. Spojrzył z zainteresowaniem. Szosą sunęła szybko wielka szara limuzyna. Antoni poczuł, że krew mu zaczyna mocniej pulsować w skroniach. Puścił się pędem na przelaj przez posiadłość Darlena. Tajemniczy samochód zatrzymał się i reflektory zgasły. Antoni wydobył z kieszeni rewolwer i biegł dalej, ani na chwilę nie spuszczać z oczu szarej limuzyny. Widział zupełnie wyraźnie, że z auta nikt nie

wysiadł. Nareszcie dopadł szosy i w kilku skokach znalazł się przy samochodzie. Zaświecił latarkę i pośpiesznie zajrzał do wnętrza. Auto było puste. Antoni otarł zroszone potem czoło i rozejrzał się bezradnie. Nie wiedział, jak się ma zachować, co przedsięwziąć. Począł się z wolna wycofywać w kierunku gospody. Nagle posłyszał zupełnie wyraźnie swoje nazwisko. Wołał go Darlen. Przyśpieszył kroku i w progu natknął się na oberżystę.

– Co się stało? – spytał niepewnie.

– Jakiś pan przyjechał do pana.

– Do mnie? – zdumiał się Antoni.

– Tak. Wymienił pańskie nazwisko.

Antoni oszołomiony poszedł do siebie na górę. Drzwi były otwarte. Z krzesła podniósł się mężczyzna średniego wzrostu w nieprzemakalnym płaszczu.

– Jestem inspektorem Hawkins ze Scotland Yardu – powiedział sucho. – Czy pan nazywa się Antoni Walton?

– Tak.

– Czy wie pan, z czym przychodzę? – Nie mam pojęcia, panie inspektorze.

– Jest pan posądzony o zamordowanie Roberta Bissingera.

– O zamordowanie Roberta Bissingera? – powtórzył jak echo Antoni.

Rozdział drugi

DOKTOR GORDON POJAWIA SIĘ NA WIDOWNI

– Kto z państwa następny? Proszę.

Wysoki, rosły mężczyzna w znakomicie skrojonym garniturze podniósł się z wyściełanego krzesła i wszedł do gabinetu lekarza.

– Proszę, niech pan siada. Nazwisko pana?

– Bissinger.

– Imię?

– Robert.

– Ile pan ma lat?

– Czterdzieści pięć.

Gordon odłożył pióro i spojrzał bardzo uważnie na pacjenta.

– No dobrze – powiedział po chwili. – Co panu dolega?

– Jestem ostatnio okropnie zdenerwowany, panie doktorze – zawołał gwałtownie Bissinger. – Po prostu rady sobie dać nie mogę. To jest coś strasznego.

– I jakież są objawy tego zdenerwowania?

Pacjent pośpiesznie zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

– Bardzo źle sypiam, ręce mi się trzęsą, nie mogę spokojnie usiedzieć na miejscu, wszystko mnie drażni, łatwo wpadam w złość, staję się przykry dla otoczenia. W ogóle, panie doktorze, już tak dłużej żyć nie mogę.

Gordon spokojnie obserwował mówiącego, nie spuszczając oczu z jego twarzy.

– No tak – powiedział po chwili. – Zobaczymy. Proszę się rozebrać.

Bissinger nerwowo zrzucił z siebie ubranie i położył się na wąskiej ceratowej kanapce. Gordon badał pacjenta bardzo uważnie, polecając mu przybierać rozmaite pozycje. Wreszcie odłożył wszystkie przyrządy, podszedł do biurka i coś zanotował.

– Proszę, niech się pan ubierze. Nic u pana specjalnego nie znajduję. Organizm właściwie zupełnie w porządku. Serce pracuje prawidłowo. Poza niewielką nerwicą nie ma żadnych poważniejszych zmian. Nerwy rzeczywiście ma pan w bardzo złym stanie. Od jak dawna odczuwa pan to niezwykle zdenerwowanie?

– Mniej więcej od dwóch miesięcy, panie doktorze.

– Czy miewa pan uczucia niewytłumaczonego lęku?

– O tak. Bardzo często. Ostatnio nawet boję się spać w ciemnym pokoju i przez całą noc palę lampkę. To jest bardzo przykre. Nigdy nie byłem tchórzliwego usposobienia.

Gordon w zamyśleniu wodził ołówkiem po kartce białego papieru.

– Teraz niech mi pan powie, mister Bissinger, czy pan uświadamia sobie, dlaczego jest pan ostatnio tak bardzo zdenerwowany. Proszę o szczerą odpowiedź.

Zapytany zmieszał się i trwożnie spojrzął na doktora.

– Niech pan będzie zupełnie spokojny – uspokoił go Gordon.

– Nikt nas tu nie słyszy. To, co pan powie, nie wyjdzie nigdy poza ściany tego pokoju. Więc proszę o szczerą odpowiedź, czy pan wie o przyczynie swego zdenerwowania?

– Tak – powiedział cicho Bissinger.

– No więc cóż pana wyprowadza z równowagi?

Pacjent zapatrzył się w okno i milczał ponuro.

– Słucham pana – podjął po chwili Gordon. – Przecież powiedział pan, że zna pan przyczynę swego zdenerwowania.

– Tego nie mogę powiedzieć, panie doktorze. To są moje osobiste sprawy.

– Jak pan uważa, ale ostrzegam, że w takim razie niepotrzebnie pan do mnie przychodził. W tych warunkach nie potrafię panu pomóc. Lekarz jest w takich wypadkach jak spowiednik. Nie można mieć przed nim tajemnic.

– Nie mogę tego powiedzieć – mruknął z uporem Bissinger.

– Nie mogę.

– Ha, cóż, nie mam na to rady – uśmiechnął się Gordon. – Jak nie, to nie. Nie potrafię pana zmusić. Mogę panu najwyżej zapisać brom, walerianę lub adonis vernalis, ale te wszystkie

środki nie wpłyną zasadniczo na pańskie samopoczucie. Jeżeli pan nie chce zdradzić mi swej tajemnicy, musi pan sobie sam radzić.

Bissinger wstał i bez słowa wyszedł z gabinetu. W jego pochylonej postaci znać było rezygnację i zniechęcenie. Gordon popatrzał za nim przez chwilę. Był niezadowolony z siebie. Przyjął jeszcze trzech pacjentów, a następnie zadzwonił na Horacego i kazał sobie podać szklanekę gorącej herbaty i coś do jedzenia. Dopiero teraz przypomniał sobie, że w nawale zajęć zapomniał zjeść lunch.

Od wizyty Bissingera upłynęło kilka dni i Gordon z wolna zapomniał o tajemniczym pacjencie. Miał bardzo dużo pracy w szpitalu i u siebie w domu, a poza tym nie mógł całkowicie zaniedbywać swych obowiązków towarzyskich. Był bardzo lubiany i posiadał szerokie grono znajomych i przyjaciół. Nic też dziwnego, że często zapraszano go na bridża lub na dansingi. Wykręcał się, jak umiał, ale ostatecznie musiał od czasu do czasu znaleźć wolną chwilę dla przyjaciół.

Pewnego słonecznego popołudnia, gdy już drzwi się zamknęły za ostatnim pacjentem, zadzwonił gwałtownie telefon, wyrывая Gordona z głębokiej zadumy. Telefonował doktor Peters, prosząc swego kolegę na konsylium do pani Tollay, która uległa gwałtownemu atakowi nerwowemu.

Gordon, który miał zupełnie inne plany, skrzywił się, ale nie mógł odmówić swej pomocy przyjacielowi i obiecał, że przyjedzie.

Państwo Tollay mieszkali na drugim końcu miasta w dzielnicy willowej, toteż Gordon, nie tracąc czasu, kazał sobie sprowadzić taksówkę i zapakowawszy do teczki potrzebne narzędzia pośpiesznie wsiadł do samochodu.

Choroba pani Tollay okazała się typowym przypadkiem hysterii starzejącej się kobiety i konsylium lekarskie było najzupełniej zbyteczne. Mister Tollay był jednakże bogatym przemysłowcem i mógł sobie na to pozwolić, aby do swej żony wezwać najlepszych lekarzy. Nie omieszkał też powiedzieć z uśmiechem zadowolenia, że stać go na to, aby zapewnić żonie dobrą opiekę.

Doktor Peters, trochę speszony, przeproszał swego kolegę za to, że właściwie niepotrzebnie go niepokoił. — Drobnostka — uśmiechnął się Gordon. — Przewietrzę się trochę. To mi dobrze zrobi.

— Czy zamierzasz iść piechotą? — spytał Peters, widząc, że jego przyjaciel wymija postój taksówek.

— Tak. Trochę się przejdę. Prowadzę obecnie taki siedzący tryb życia, że trochę ruchu przyda mi się bardzo. Jak będziemy mieli dosyć spaceru, weźmiemy taksówkę. Trzeba korzystać z pogody.

— Tak, rzeczywiście, mamy dzisiaj niezwykle piękny dzień — przyznał Peters. — Dawno już nie widziałem w Londynie takiej pogody o tej porze roku.

Obaj lekarze szli wolno ulicą, rozmawiając o swych zawodowych sprawach i kłopotach. Peters był kolegą, uniwersyteckim Gordona, ale życie tak mu się układało, że praktykował dotychczas przeważnie na prowincji i dopiero od niedawna począł specjalizować się w chorobach nerwowych. Bardzo chętnie też korzystał z doświadczenia swego sławnego przyjaciela.

Jesienny dzień powoli gasnął. Szary, pełen melancholii mrok wypełzał z głębi ulicy i rozrastał się z każdą chwilą. W oknach domów poczynąły pojawiać się pierwsze światła. Leciutka, mlecznoszara mgła unosiła się ponad dachami. Z chwilą zniknięcia promieni słonecznych powiało chłodem i smutkiem.

— Czy znalazłeś już jakieś mieszkanie w Londynie? — spytał Gordon. Peters machnął niechętnie ręką.

— Gdzież tam, ciągle muszę dojeżdżać. To zupełnie beznadziejna sprawa.

Nagle z pobliskiej willi rozległ się przeraźliwy krzyk. Peters przystanął.

— Słyszysz — powiedział, chwytając przyjaciela za rękaw.

— Słyszę. Ktoś wzywa pomocy. Trzeba zobaczyć, co się stało.

Naprzeciw nich biegła przerażona, zadyszana kobieta.

— Doktora! Prędko doktora! — wołała, chwytając z trudem powietrze. — Mój biedny pan... Boże! Boże!

— Co się stało?! — zawołał Gordon, potrząsając za ramię na

wpół przytomną kobietę.

– Prędko, prędko, mój pan umiera! Mój pan umiera!

Peters i Gordon pobiegli w kierunku willi.

W dużej, wytwornie urządzonej sypialni na szerokim łóżku leżał nieruchomo jakiś mężczyzna. Twarz miał bladą, wykrzywioną przykrym, złowrogim grymasem. Peters pośpiesznie zabrał się do badania serca.

– Nie żyje – powiedział cicho.

Gordon spojrział uważnie na twarz nieboszczyka i nagle drgnął gwałtownie.

– Ależ to Bissinger – zawołał zdumiony.

– Znasz go?

– Tak. Widziałem go raz w życiu.

– Cóż teraz pocniemy? – mruknął trochę bezradnie Peters, spoglądając na szlochającą obok kobietę.

– Trzeba zaraz zawiadomić policję – powiedział Gordon. – Gdzie tutaj jest telefon?

– W hallu – odparła przez Izy.

– All right. – Doktor zbiegł na dół i natychmiast połączył się ze Scotland Yardem. – Chciałbym mówić z inspektorem Hawkinsem. – Po chwili połączono go z gabinetem inspektora.

– Słucham – rozległ się spokojny głos Hawkinsa. – Tu Hawkins.

– Mówi Gordon. Jestem przypadkowo w mieszkaniu niejakiego Bissingera. Może pan przyjedzie. Wydaje mi się, że znajdzie pan tu dla siebie zajęcie. Bissinger nie żyje.

W telefonie zapanowało milczenie, jak by połączenie zostało przerwane.

– Bissinger nie żyje? – jęknął zdławionym głosem Hawkins.

– Zaraz tam będę.

– Tak. Niech pan przyjeżdża. – Gordon podał dokładny adres i odłożył słuchawkę.

Był zaintrygowany dziwnym zachowaniem się inspektora. Wrócił wolno na górę i zapalił papierosa.

– Proszę tu nic nie ruszać – powiedział dość ostro, widząc, że zapłakana kobieta zabiera się do robienia porządków. – Zaraz przyjedzie policja. Niech pani tymczasem idzie do swego

pokoju i proszę się uspokoić. O ile się nie mylę, pani była gospodynią mister Bissingera? Czy tak?

– Tak, tak. To był bardzo zacyjny pan. Mój Boże, mój Boże.

– Dobrze już, dobrze. Proszę iść do siebie.

Gdy drzwi się za płaczącą kobietą zamknęły, Gordon zwrócił się do Petersa.

– Czy badałeś trupa? – spytał.

– Tak. Bardzo pobieżnie.

– Jaka, twoim zdaniem, była przyczyna śmierci tego człowieka?

– Serce. Anewryzm serca.

– Hm. – Gordon pokręcił głową z powątpiewaniem i począł dokładnie oglądać nieboszczyka. – Tak, tak – mruknął po chwili. – Dziwne, bardzo dziwne.

– Co cię tak dziwi? – zainteresował się Peters.

– Jeszcze nic konkretnego nie umiem powiedzieć. Zaczekajmy na Hawkinsa.

Usiedli i palili papierosy. W pewnej chwili Gordon wstał i znowu począł badawczo przyglądać się ciału. Twarz miał skupioną, brwi mocno ściągnięte. Zgasił papierosa i obszedł dookoła cały pokój, zaglądając w każdy kąt. Następnie wrócił na swoje miejsce i westchnął głęboko. Peters obserwował go z zainteresowaniem.

Po upływie niecałej godziny przyjechał Hawkins. Inspektor był bardzo podniecony i pędem wbiegł do sypialni Bissingera. Za nim pośpieszał z trudem małej doktor Prist.

– Co tu się stało? – spytał Hawkins, zwracając się do Gordona.

– Ano nic. Przechodziłem tędy z przyjacielem, gdy nagle posłyszeliśmy wołanie o pomoc. Jakaś przerażona kobieta wzywała lekarza. Weszliśmy do tego domu i zastaliśmy już tylko trupa. To wszystko.

Hawkins podszedł do łóżka i długo wpatrywał się w twarz umarłego. Mogło się zdawać, że pragnie dobrze sobie utrwalić w pamięci jego rysy. Wreszcie przesunął z wolna rękę po czole i zwrócił się do Gordona.

– Gdzie jest ta kobieta, która panów tutaj przywołała? –

spytał spokojnie.

– Zapewne gdzieś w dalszych pokojach. Wyprawiłem ją stąd, ponieważ miała zamiar zająć się dokładnym sprzątaniami.

Inspektor wyszedł i po chwili wrócił, prowadząc za sobą gospodynię Bissingera.

– Kiedy pani zauważyła, że mister Bissinger zasnął?

– Jak tylko wróciłam do domu.

– To pani wychodziła?

– Tak. Miałam dziś wolny dzień.

– Aha. I pan Bissinger był sam w domu?

– Tak.

– Czy spodziewał się czyichś odwiedzin?

– Nie wiem. Nic mi o tym nie wspominał.

– Jak dawno wróciła pani z miasta?

– Nie pamiętam dokładnie. Pewnie będzie już ze dwie godziny.

– Czy pan Bissinger wzywał panią?

– Nie.

– Pani sama weszła do jego sypialni, bez wezwania?

– Tak. Chciałam się przekonać, czy pan Bissinger jest w domu.

– Czy już nie żył, gdy pani tu weszła?

– Nie wiem. Tak się przeraziłam, że zaraz wybiegłam i wołałam o pomoc.

– Jeszcze jedno. Jak się pani nazywa?

– Katarzyna Heller.

– Na razie dziękuję. Może pani odejść. No i cóż, doktorze Prist? Jakżeż wygląda pańska diagnoza? – zwrócił się do staruszka, widząc, że ten już skończył oględziny zwłok i swoim zwyczajem przecierał dokładnie okulary.

– Śmierć nastąpiła na skutek ataku sercowego – mruknął niechętnie Prist. – Przynajmniej tak mi się na razie wydaje. Jeśli chcecie dokładnych wiadomości, trzeba przeprowadzić sekcję. – Stary usiadł i wytarł hałaśliwie nos.

– Ja również stwierdziłem aneurizm serca – wtrącił Peters.

– Pan także jest lekarzem?

– Tak.

– A pan co o tym sądzi? – zwrócił się inspektor do Gordona. Doktor pokręcił głową i pomyślał chwilę.

– Ta sprawa nie wydaje mi się taka prosta – powiedział z namysłem. – W każdym razie bardzo doradzam sekcję. Muszę panom powiedzieć, że ten Bissinger miał zupełnie zdrowe serce i trudno mi uwierzyć w ten nagły atak.

– Cóż pan może wiedzieć o jego sercu? – zdziwił się Hawkins.

– Bissinger był moim pacjentem.

– Ach tak. To dlatego zna pan jego nazwisko. Rzeczywiście, co za zbieg okoliczności. Jak dawno Bissinger leczył się u pana?

– Był u mnie tylko jeden raz.

– Więc to nie był pański stały pacjent?

– Nie.

Hawkins począł się nerwowo przechadzać po pokoju, rzucając od czasu do czasu badawcze spojrzenie w kierunku trupa. Wreszcie zapalił papierosa i zatrzymał się przed Gordonem.

– Niech mi pan powie, doktorze, co pana najbardziej zastanawia w tej całej sprawie? – zapytał.

Gordon pomyślał chwilę.

– Chyba ręce – odparł z wahaniem.

– Ręce? – zdumiał się inspektor. – Czyje ręce?

– No przecież nie pańskie ani moje – uśmiechnął się doktor.

– Mówię o rękach Bissingera.

– Cóż pan w nich zobaczył nadzwyczajnego?

– To, że są porządnie umyte.

– Niech pan nie żartuje, doktorze – zachnął się Hawkins, obrzucając Gordona niechętnym spojrzeniem. – Nie czas teraz na to.

– Wcale nie żartuję. Niech pan się dobrze przyjrzy rąkom nieboszczyka.

Hawkins zbliżył się do łóżka i przez chwilę przyglądał się badawczo nieruchomemu ciału.

– Nic nie widzę nadzwyczajnego – powiedział w końcu.

– Proszę zwrócić uwagę na to, że ręce są czysto umyte od łokci do dłoni, natomiast same dłonie są brudne.

– Rzeczywiście – przyznał inspektor. – Ma pan rację. Nie

zauważyłem tego w pierwszej chwili.

Gordon uśmiechnął się i wyjął papierosa.

– A widzi pan. Wynikałoby z tego, że Bissinger przed śmiercią umył sobie porządnie ręce do łokci, a następnie powalał dłonie. Czy to nieciekawe?

– Ależ panowie – przerwał doktor Prist. – O czymże wy mówicie? Czyż to ma jakiś sens? Szkoda naszego czasu. Ja się śpieszę.

– Dobrze – powiedział inspektor, nie zwracając uwagi na pogardliwy ton doktora. – Niech pan moim wozem wraca do Yardu i niech pan przyśle ludzi po ciało. Musimy bezwarunkowo zrobić sekcję. Chciałbym też, żeby tu przyjechał Rinc. Być może, że będzie mi potrzebny.

Staruszek pośpiesznie zapakował swoje instrumenty i wyszedł mrużąc coś ze złością pod nosem. W tej chwili Peters podniósł się z fotela.

– Ja także muszę już panów pożegnać. Mam jeszcze parę wizyt na mieście.

– Myślę, że niedługo się zobaczymy – powiedział Gordon, ściskając dłoń przyjaciela. – Zadzwoń do mnie w tych dniach.

– All right. Do widzenia. – Peters skłonił się Hawkinsowi i opuścił pokój.

Gdy inspektor pozostał sam z Gordonem, usiadł w głębokim fotelu i począł nerwowo trzeć dłonią podbródek.

– Panie doktorze – powiedział po dłuższej chwili. – Mam do pana wielką prośbę. Nie wiem tylko, czy mi pan nie odmówi.

– Słucham. O cóż to chodzi? – uśmiechnął się Gordon. – Wie pan przecież, że zawsze byłem bardzo dobrze do pana usposobiony. Może czasami pan niezbyt życzliwym okiem na mnie patrzył...

– Ale skądże znowu – zaprzeczył żywo Hawkins.

– Mniejsza o to zresztą. Bardzo chętnie zrobię coś dla pana, inspektorze.

– Chodzi o Bissingera.

– O Bissingera?

– Tak. Krótko mówiąc, chciałbym pana prosić o pomoc.

Gordon skrzywił się niechętnie.

– Wie pan przecież, inspektorze, że zerwałem z kryminalistyką. Mam teraz masę innej pracy.

– Tak, tak, wiem, oczywiście – pośpiesznie zapewnił Hawkins. – Ale przecież w sprawie Marvana także zgodził się pan interweniować.

– To było zupełnie co innego – mruknął Gordon.

Hawkins spojrzał niespokojnie.

– Panie doktorze – podjął po chwili. – Rzadko mi się zdarza prosić kogoś o coś, ale pana bardzo proszę, niech mi pan nie odmawia. Tutaj chodzi o moją reputację. Pan rozumie. Nigdy na żadnej sprawie tak mi nie zależało. Wiem doskonale, że jeśli mi pan nie pomoże, sam sobie nie dam rady.

– Przesada – uśmiechnął się Gordon. – Niechże pan nie obniża swych wartości.

– Panie doktorze, to nie żadna przesada. Wiem, co jestem wart w swoim fachu i pan wie także. Nie od dzisiaj się znamy. Ja posiadam dużą praktykę, rutynę, ale pan ma talent w tym kierunku, a talentu żadna praktyka nie zastąpi. Widzi pan, ja nie wierzę w ten atak sercowy u Bissmgera. To jest poważniejsza sprawa.

– Zobaczymy, co wykaże sekcja zwłok – powiedział rzeczowo Gordon.

– No dobrze, a jak sekcja nic nie wykaże?

– No to cóż... – Doktor zrobił nieokreślony gest.

– Jeśli nawet sekcja nic nie wykaże – zawołał Hawkins – to ja i tak nie będę miał pewności, że Bissinger umarł naturalną śmiercią. Czy pan mnie rozumie?

– Tak. Rozumiem pana.

– Więc jakże będzie, panie doktorze? Pomoże mi pan? Bardzo proszę. Niech pan mi nie odmawia.

Gordon pomyślał chwilę. Ogromnie nie miał ochoty wdawać się w tę sprawę, ale z drugiej strony trudno mu było odmówić inspektorowi. Zbyt często w swoim czasie dyskwalifikował jego posunięcia.

– Zgoda – powiedział wreszcie. – Zrobię, co będę mógł, aby panu pomóc, ale pod warunkiem, że będę występował w tej sprawie zupełnie nieoficjalnie.

– Naturalnie, naturalnie – zawołał uradowany Hawkins. – Bardzo panu dziękuję. Jestem niesłychanie zobowiązany.

– Niechże pan nie będzie takim optymistą – uśmiechnął się Gordon. – Nie wiadomo jeszcze, czy zdołam się panu na coś przydać.

– O to się nie obawiam. Jak tylko pan się tym zajmie, jestem pewien sukcesu.

Gordon zgasił papierosa i przez chwilę patrzył w zamyśleniu na leżące nieruchomo ciało.

– Niech mi pan powie, inspektorze – powiedział po dłuższej chwili – dlaczego właściwie tak bardzo interesuje się pan właśnie tym Bissingerem?

– Niestety, panie doktorze. Nie mogę panu służyć dokładnymi informacjami. Pan rozumie. Tajemnica służbowa.

Gordon zmarszczył brwi.

– Jak pan sobie w takim razie wyobrażał moją rolę w tej sprawie? Jeśli pan mnie prosi o pomoc, to trudno, żebym nie wiedział, o co chodzi. Ja się przecież panu nie narzucałem i bardzo chętnie się z tego wycofam.

– Ależ na miłość boską – zawołał Hawkins. – Niechże mnie pan źle nie rozumie. Przecież to nie ma sensu, Oczywiście, oczywiście. Właściwie nie powinienem, ale znowu nie mogę wobec pana grać komedii. Bissinger był na usługach naszego wywiadu za granicą.

– Cóż więc robił w Londynie?

– Nasze władze poczęły go podejrzewać o podwójną grę. Nie było jeszcze pewnych dowodów przeciwko niemu, ale... Na wszelki wypadek odwołano go na jakiś czas. Ja otrzymałem specjalne polecenie, aby nad nim czuwać. Robiłem, co mogłem.

Gordon słuchał uważnie. Gdy inspektor skończył, wstał z fotela i począł się w zamyśleniu przechadzać po pokoju.

– Czy pan nie przypuszcza? – spytał, zatrzymując się nagle przed Hawkinsem. – Czy pan nie przypuszcza, że to nasi ludzie mogli go sprzątnąć?

– Wykluczone – zawołał z ożywieniem Hawkins. – Naszemu wywiadowi zależało właśnie na tym, aby Bissingerowi pozostawić przez jakiś czas pozornie wolną rękę. Nikt mu w

najmniejszym nawet stopniu nie dał odczuć, że nie ma się już do niego zaufania. Za pośrednictwem Bissingera chciano się dowiedzieć jeszcze wielu ciekawych rzeczy. Ta koncepcja nie wchodzi zupełnie w rachubę.

– Hm – mruknął Gordon. – Jeśli tak, nie będziemy sobie tym głowy zaprzętać. Pan jest oczywiście lepiej zorientowany. A może jednakże ten Bissinger naprawdę umarł na serce.

– Niech pan będzie ze mną zupełnie szczerzy, panie doktorze. Czy pan w to wierzy?

Gordon uśmiechnął się.

– Przyznam się panu, że rzeczywiście jakoś nie bardzo w to wierzę. Faktem jest, że Bissinger cierpiał od dłuższego czasu na silny rozstrój nerwowy i w związku z tym nawet przyszedł do mnie po poradę lekarską.

– Czy powiedział panu coś interesującego? – ożywił się inspektor.

– Niestety. Nic nie chciał mówić. Ale stan jego nerwów świadczyłby o tym, że spodziewał się czegoś niedobrego. Może przypuszczał, że jest podejrzany o zdradę.

– Wszystko jest oczywiście możliwe – mruknął Hawkins. – Chociaż nie wydaje mi się. Pan wie przecież, jak tego rodzaju sprawy załatwia się dyskretnie.

– Oczywiście, ale w takim razie musimy szukać gdzie indziej powodów jego niezwykłego zdenerwowania.

– Sądzę, że powodów ku temu mogło być bardzo wiele.

– Mister Hawkins – powiedział nagle Gordon. – Czy nie sądzi pan, że popełniamy w tej chwili pewien zasadniczy błąd?

– O czym pan myśli?

– Myślę o pani Katarzynie Heller.

Inspektor spojrział pytająco.

– Nie rozumiem. Cóż pan chce od tej kobiety?

– Obawiam się, czy ta zacna gospodyni nie jest zbyt pozostawiona samej sobie. W tego rodzaju sprawach nigdy nie zawadzi przesadna nawet ostrożność.

Hawkins skinął głową.

– Pan ma rację. Zaraz pójde jej poszukać. – Podniósł się i wyszedł.

Tymczasem Gordon, pozostawszy sam, począł dokładnie badać parapet okna, a następnie uklęknął i na czworakach posuwał się z wolna wokół łóżka, wpatrując się pilnie w podłogę. Tak był zajęty tą czynnością, że nie zauważył nawet, jak po chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Hawkins w towarzystwie gospodyni Bissingera.

– Czy pan coś zgubił? – spytał inspektor, zaskoczony niespodziewaną pozycją Gordona.

– Ach, głupstwo, upadła mi spinka. Mniejsza o to.

Doktor podniósł się i spojrzął na panią Heller. Była bardzo blada, ale już zupełnie spokojna. Twarz miała nieruchomą, pozbawioną wszelkiego wyrazu. Patrząc na nią, odnosiło się wrażenie, że kobieta ta przez całe życie kryła się poza maską obojętności. Brak zmarszczek mimicznych wokół ust potęgował to wrażenie. Gordon przez krótką chwilę obserwował w milczeniu gospodynię.

– Proszę, niech pani siada – powiedział, wskazując krzesło. – Pragnęliśmy zadać pani parę pytań. – Mrs. Heller skinęła głową i bez słowa usiadła. Robiła wrażenie osoby zupełnie zrezygnowanej. – Czy nie zauważyła pani – ciągnął doktor, że mister Bissinger zachowywał się ostatnio jakoś nienaturalnie?

– Pan mój był bardzo przemęczony i zdenerwowany. Wybierał się na odpoczynek.

– A czy pani wie, czym zajmował się pani chlebodawca?

– Prowadził interesy handlowe. Dokładnie nie wiem jakie.

– No tak. Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy dużo ludzi przychodziło tu do pana Bissingera.

Pani Heller jakby się chwilę zawahała.

– Nie. Mój pan nie lubił przyjmować w domu gości, a interesy załatwiał przeważnie na mieście lub telefonicznie.

– Kto był najczęstszym gościem u was w domu?

– Pewnie starszy pan. Nie znam jednakże jego nazwiska.

Gordon umilkł i wyjąwszy z kieszeni notes coś powoli zapisał.

– Czy ma pan jeszcze jakieś pytania? – zwrócił się do Hawkinsa.

– Chciałbym tylko wiedzieć – powiedział inspektor – czy Bissingera odwiedzały jakieś kobiety.

Gospodyni potrząsnęła głową.

– Nie. Nigdy nie widziałam u mojego pana żadnych dam. Mister Bissmger był bardzo poważnym człowiekiem.

Gordon uśmiechnął się nieznacznie.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju weszło pięciu rosyjskich mężczyzn.

– Halo, Rinc – ucieszył się Hawkins. – Doskonale, żeś przyjechał. Bardzo mi się przydasz.

Młody detektyw przywitał się z Gordonem.

– Cieszę się, że pana znowu widzę, doktorze – powiedział uprzejmie. – Czy pan także interesuje się śmiercią Bissingera?

– Znalazłem się tutaj zupełnie przypadkowo – odparł wymijająco Gordon.

– No, chłopcy, do roboty – rzucił Hawkins, zwracając się do policjantów. – Zabierajcie ciało, a ty, Rinc, zajmiesz się panią Heller.

– Czy jestem aresztowana? – zawołała gwałtownie gospodyni.

– Nic podobnego – uspokoił ją inspektor. – Musi pani tylko pojechać z tym panem złożyć zeznania.

– Przecież już odpowiedziałam na wszystkie pytania.

– Nic nie szkodzi. Zrobi to pani jeszcze raz w sposób bardziej oficjalny.

– Czy mam tu wrócić do panów? – spytał Rinc.

– Niekoniecznie. Przyślesz nam tylko paru pewnych ludzi do pilnowania domu. Mam wrażenie, że na dziś będziemy mieli dosyć roboty. Resztę załatwi się jutro. Prawda, doktorze?

– Oczywiście. Na dzisiaj dość już mamy wrażeń.

Rinc uprzejmym gestem zaprosił panią Heller do samochodu, a jego ludzie wynosili tymczasem ostrożnie zwłoki Roberta Bissingera, byłego asa wywiadu. Gdy Hawkins i Gordon pozostali znowu sami, doktor powtórnie począł przemierzać pokój na czworakach, nie wyjaśniając ani słowem swego dziwnego postępowania. Inspektor spoglądał na swego towarzysza spokojnie, wiedząc, że w takich momentach nie należy zadawać zbędnych pytań. Obok małej kanapy Gordon zatrzymał się dłużej, a nawet wyjął z kieszeni lupę i badał przez

nią uważnie podłogę.

– Widzi pan, inspektorze? – powiedział półgłosem.

Hawkins schylił się i patrzył z zainteresowaniem.

– Mała rdzawa plamka – mruknął po chwili. – Wygląda jak krew.

– Zgadł pan – przytaknął doktor. – To jest niewątpliwie kropla krwi. – Wyjął z kieszeni scyzoryk i bardzo ostrożnie wyciął kawałek podłogi wraz z ową plamą. Następnie zawinął uważnie deseczkę w chustkę i podniósł się z klęczek.

– Czy wpadł pan na jakiś ślad? – spytał zaciekawiony Hawkins. Gordon potrząsnął głową.

– Nic konkretnego. Hipotezy, same hipotezy. To wszystko jeszcze nie trzyma się kupy. Nic powiedzieć na pewno nie mogę. Musimy poczekać. Ciekaw jestem, jak wypadnie sekcja zwłok.

– Musimy stworzyć jakiś plan działania – zauważył inspektor.

– Przede wszystkim muszę coś zjeść, a potem idę od razu do łóżka – uśmiechnął się Gordon. – Jestem piekielnie zmęczony. Ale, ale, inspektorze. Sądzę, że byłoby rozsądnie, gdyby pan przenocował dzisiaj w tym domu,

– Chce pan, żebym spał tutaj? – zdziwił się Hawkins.

– Tak. Na wszelki wypadek. Nie możemy przewidzieć, jak potoczą się wypadki. Jutro od rana trzeba się zabrać do szczegółowej rewizji. Nie chciałbym, aby przez dzisiejszą noc coś w tym mieszkaniu uległo zmianie. Pan mnie rozumie?

Hawkins skinął głową.

– Tak. Widzę, że będę musiał tu zanocować.

– To będzie rozsądne. Poza tym niech pan ma na oku gospodynię. Nie jestem nią zachwycony.

Hawkins uśmiechnął się.

– Muszę przyznać, że i ja nie odnoszę się do niej z entuzjazmem. Czy będzie pan tutaj jutro rano?

– Tak, postaram się wpaść chociaż na chwilę. A teraz dobranoc, inspektorze.

– Dobranoc.

Miasto płonęło milionami świateł. Ulicami sunęły cicho duże, lśniące limuzyny. Wysoki policjant, stojący na skrzyżowaniu, wprawnymi ruchami kierował samochodami i ludźmi. Miał w sobie coś z automatu. Barwne neony wabiły przechodniów do kin, teatrzyków, restauracji i najrozmaitszych nocnych lokali.

Gordon, wyszedłszy z willi Bissingera, odetchnął pełną piersią. Odwykł już od przebywania w atmosferze zbrodni i ponury nastrój tajemniczej sypialni szpiega nie wpłynął dodatnio na jego samopoczucie. Szedł szybko i z przyjemnością zagłębiał się w gwarny, rozkołysany tłum. Lubił miasto w nocy i chętnie poddawał się urokowi błyszczącej wielkomiejskiej ulicy. Czuł się wtedy częścią jakiegoś nierealnego, trochę fantastycznego świata.

– Czy mam przyjemność z panem Gordonem?

Doktor drgnął i spojrzał zdziwiony. Przed nim stał młody człowiek w dobrze skrojonym gabardynowym płaszczu i w czarnym sztywnym kapeluszu.

– A o co chodzi? – spytał niechętnie Gordon, patrząc badawczo na ciemną, smagłą twarz natręta.

– Muszę z panem natychmiast pomówić – szepnęła tajemniczy brunet. – Wstąpmy do tego baru. – I nim Gordon zdołał się zorientować w sytuacji, siedzieli już przy okrągłym kamiennym stoliku w dusznej, zadymionej sali.

– Co to właściwie ma znaczyć? – spytał doktor, ubawiony tą całą przygodą. – Czego pan chce, u diabła?

Wytworny młodzieniec spojrzał bardzo poważnie.

– Chciałem pana ostrzec – powiedział swobodnie, jak by rozmawiał o pogodzie.

– Ostrzec? Mnie? Co to ma znaczyć?

Brunet pochylił się nad stolikiem.

– Doradzam panu, mister Gordon, nie zajmować się śmiercią Bissingera, jeżeli panu życie miłe.

Słowa te zabrzmiały zdecydowanie. Doktor zachnął się.

– Czy ty wiesz, przyjacielu, że mogę cię zaraz kazać aresztować? – powiedział groźnie.

Młodzieniec uśmiechnął się beztrąsko.

– Nie zrobi pan tego, panie doktorze.

– Dlaczego?

– To bardzo proste. Po pierwsze dlatego, że nie ma tutaj w pobliżu policjanta, a po drugie, że ja trzymam w tej chwili rękę na rewolwerze i w każdej chwili mogę panu wsadzić kulę w brzuch lub serce, w zależności od upodobania. Muszę pana zapewnić, że moją specjalnością jest strzelanie przez kieszeń,

– Nie ośmieliłbyś się – warknął Gordon.

– A to dlaczego? Nic łatwiejszego. Pociągam za cyngiel i już. Nim by się ludzie zorientowali, co się stało, już by mnie nie było. Znam teren wyśmienicie i piwnicami potrafię przedostać się na dość odległą ulicę. Wszystko jest obmyślane, panie doktorze.

Gordon uśmiechnął się.

– Lubię dobrą organizację – powiedział wesoło. – Może w takim razie napijemy się piwa?

Młodzieniec potrząsnął głową.

– Żałuję, ale umówiłem się na partię pokera. Jeszcze więc raz radzę panu nie interesować się Bissingerem i adieu. Proszę nie zapominać, że pana ostrzegłem – wstał i pośpiesznie wyszedł z baru.

Gordon patrzył w ślad za nim, ale nie ruszał się z miejsca. Wreszcie machnął ręką i obstałował kolację. Był bardzo głodny. Olbrzymi kelner starannie wytarł stolik szarawą serwetą.

Zaspokoiwszy głód, Gordon wyszedł i zatrzymał taksówkę. Odechciało mu się spacerów. Usadowił się wygodnie na pluszowym siedzeniu i rzucił szoferowi swój adres. W drodze zastanawiał się nad tym, co posłyszał od ciemnowłosego młodzieńca. Był zbyt doświadczonym człowiekiem, ażeby wątpić w to, że sprawa jest rzeczywiście poważna. Teraz już miał niemal pewność, że Bissinger nie umarł naturalną śmiercią. Nie mógł się właściwie zdecydować, jak ma postąpić. Najrozsądniej byłoby wycofać się z tej całej historii, ale po pierwsze przyrzekł już swą pomoc Hawkinsowi, a po drugie dopiero teraz zaczynała go ta sprawa naprawdę interesować. Lubił niebezpieczną grę.

Tak rozmyślając ani się spostrzegł, jak auto zatrzymało się

przed jego domem. Wsiadł i zapłacił szoferowi

Horacy otworzył drzwi natychmiast. Widać było, że służący jest bardzo zdenerwowany i podniecony.

– Czy stało się coś złego, sir? – spytał, zdejmując płaszcz z doktora.

– Nie, nic się nie stało. Dlaczego pytasz?

– Już bardzo późno, sir. Nie mówił pan, że pan długo zabawi na mieście. Obawiałem się więc, że...

– Mam wrażenie, że będziemy mieli nową robotę, mój stary – uśmiechnął się Gordon. – A propos, czy nie zapomniałeś jeszcze strzelać z rewolweru?

– Nie – odparł służący. – Strzelam jak dawniej.

– To dobrze. Chciałbym, żebyś teraz specjalnie pilnował mieszkania. Jutro postaram ci się przydzielić kogoś do towarzystwa. Będzie ci weselej.

– Oho! – wykrzyknął mimo woli Horacy, a jego potężny nos wydłużył się jeszcze bardziej. – Przepraszam, sir. Zaraz będzie kolacja.

– Nie trzeba. Jadłem coś na mieście. Czy nie było do mnie jakichś listów?

– Nie, proszę pana. Dzisiaj otrzymaliśmy tylko same czasopisma.

– All right. Idź teraz spać, a rano przyszykuj mi kąpiel.

– Yes, sir.

Horacy zniknął, a Gordon udał się do swej sypialni. Czuł zmęczenie, toteż położył się zaraz do łóżka i począł przeglądać gazety. Chciał na chwilę przestać myśleć o śmierci Bissingera i o tej całej fantastycznej historii. Nie mógł jednakże skupić się nad tym, co czytał. Myśl wracała uparcie do tamtych spraw. Czy rzeczywiście Bissinger został zamordowany? Co było przyczyną jego straszliwego zdenerwowania, dlaczego jacyś ludzie pragną sparaliżować śledztwo? Czy grozi mu naprawdę niebezpieczeństwo? Kim był ów tajemniczy młodzian z ulicy? Co wykaże sekcja zwłok? Jeżeli Bissinger nie został otruty, to w jaki sposób został zgładzony? W tym wypadku nie pozostawało nic innego, jak stwierdzić atak serca, a jednakże... Czyżby te domysły miały jakiś sens?

Było już dobrze po północy, gdy Gordon zasnął niepokojnym, przerywanym widziadłami snem. Wydawało mu się, że Hawkins go wzywa rozpaczliwie na ratunek lub znowu, że Bissinger ożył i domaga się od niego sprawiedliwości. Ponad tym wszystkim unosił się olbrzymi nietoperz i zasłaniał skrzydłami słońce, grożąc światu ciemnością. Z mroków wyłoniła się głowa Katarzyny Heller i śmiała się z czegoś histerycznie, a huragan pochwycił samochód, w którym siedział Horacy, i zaniósł go na ogromny komin y.

Rano Gordon obudził się z bólem głowy i niesmakiem w ustach. Czuł się tak, jak po jakimś większym pijaństwie. Dopiero pół godziny gimnastyki i chłodny prysznic doprowadziły go do jakiejś takiej formy. Ogolił się, zjadł śniadanie i kazał sobie podać pocztę. Poza kilkoma nic nie znaczącymi listami od pacjentów, nic ciekawego nie było. Doktor dość uważnie przejrzał gazety i zawołał służącego.

– Zwracaj bacznie uwagę na wszystko – powiedział, gdy Horacy ukazał się w drzwiach. – Nie wpuszczaj nikogo nieznanego do mieszkania. Miej stale broń przy sobie. To nie są z mojej strony przywidzenia. Musimy zachować jak najdalej idącą ostrożność.

Horacy wytarł hałaśliwie swój olbrzymi nos.

– Yes, sir. Rozumiem doskonale. Może pan być zupełnie spokojny.

– To dobrze. Wiem, że mogę na tobie polegać. Zadzwoń do szpitala i powiedz, że dzisiaj trochę się spóźnię. Na obiad pewnie nie przyjdę. Będę dzwonił do ciebie z miasta. A teraz podaj mi płaszcz i kapelusz.

Horacy pośpiesznie wykonał rozkaz. Gordon ubrał się, wsunął do kieszeni płaszcza nabity pistolet i wyszedł, pogwizdując pod nosem.

Jadąc samochodem do willi Bissingera, starał się uporządkować sobie wszystkie wczorajsze wrażenia. Chciał mieć już jak najprędzej konkretny materiał myślowy. Nagle drgnął. Przez szybę zobaczył swojego przygodnego znajomego z baru. Szybko zatrzymał auto. W tej chwili spostrzegł, jak przystojny młodziezniknął w drzwiach eleganckiego sklepu z

futrami. Doktor w kilku susach przebiegł jezdnię i wpadł do tego sklepu. Starszy, szpakowaty pan, o wyglądzie solidnego kupca, spojrzał zdziwiony na niecierpliwego klienta.

– Dzień dobry. Czym mogę służyć? – powiedział uprzejmie.

Gordon nerwowo rozejrzył się po sklepie. Tajemniczy młodzian zniknął bez śladu.

– Przed chwilą wszedł tutaj pewien młody człowiek. Co się z nim stało?

Kuśnierz zrobił zdziwioną minę.

– Nikt nie wchodził do nas, sir. Jest pan dziś pierwszym naszym klientem.

– Proszę nie wprowadzać mnie w błąd! – krzyknął ostro Gordon. – Jestem ze Scotland Yardu i żądam natychmiastowego wyjaśnienia, gdzie się znajduje człowiek, który przed chwilą wszedł do tego sklepu!

– Chętnie bym panu dopomógł, panie inspektorze – powiedział obrażonym tonem kupiec. – Ale doprawdy nikogo nie widziałem. Musiało się panu przywidzieć. A może osobnik ów wszedł do sąsiedniego sklepu. To najbardziej prawdopodobne.

Doktor zaklął głośno i skierował się do wyjścia. Nie miał żadnych podstaw do tego, aby przeprowadzać w magazynie szczegółową rewizję. Gdy już ujął za klamkę, zauważył nagle na podłodze małą kartkę. Schylił się szybko i podniósł ją. Był to kawałek białego papieru, na którym ktoś energiczną ręką napisał jeden wyraz: „Farrow – 127”. Gordon wsunął kartkę do kieszeni i nie spojrzawszy na właściciela sklepu, wyszedł na ulicę. Był bardzo wzburzony. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób tajemniczy młodzieniec zdołał z taką szybkością zniknąć mu z oczu. Co do tego, że go wchodzącego do sklepu z futrami, nie miał najmniejszej wątpliwości. Zatrzymał jakiś samochód i kazał się zawieźć jak najprędzej do willi Bissingera.

Hawkins oczekiwał już go z niecierpliwością,

– Co się stało, na Boga? Dlaczego tak późno? – zawołał po przywitaniu.

Gordon opowiedział mu w krótkich słowach swoje przygody z tajemniczym brunetem. Inspektor słuchał uważnie i było

widać, że jest bardzo zatroskany.

– No i co pan myśli robić? – spytał, gdy doktor skończył swoje opowiadanie.

– Ano nic. Zobaczymy, co przyniesie najbliższa przyszłość.

– Czy pan ma zamiar pomimo wszystko zajmować się sprawą Bissingera? – spytał niespokojnie inspektor.

– Oczywiście. Dopiero teraz zaczyna mnie ta sprawa naprawdę interesować.

Hawkins w zamyśleniu pokręcił głową.

– No tak. Rozumiem pana, ale czy to nie jest jednakże zbyt ryzykowne? Ja muszę to robić. Jestem na służbie, ale pan...

Gordon uśmiechnął się.

– Damy sobie jakoś radę, inspektorze. Gorsze rzeczy już ześmy razem przeżyli, niech pan pamięta o tym, że najbardziej groźne sprawy okazują się w rezultacie dość proste i wcale nie takie przerażające. Chcą mnie trochę nastraszyć, nic poza tym. Oczywiście przedsięwzięmę wszelkie środki ostrożności. Chciałbym nawet prosić, żeby mi pan przydziela do mego mieszkania jakiegoś pewnego i zaufanego człowieka.

– Ależ oczywiście. Bardzo chętnie. Wydeleguję do pana sierżanta Klimbsa.

– Dobrze. Niech będzie Klimbs. Na wszelki wypadek wolę mieć kogoś do pomocy. Szczególnie gdy mnie nie ma w domu, obawiam się trochę o mego służącego. Diabli wiedzą, co może tym drabom przyjść do głowy.

– Naturalnie. Ostrożność nigdy nie zaszkodzi – przyznał Hawkins. – Więc postanowił pan w dalszym ciągu zajmować się sprawą Bissingera?

– Tak.

– Bardzo się z tego cieszę. Ale nie chciałbym brać pańskiego bezpieczeństwa na moje sumienie. Gdyby się coś, nie daj Boże, przytrafiło, nigdy bym sobie tego nie wybaczył, że wciągnąłem pana w tę robotę.

– Niech się pan o mnie nie martwi – uśmiechnął się Gordon.

– Dam sobie radę.

– Czy nie sądzi pan, że należałoby mieć pod obserwacją ten skład futer?

– Oczywiście. To się samo przez się rozumie.
– Jaka to firma?
– Natan Forrister.
– All right. Zaraz pošlę tam odpowiednich ludzi.
– Co wykazała sekcja? – spytał Gordon, siadając w fotelu i wyjmując papierośnicę.

Hawkins potrząsnął głową.

– Sekcja nic nie wykazała. Ani śladu żadnej trucizny. Żadnych zmian.

– Hm. Spodziewałem się tego. Czy widział się pan dzisiaj z doktorem Pristem?

– Nie. Rozmawiałem z nim tylko telefonicznie.

– Cóż pan właściwie myśli o tym wszystkim?

Hawkins wzruszył ramionami.

– Sam jeszcze nie wiem. Przewertowałem dzisiaj od rana całe mieszkanie Bissingera i właściwie nic specjalnego nie znalazłem, poza dość ciekawymi odciskami palców.

– O jakich odciskach pan mówi? – zainteresował się Gordon.

– Pracujemy tu od świtu. Sprowadziłem fachowców, zrobiłem wszystko, co w mej mocy.

– No i cóż z tymi odciskami? – zniecierpliwił się doktor.

– Pod tym dywanem koło łóżka Bissingera znaleźliśmy kilka jego odcisków.

– Na podłodze?

– Właśnie.

Gordon podniósł się zaaferowany i spojrzał na inspektora.

– To znaczy, że Bissinger albo się z zapalem gimnastykował, albo...

– Albo walczył z kimś – uzupełnił Hawkins.

– Tak. Rozumuje pan zupełnie logicznie. Bissinger bronił się, leżąc na podłodze.

– No dobrze, ale w takim razie byłyby jakieś ślady walki – zauważył inspektor. – Meble porzucone, wazony potłuczone.

– Prawdopodobnie ktoś starannie zatarł te ślady.

– Powiedzmy, że tak się stało – pokręcił głową w zamyśleniu Hawkins. – Ale przecież Bissinger nie został ani zastrzelony,

ani zasztyletowany, ani otruty, ani uduszony. W jakież więc sposób mógł zostać zamordowany?

– To właśnie jest największą zagadką w tej sprawie – mruknął Gordon. – Krążą mi wprawdzie po głowie pewne fantastyczne przypuszczenia, ale nie chciałbym o tym wspominać przed czasem. Możliwe, że się mylę, bardzo możliwe.

– Co pan zrobi z tym krwawym śladem? – spytał nagle Hawkins.

– Oddam go dziś do dokładnego zbadania mikroskopowego. Może mi się to przydać.

– Sądzę, że będzie najwłaściwiej...

– Zaraz, zaraz – przerwał mu gwałtownie Gordon. – Tak, teraz zaczynam rozumieć.

– O czym pan mówi, doktorze?

– Rozumiem teraz, dlaczego Bissinger miał brudne dłonie. Powalał je sobie o podłogę. Tak, to zupełnie jasne.

– Nie tłumaczy to jednak faktu, że od dłoni do łokci miał ręce czysto umyte – zauważył Hawkins.

– Tak, tak – mruknął w zamyśleniu doktor. – Dziwne. Ano, zobaczymy. Czy nie sądzi pan, inspektorze, że Bissinger poza tymi sprawami szpiegowskimi mógł być jeszcze wpłątany w jakąś dodatkową aferę?

– Ha, cóż, wszystko oczywiście jest możliwe, ale nie ma co do tego żadnych danych. „W ogóle należałoby zebrać trochę więcej materiału, ale jeszcze nie było na to czasu.

– Oczywiście. Przecież to dopiero wczoraj się stało. I tak uważam, że zrobione zostało bardzo wiele.

Inspektor spojrział z zadowoleniem.

– Tak pan sądzi?

– Naturalnie. Sekcja przeprowadzona, odciski palców zdjęte, mieszkanie dokładnie przeszukane. Czegóż możemy chcieć na początek śledztwa? – Gordon zauważył bez trudu, że jego uznanie sprawia niemalą satysfakcję inspektorowi. – Ale, ale byłbym na śmierć zapomniał. Czy był pan kiedy w Farrow?

– W Farrow? Tak, byłem kiedyś przed laty. Dlaczego pan pyta? – zdziwił się Hawkins. – Czy wybiera się pan tam na

wycieczkę?

– To bardzo możliwe – uśmiechnął się tajemniczo doktor. – Ale jeszcze nie tak prędko. Mam parę pilnych spraw do załatwienia w Londynie. O ile mnie pamięć nie zawodzi, to wydaje mi się, że przed paru miesiącami gazety coś pisały o tym Farrow.

Hawkins skinął głową.

– Ma pan fenomenalną pamięć, doktorze. Rzeczywiście były jakieś wzmianki w prasie o tym miasteczku.

– Czy nie pamięta pan przypadkiem, o co to chodziło?

– Ach, jakieś głupstwa. Podobno w Farrow poczęły pojawiać się duchy i towarzystwo spirytystyczne zainteresowało się tą sprawą. Zwyczajna bujda, kaczka dziennikarska.

– Więc Farrow to miasto duchów – mruknął w zamyśleniu Gordon.

– Nie rozumiem pańskiego zainteresowania tą dziurą – wzruszył ramionami Hawkins. – Cóż to może mieć wspólnego z naszą sprawą.

– Sam jeszcze nie wiem. Może nic, a może bardzo wiele.

– Mówi pan zagadkami

– Bo na razie nie możemy wyjść poza obręb zagadek – uśmiechnął się doktor. – No, ale na mnie już czas. Muszę pędzić do szpitala. Zadzwońię do pana z miasta, a po biedzie wpadnę tutaj.

– All right. Czy dać panu kogoś do ochrony?

– Dziękuję, inspektorze. Mam przy sobie broń, a poza tym nie przypuszczam, aby mi w biały dzień miało coś grozić.

– Gdyby się coś działo, proszę mnie od razu zawiadomić.

– Oczywiście. Do widzenia, inspektorze.

– Do zobaczenia.

– Ale, ale – wrócił się od drzwi Gordon – czy pański wóz może mnie odwieźć do szpitala?

– Ależ naturalnie. Samochód jest do pańskiej dyspozycji.

– Dziękuję.

Doktor wybiegł szybko na ulicę i wsiadł do lśniącego „Mercedesa”. Nerwowo spojrział na zegarek. Było już bardzo późno.

W szpitalu miss Marres, asystentka Gordona, przywitała swego szefa bardzo ozięble.

– Sądziłam, że pan doktor już dziś nie przyjdzie – wycodziła przez zęby. – Tak późno...

– Chyba Horacy dzwonił, że się spóźnię.

– Tak, ale nie sądziłam, że to będzie tak wielkie spóźnienie, gdyż...

– Czy jest coś nowego? – przerwał niecierpliwie Gordon.

– Przywieziono w nocy jakąś pacjentkę. Może pan doktor ją zbada?

– Nie wiem, czy będę miał czas. Muszę obejść chorych. Niech się nią zajmie na razie doktor Dawisson.

– Doktor Dawisson już widział tę kobietę.

– No i co?

– Prosił, żeby pan doktor osobiście się nią zainteresował.

– Zobaczymy, jeśli zdążę.

Gordon pośpiesznie zdjął marynarkę, włożył kitel, umył ręce i wyszedł na swój codzienny obchód. Był tego dnia zdenerwowany i zamyślony. Miss Marres drażniła go bardziej niż kiedykolwiek. Zazwyczaj znosił ze stoickim spokojem gderanie starej panny, ale dziś pragnął się pozbyć jej towarzystwa jak najprędzej. Obejrzał pacjentów, wydał pielęgniarce dyspozycje, zapisał w niektórych wypadkach nowe recepty i po paru godzinach pracy wrócił do swego gabinetu.

– Może pan doktor zbada jednakże chorą – zaproponowała uparcie miss Marres.

Gordon wykonał niecierpliwy ruch. Pragnął jak najprędzej wyrwać się ze szpitala.

– O kim pani mówi? – spytał niechętnie.

– No, o tej kobiecie, którą dzisiaj przywiozła policja

– Policja ją przywiozła? – Gordon spojrzał uważnie. – Jakie objawy?

– Ogólny wstrząs nerwowy. Bezustannie wzywa jakiegoś Roberta.

Doktor zerwał się gwałtownie z krzesła.

– Niech ją pani natychmiast przyprowadzi na badanie! –

zawołał nagle.

– Dobrze, panie doktorze, ale dlaczego pan tak krzyczy? – powiedziała miss Marres i wyszła, wzruszając nieznacznie ramionami.

– Wstrętne babsko! – mruknął pod nosem Gordon.

Po niedługiej chwili miss Marres pojawiła się znowu.

– Chora jest w pokoju badań, panie doktorze – oznajmiła bardzo chłodno. – Czy pan ją będzie zaraz badał?

Gordon wstał.

– Tak. Dziękuję pani.

W białej, lśniącej czystością sali siedziała na zwyczajnym krześle młoda, bardzo piękna kobieta. W całej jej postaci znać było straszliwe przerażenie. Ogromnymi czarnymi oczami spojrzała na doktora i zerwała się ze swego miejsca.

– Nie dotykaj mnie. Nie dotykaj mnie – krzyknęła przeraźliwie. – Nie chcę, nie chcę. Ja go nie zamorduję. Nie, nie.

Gordon nie zbliżał się, ale zaczął mówić równym, bardzo spokojnym głosem, patrząc jednocześnie poważnie w oczy przerażonej dziewczyny. Nie wykonał żadnego zbędnego ruchu, nie próbował jej uspokajać ani nic tłumaczyć. Mówił o rzeczach obojętnych, tak jakby prowadził szablonową towarzyską rozmowę.

Nie wiadomo, czy pod wpływem tego monotonnego łosu, czy też może pod wpływem łagodnego, ale stanowczego spojrzenia, dość że dziewczyna poczęła się z wolna uspokajać. Patrzała jeszcze szeroko otwartymi oczami na Gordona, ale nie próbowała już uciekać. Po półgodzinnym monologu doktor ostrożnie zrobił parę kroków w kierunku chorej. Podniosła gwałtownym ruchem dłoń do twarzy.

– Kto ty jesteś? Kto ty jesteś? – spytała niespokojnie. – Nie poznaję cię. Ty nie jesteś Harry. Nie, ty nie jesteś Harry.

– Nie jestem Harry – zgodził się Gordon. – Ale jestem pani przyjacielem. Proszę, niech pani usiądzie. Proszę się niczego nie lękać.

– Gdzie Robert? Gdzie Robert? – spytała nagle. – Gdzie Bissinger?

Doktor drgnął gwałtownie, ale opanował się natychmiast.

– Zaraz przyjdzie do pani Proszę być cierpliwą. Niechże się pani tak nie denerwuje.

– Ja nie chcę, nie chcę. Ja go nie mogę zamordować.

Gordon ujął ją ostrożnie za rękę i posadził na krześle. Nie bronila się.

– Proszę się uspokoić. Nikogo nie trzeba mordować. Proszę nie myśleć o takich rzeczach.

Dziewczyna popadła nagle w rodzaj apatii. Siedziała bezwładnie, wpatrzona uporczywie w jeden punkt.

– Jak się pani nazywa? – zapytał rozkazująco Gordon.

– Klementyna.

– A nazwisko?

Chora milczała, jakby zupełnie nie słyszała pytania. Gordon próbował jeszcze coś się od niej dowiedzieć, ale po kilku nieudanych próbach musiał, przynajmniej na razie, zrezygnować z tego. Zawołał więc miss Marreskazał odprowadzić chorą do łóżka. Następnie łę do swego gabinetu i posłał do doktora Dawissona. Młody, przystojny blondyn pojawił się niebawem.

– Słucham pana. Czy coś się stało?

– Nic się nie stało – odparł Gordon. – Mam tylko do pana prośbę.

– Słucham.

– Chodzi o tę dziewczynę, którą przywieźli dziś w nocy.

– Badał ją już pan?

– Tak. Przed chwilą.

– No i?...

– Silny wstrząs nerwowy. Ale to sprawa zupełnie świeża.

– Ja też jestem tego zdania – zgodził się z ożywieniem Dawisson.

– To się świetnie składa, kolego. Chodzi teraz o to, żeby jej zapewnić jak najlepszą opiekę. Bardzo pana proszę, żeby przy jej łóżku czuwała specjalna pielęgniarka. Zależy mi na tym. Czy może mi pan to obiecać?

– Oczywiście. Dopilnuję tego. Pan doktor zapewne obawia się ataku?

– No cóż, wszystkiego można się spodziewać. Wolę być ostrożnym. I jeszcze jedno. Chciałbym, ażeby pielęgniarka notowała o ile możliwości wszystko to, co chora będzie mówiła, choćby to nie miało nawet najmniejszego sensu. Dobrze?

– Zastosujemy się do poleceń pana doktora.

– Do widzenia.

Gordon pośpiesznie ubrał się i zbiegł na dół do kancelarii.

– Kto sprowadził dziś w nocy tę młodą pacjentkę? – spytał, przywitawszy się z urzędnikiem.

– Policjant, panie doktorze.

– Czy znacie jego nazwisko?

– Tak. Zdaje się, że podał nazwisko. Czy pana doktora to interesuje?

– Bardzo mnie interesuje – rzucił niecierpliwie Gordon.

Urzędnik z niezwykłą flegmą nałożył okulary i otworzył grubą księgę oprawną w brązową tekturę. Przez pewien czas z namaszczeniem przewracał stronicę, aż wreszcie zatrzymał się i wskazał chudym palcem na jakąś notatkę.

– O mam – powiedział tryumfalnie. – Tę młodą wariatkę sprowadził dzisiejszej nocy sierżant Gersson z dwudziestego czwartego komisariatu. Jeżeliby pan doktor życzył sobie ewentualnie...

– All right, all right – zawołał Gordon i nie czekając na przemówienie staruszka, wybiegł na ulicę. Zatrzymał przejeżdżające auto i kazał się zawieźć do dwudziestego czwartego komisariatu. Dyżurny przodownik przyjął go nad wyraz uprzejmie, ale oświadczył z żalem, że niestety z sierżantem Gerssonem widzieć się nie można, ponieważ miał on nocną służbę i obecnie śpi u siebie w domu. Doktor zaklął pod nosem.

– Proszę przysłać sierżanta Gerssona do Scotland Yardu. Niech złoży dokładny raport o tej obłąkanej dziewczynie, którą dziś w nocy znalazł na ulicy. Mam nadzieję, że pan nie zapomni.

– Skądże znowu, panie komisarzu – zawołał policjant, zrywając się z miejsca. – Będzie pan miał dokładne wiadomości.

– Czy mogę od pana zatelefonować?

– Ależ oczywiście. Bardzo proszę.

Gordon połączył się z willą Bissingera i poprosił do aparatu Hawkinsa.

– Doskonale, że pan dzwoni – posłyszał podniecony głos inspektora. – Mam ważne wiadomości. Czy może pan zaraz tutaj przyjechać?

– Zaraz jadę – rzucił Gordon. Wybiegł z komisariatu i wsiadł do czekającej na niego taksówki. W pośpiechu zapomniał nawet pożegnać się z uprzejmym policjantem.

Hawkins przechadzał się szerokimi krokami po hallu, gdy samochód doktora zatrzymał się przed willą. Spostrzegłszy Gordona, inspektor pośpieszył na jego spotkanie.

– Czy stało się coś złego?

– Znalazłem tylko ten drobiazg – wyjaśnił Hawkins, podając Gordonowi niewielki zniszczony portfel. Doktor spojrział na niego pytająco. – Niech pan zajrzy do środka.

Gordon otworzył portfel i wyjął z niego szarą kopertę.

– List?

– Tak. Niech pan czyta.

Gordon wyjął zapisaną kartkę papieru i szybko przebiegł ją oczyma.

– Dziwne – powiedział po chwili. – Gdzie pan to znalazł?

Hawkins wyjął mu list z ręki i głośno przeczytał: „Po definitywnym załatwieniu sprawy z Bissingerem czekaj na mnie w Farrow u Darlena – John”.

– Znowu Farrow – mruknął doktor. – To dziwne. „Załatwili się z nim definitywnie” – zaśmiał się inspektor.

– Czy jest adres na kopercie?

– Tak. Jest nazwisko: Antoni Walton. Szczegółowego adresu nie ma.

– Co pan myśli teraz przedsięwziąć? – spytał Gordon, zapalając papierosa.

– Myślę, że trzeba jechać do Farrow. Może ten Walton jest tam jeszcze.

– Tak będzie najrozsądniej. Na wszelki wypadek trzeba zatrzymać tego Waltona, jeżeli to będzie możliwe. Kiedy pan

chce jechać?

– Zaraz,

– All right. Niech pan weźmie ze sobą paru uzbrojonych ludzi

– Yes.

Po wyjeździe inspektora, Gordon przez pewien czas błąkał się po całej willi, zaglądając uważnie w każdy kąt. Następnie porozmawiał chwilę z panią Katarzyną Heller, która już się zupełnie uspokoiła po śmierci swego chlebodawcy i była cicha i zrezygnowana. Wreszcie wydał pewne polecenia policjantom pilnującym domu i postanowił pojechać do siebie.

– Co nowego, Horacy? – spytał, gdy służący otworzył mu drzwi

– Nic specjalnego, proszę pana. Gramy z sierżantem Klimbsem w szachy. Poza tym nic się nie działo.

– Nie było do mnie nikogo?

– Było paru pacjentów, a prócz tego kilka razy dzwoniło ze szpitala.

– Dzwonili ze szpitala?

– Yes, sir.

Gordon, nie zdejmując płaszcza, wbiegł do swego gabinetu i chwycił słuchawkę. Połączył się natychmiast ze szpitalem i kazał przywołać Dawissona.

– Czy pan do mnie dzwonił? – spytał, posłyszawszy głos młodego lekarza.

– Tak, proszę pana. Stała się rzecz straszna.

– Co takiego?

– Ta nowa pacjentka zniknęła.

– Jak to zniknęła? Ta młoda dziewczyna?

– Tak. Nikt nie wie, jak się to stało, ale nie ma jej w szpitalu.

Nie wiem, co robić, panie doktorze.

– Jest pan skończonym osłem – krzyknął z wściekłością Gordon i cisnął słuchawkę.

Horacy pospiesznie wycofał się do przedpokoju.

Rozdział trzeci KŁOPOTY ANTONIEGO

– Więc twierdzi pan stanowczo, że pan nigdy nie widział Roberta Bissingera.

Antoni wzruszył ramionami.

– Proszę panów – powiedział zniecierpliwiony. – Od godziny starają się panowie we mnie wmówić, że znam tego jakiegoś Bissingera. Otóż oświadczam stanowczo, że żadnego Bissingera nigdy nie znałem i nie widziałem na oczy. Nie rozumiem, czego wy ode mnie chcecie?

– Jednakże zdradził się pan w pierwszym momencie, że to nazwisko nie jest panu obce – zauważył chłodno Hawkins.

– Wszystko już panu opowiedziałem, inspektorze. Nie mam nic więcej do dodania.

– To pan jednakże coś słyszał o Bissingерze? – zainteresował się Gordon.

– Tak, słyszałem przypadkowo to nazwisko.

– Może pan zechce jeszcze raz to opowiedzieć – zaproponował inspektor. – Mister Gordon nie zna pańskich przeżyć w Farrow.

– Tak. Bardzo bym był panu wdzięczny za krótkie streszczenie – przytaknęła uprzejmie doktor, częstując swego gościa papierosami.

Antoni ze spokojną rezygnacją raz jeszcze opowiedział wszystko to, co mu się przytrafiło od przyjazdu do Farrow. Hawkins skrupulatnie notował jego słowa. Gdy opowiadanie dobiegło końca, Gordon przechylił w tył głowę i chwilę milczał, jakby zbierając myśli.

– Z tego wszystkiego wynika, że o Bissingерze posłyszał pan po raz pierwszy od tej pani z Farrow.

– Tak.

Doktor zwrócił się do Hawkinsa.

– Czy pan pokazywał fotografię Bissingera mister Waltonowi?

– Yes.

– No i cóż? Może pan Walton znał go pod innym nazwiskiem?

– Pierwszy raz w życiu widziałem na zdjęciu tę twarz – wtrącił się Antoni

– Hm. Ale nie może pan zaprzeczyć, że to jest pański portfel – powiedział Gordon, wyjmując mały skórzany przedmiot z szuflady biurka.

– Tak. To mój portfel. Już mnie pan o to pytał.

– W jakim sposób, u wszystkich diabłów, pański portfel znalazł się w sypialni Bissingera? – zawołał podniecony Hawkins.

Antoni bezradnie rozłożył ręce.

– Doprawdy nie umiem sobie tego wytłumaczyć – powiedział niepewnie. – To coś nadzwyczajnego. Nigdy w życiu nie byłem w tej willi.

– Czy używał pan stale tego portfela? – spytał Gordon.

– Ach nie. To był mój stary portfel. Nie używałem go prawie zupełnie.

– Gdzie go pan zazwyczaj trzymał?

– Ostatnio wsadziłem go do bocznej kieszeni płaszcza.

– I ten płaszcz miał pan w czasie podróży ze sobą?

– Tak.

– Więc pragnie w nas pan wmówić, że duchy przeniosły pański portfel do sypialni Bissingera? – zniecierpliwził się Hawkins.

– Panie inspektorze – odparł spokojnie Antoni. – Widzę, że pan za wszelką cenę pragnie mnie oskarżyć o to morderstwo. Tłumaczę panu przecież, że jestem literatem i że nie było mnie w Londynie. Przebywałem we Francji, a dopiero od paru dni jestem w Farrow. Nie mogłem więc przy najlepszych chęciach komunikować się z Bissingerem ani w ogóle z nikim mieszkającym w Londynie.

– Podróż samolotem z Paryża do Londynu nie trwa tak długo – mruknął Hawkins. – A nie mogę w to uwierzyć, żeby portfele

samodzielnie fruwały z Farrow do Londynu.

– Spokojnie, inspektorze, spokojnie – starał się załagodzić sytuację Gordon. – Pozwólmy panu Waltonowi wszystko szczegółowo wyjaśnić.

– Nie mam właściwie nic więcej do wyjaśnienia – burknął niechętnie Antoni, którego zaczynała już irytować ta cała rozmowa.

– Czy nie podejrzewa pan, kto mógł pisać ten list?

– Nie mam pojęcia.

– Nie zna pan takiego charakteru pisma?

– Absolutnie nie.

– Czy zna pan jakiegoś Johna?

– Oczywiście. Znam paru Johnów. To nie jest przecież jakies niezwykle imię. Nawet mam brata Johna, który mieszka stale w Ameryce Południowej. Nie sądzę jednakże, żeby to on mógł pisać do mnie ten idiotyczny list.

– Tak, to dziwne, to bardzo dziwne – powiedział cicho doktor, nie zwracając uwagi na ironiczny ton Antoniego. – Skąd ten portfel u Bissingera? Przyzna, mister Walton, że to jest bardzo obciążający dowód przeciw panu.

– Oczywiście. Tym niemniej ja nic nie mam wspólnego z tą sprawą. Podąłem już panu szereg poważnych osobistości, na które się mogę powołać. Mogą panowie sprawdzić dokładnie, kim jestem.

– Tak, tak – mruknął Gordon. – Czy jest pan pewien, że w Farrow w gospodzie Darlena miał pan jeszcze ze sobą ten portfel?

– Oczywiście. Włożyłem do niego kilka starych rachunków, żeby mi nie zawadzały.

– Kiedy pan spostrzegł brak portfela?

– Dopiero teraz, jak panowie mi go pokazali. Inaczej prawdopodobnie jeszcze z miesiąc nie zauważyłbym zguby.

– A co pan sądzi o tych spacerach po suficie i o tajemniczej limuzynie?

– Nie mam pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Cała ta historia jest zupełnie niesamowita.

– Czy interesuje to pana?

– Bardzo. Ze względów literackich. Wszystko to może się okazać świetnym materiałem do sensacyjnej powieści.

Gordon uśmiechnął się.

– Jeśli pana nie za bardzo trudzę, to chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie – powiedział uprzejmie.

– Słucham pana.

– W jaki sposób znalazł się pan w Farrow? Po co pan tam pojechał?

Antoni zmieszał się.

– Spodziewałem się tego pytania – odparł po chwili. – To jest najslabszy punkt mojej obrony.

– Nie mówmy na razie jeszcze o obronie – uśmiechnął się Gordon. – Dlaczego to pan uważa, że to jest najslabszy punkt w tej sprawie?

– Dlatego, że właściwie nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego zatrzymałem się w Farrow.

– Nie rozumiem. Może mi pan to jaśniej wytłumaczy. Pańskie słowa brzmią dość tajemniczo.

– Tak – przyznał Antoni. – Bo cała ta sprawa jest od początku do końca niesłychanie tajemnicza. Sam nie wiem, dlaczego zatrzymałem się w Farrow. Po prostu poczułem jakiś nakaz wewnętrzny, jakiś głos mówił mi, żeby zostać w tym małym, nieciekawym miasteczku. Do dzisiejszego dnia tego nie umiem sobie wytłumaczyć. Czy pan wierzy w przeznaczenie?

– Być może – powiedział w zamyśleniu Gordon. – Ale ostrzegam pana, że jeśliby doszło do rozprawy sądowej, to sędziowie mogą nie uwierzyć w ten nakaz wewnętrzny.

Antoni skinął głową.

– Zdaję sobie z tego doskonale sprawę i dlatego mówię, że jest to najslabszy punkt mojej obrony.

– No tak. Co pan o tym wszystkim sądzi, inspektorze? – zwrócił się doktor do zadumanego Hawkinsa.

– Sądzę, że niestety będziemy musieli zatrzymać pana Waltona aż do ukończenia śledztwa – powiedział inspektor.

– Ależ – zawołał Antoni.

Hawkins pokiwał głową.

– Tak, tak. Niech się pan nie oburza, mister Walton, ale

trudno będzie tego uniknąć. Sam pan musi przyznać, że zaplątał się pan paskudnie w tę historię.

– Ja się zaplątałem? Ależ ja nie mam z tym wszystkim nic wspólnego.

– Wie pan co, inspektorze – odezwał się nagle Gordon. – Mam pewien plan.

– Słucham.

– My nie zaaresztujemy pana Waltona. Hawkins potrząsnął głową.

– Obawiam się, że to będzie niemożliwe – powiedział z przekonaniem.

– Chwileczkę, niech pan zaczeka. Namówimy pana Waltona, żeby wrócił do Farrow. Czy pan się zgadza na taką propozycję, mister Walton?

– Ależ oczywiście. Bardzo chętnie.

– To niemożliwe – zawołał stanowczo Hawkins. – To zupełnie niemożliwe.

Gordon uśmiechnął się.

– Chwileczkę, inspektorze, niech pan nie będzie taki bezwzględny. Biorę tę sprawę na moją odpowiedzialność.

– Chyba że mi pan zaręczy, że mister Walton będzie w każdej chwili do naszej dyspozycji – mruknął Hawkins.

– Tak, ręczę za pana Waltona – powiedział Gordon.

– Dziękuję panu za zaufanie – skłonił się Antoni. – Jestem panu bardzo wdzięczny. Ogromnie nie miałem ochoty siedzieć w więzieniu. Domyślałem się jednak, że będę musiał czymś się panu zrewanżować za pańską uprzejmość.

Gordon skinął głową.

– Podziwiam pańską domyślność. Rzeczywiście zgadł pan. Pojedzie pan do Farrow i zamieszka pan z powrotem w gospodzie Darlena.

– Nie mam zbytnio na to ochoty – skrzywił się Antoni. – A poza tym, w jaki sposób uzasadnię swój nagły powrót?

– To nic trudnego. Powie pan, że wezwano pana w ważnych sprawach do Londynu. Przecież w Farrow nie wiedzą, że mister Hawkins jest z policji.

– Nie, nie wiedzą.

– No właśnie. Nie wspomni pan nic o tym, że interesowała się panem policja, tylko uzasadni pan swój nagły wyjazd handlowymi sprawami. Powie pan, że pan wraca, aby obserwować te nadprzyrodzone zjawiska i że pan chce zebrać sobie materiały do artykułów. Przypuszczam, że to wystarczy.

– Cóż ja mam tam robić w tym Farrow?

– To, co pan robił dotychczas. Niech pan węszy wszędzie i niech się pan stara zaprzyjaźnić z tym jegomościem spacerującym po suficie.

Antoni roześmiał się.

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste.

– Ale żarty na bok – ciągnął dalej Gordon. – Musi pan mieć się na baczności. Obawiam się, że może panu grozić niebezpieczeństwo. Proszę mieć zawsze broń przy sobie. Czy pan ma silne nerwy?

– Tak. Dosyć.

– To dobrze. Będziemy utrzymywali z panem stały kontakt. W razie potrzeby będzie pan miał zapewnioną natychmiastową pomoc. Niech się pan postara o to, aby mieć możliwość szybkiego połączenia się telefonicznego z Londynem.

– All right – powiedział Antoni. – Czy mogę już panów pożegnać? Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia na mieście.

Doktor skinął głową.

– Tak. Jeśli się pan śpieszy, nie zatrzymujemy pana. Kiedy pan wraca do Farrow?

– Postaram się jeszcze dzisiaj wieczorem.

– Doskonale. Tak będzie najlepiej. Chciałbym, żeby pan jak najprędzej już tam był.

Antoni wstał.

– Wobec tego do widzenia panom. Mam nadzieję, że się niedługo zobaczymy.

– Na pewno.

Gdy drzwi się za Antonim zamknęły, Hawkins zerwał się z miejsca.

– Co pan najlepszego narobił – zawołał wzburzony. – Jak można było puszczać wolno tego człowieka.. Przecież on natychmiast zwieje.

– Niech się pan uspokoi – powiedział wesoło Gordon. – Walton nie zwieje.

– A to dlaczego?

– Po pierwsze dlatego, że wydałem polecenie sierżantowi, żeby go dobrze pilnował, a po drugie, że jestem głęboko przekonany, iż on rzeczywiście nie jest zamieszany w to wszystko.

– Jakże pan w takim razie wytłumaczy historię z portfelem?

– Nie umiem panu w tej chwili dać na to odpowiedzi, ale Walton nie jest typem zbrodniarza. Nie wiem dlaczego, ale ten człowiek budzi we mnie zaufanie.

– Ja tam wolę nie poprzestawać na żadnej intuicji – mruknął niechętnie Hawkins. – Czulbym się o wiele lepiej, gdyby ten typ siedział spokojnie pod kluczem.

Gordon skrzywił się z niesmakiem.

– Inspektorze – powiedział chłodno. – Jeżeli chcemy rozwiązywać trudne zagadki, musimy posługiwać się różnymi metodami. Kryminał i kajdanki to jeszcze nie wszystko.

Hawkins wzruszył ramionami.

– W każdym razie sędzę, że trzeba mieć tego Waltona na oku.

– Ależ oczywiście. To zupełnie zrozumiałe. Właśnie chciałem pana prosić, aby pan wydelegował do Farrow dwóch inteligentnych ludzi, którzy by czuwali nad Waltonem. Nie obawiam się tego, żeby uciekł, ale może mu grozić niebezpieczeństwo.

– Dobrze. Wyślę Rinca i jeszcze kogoś – zgodził się Hawkins.

– Czy pańscy ludzie nie wpadli jeszcze na żaden ślad tej dziewczyny, która zniknęła ze szpitala?

– Dotychczas nie.

Doktor przeszedł się nerwowo po pokoju.

– To bardzo źle – mruknął niezadowolony. – To naprawdę bardzo źle.

– Nie rozumiem, w jaki sposób mogła zniknąć ze szpitala – powiedział Hawkins. – Jak to się stało?

– Nie mam pojęcia i nikt w szpitalu nie potrafi tego wytłumaczyć.

– Czy sądzi pan, że ją ktoś celowo uprowadził?

– Jestem tego prawie pewien. Dziewczyna była niesłychanie rozstrojona nerwowo. Bredziła coś o Bissingerze. Domyślam się, że wiedziała wiele o tej całej sprawie i że jej „opiekunowie” woleli ją na wszelki wypadek zabrać.

– Do licha – zaklął inspektor. – Jak pan mógł tego nie przewidzieć?

– Owszem, przewidywałem to. Kazałem ją specjalnie pilnować, a jednak...

– To jakaś świetnie zorganizowana szajka – zauważył Hawkins.

– Tak. Wydaje mi się, inspektorze, że rzeczywiście przeciwnicy tym razem nie są do pogardzenia.

Hawkins wyjął z kieszeni gruby notes i począł pilnie przeglądać jakieś notatki. Gordon w zamyśleniu chodził po pokoju i od czasu do czasu rzucał roztargnione spojrzenia na inspektora. Wreszcie przerwał swój spacer i zadzwonił na Horacego.

– Podaj nam koniak – rozkazał, gdy do gabinetu wsunął się ostrożnie ogromny nos służącego.

– Mam niewiele czasu – zauważył Hawkins. – Muszę jechać do Scotland Yardu.

– Jeszcze pan zdąży. Tymczasem napijemy się po kieliszku. Może to nam trochę rozjaśni w głowach.

– Nie należy zaniedbywać żadnych możliwości – zaśmiał się Hawkins. – Dobry koniak posiada niekiedy cudowne własności.

– No właśnie. – Doktor nalał kieliszki i popatrzał pod światło na złotawy płyn. – Ale, ale – powiedział pośpiesznie, jakby sobie coś nagle przypominając. – Czy pan zapisał nazwiska tych dwóch ludzi, którzy rozstali się z życiem rzekomo na skutek nocy spędzonej w gospodzie owego Darlena?

Hawkins skinął głową.

– Oczywiście – odparł przelękając koniak. – Herrington, lekarz, i Torsson, kupiec.

– Sądzę, że będziemy musieli zasięgnąć bliższych informacji o tych ludziach – powiedział Gordon. – Dobrze by było

sprawdzić, w jakich okolicznościach umarli i kiedy byli gośćmi Darlena.

– Myślałem już o tym – pokiwał głową Hawkins. – Wydam polecenie zbadania tej sprawy.

– No napijmy się jeszcze, inspektorze – uśmiechnął się doktor. – Za pomyślność naszej imprezy.

– All right – zgodził się chętnie Hawkins, podsuwając kieliszek. – Rzeczywiście wyśmienity koniak.

Podczas gdy Gordon z inspektorem popijali wysokogatunkowy francuski koniak, Antoni szedł wolno ulicami miasta, usiłując odzyskać swą zwykłą równowagę ducha. Wypadki ostatnich dni wciągnęły go w jakiś wir niesamowitych przeżyć, z których nie było sposobu się wyplątać. Farrow, piękna Eliza, niesamowita gospoda Darlena, wreszcie policja, Scotland Yard i to fantastyczne podejrzenie o morderstwo. Wszystko to razem wydawało się Antoniemu czymś tak nieprawdopodobnie nierealnym, że co chwilę musiał sprawdzać, czy nie śni, albo czy nie jest ciężko chory. Cała ta sytuacja przestawała go już właściwie bawić i najchętniej zrełby z tych sensacyjnych materiałów literackich. Pomyślał o swym cichym, miłym mieszkanku na Oxford Street i przeklinał w duchu chwilę, gdy jakiś diabeł doradził mu zatrzymać się w Farrow. Dotychczas nie umiał sobie wytłumaczyć, po kiego licha wysiadł w tej dziurze. Z niechęcią pomyślał o tym, że będzie musiał znowu tam wrócić. Nie było jednakże innego wyjścia. Obiecał to przecież doktorowi Gordonowi. Ostatecznie lepiej było mieszkać w gospodzie Darlena, aniżeli siedzieć w więzieniu i czekać cierpliwie na wyniki śledztwa, które mogło trwać miesiącami. Było rzeczą zupełnie niepojętą, w jaki sposób jego portfel znalazł się nagle w sypialni tego Bissingera, ale fakt pozostawał faktem i Antoni jasno zdawał sobie sprawę z tego, że sytuacja jego nie jest najlepsza. Jak najszybsze wyjaśnienie tego wszystkiego leżało w jego własnym interesie. Musiał dopomóc policji, inaczej mogło być z nim źle. Cóż z tego, że jest niewinny, jeśli nie może dowieść swej niewinności.

Czytał swego czasu dość dużo o różnych pomyłkach sądowych i nie miał najmniejszej ochoty paść ofiarą takiej właśnie fatalnej pomyłki. Czuł, że ktoś uknuł przeciw niemu szatańską intrygę, ale nie mógł pojąć tego, komu mogło zależeć na pogrążeniu go. Nie miał wrogów i nie prowadził z nikim walki. Czyżby rzeczywiście doszło do tego, że trzeba by brać pod uwagę działalność jakichś sił nadprzyrodzonych? Uwaga inspektora była najzupełniej słuszna. Portfel samodzielnie nie mógł przefrunąć z Farrow do Londynu.

Antoni potarł w zamyśleniu czoło i przyśpieszył kroku. Nagle uświadomił sobie, że już od dłuższego czasu jest bardzo głodny. Nie namyślając się więc, wstąpił do pierwszej napotkanej restauracji i kazał sobie podać coś do zjedzenia i kieliszek whisky. Wysoki, bardzo chudy kelner o twarzy Mefistofelesa i potęż, krzaczastych brwiach przyjął z pogardliwym wyrazem twarzy zamówienie.

Antoni wyjął papierosa i rozejrzał się odruchowo po sali. Niedaleko jego stolika pod oknem siedziały jakieś dwie panie, prowadzące ze sobą bardzo ożywioną rozmowę. Dalej na prawo potężny grubas o apoplektycznym karku pił dużymi łykami piwo z ogromnego kufła. W głębi mizerny młodzieniec starał się bez skutku zabawić mocno umalowaną i niezwykle znudzoną dziewczynę. Przy bufecie trzej robociarze pili piwo i głośno rozmawiali o polityce. Tłusty gospodarz lokalu nalewał skwapliwie szklanki, zerkając niespokojnie na wszystkie strony.

W tej chwili niechętny kelner postawił przed Antonim dużą porcję dymiącego gulaszu i „wzmocniony” kieliszek whisky. Antoni zgasił papierosa i zabrał się z apetytem do jedzenia. Gulasz był trochę twardy, ale świeży i bardzo gorący.

Nagle Antoni posłyszał swoje nazwisko. Przełknął spory kawał mięsa i spojrzał uważnie. Dwie damy siedzące pod oknem nie zwracały na niego najmniejszej uwagi.

Co one mogą o mnie gadać? – pomyślał zdziwiony i począł ostrożnie obserwować swe sąsiadki. Jedna z nich, zażywna niewiasta około pięćdziesiątki, z krótko podstrzyżoną utlenioną czuprynką, tłumaczyła coś z zapałem młodej, przystojnej kobiecie ucharakteryzowanej na typowego wampa. Wyskubane

fantastycznie brwi oraz silnie ukarminowane usta nadawały bladej twarzy trochę niesamowity wyraz. Antoni znowu pośluszał swoje nazwisko. Teraz już był zupełnie pewien, że się nie myli. Nieznajome mogły wprowadzić rozmawiać o jakiejś jego ostatniej powieści, ale wydało mu się, że rozmowa nie toczyła się na tematy literackie. Czyżby te kobiety miały coś wspólnego z...? W każdym należało je obserwować. Kto wie, może sam los zsyła mu okazję pochwylenia nici tej całej sprawy.

Skinął na kelnera i kazał sobie podać rachunek. Na wszelki wypadek wolał zapłacić, aby w każdej chwili mógł swobodnie wyjść z restauracji. Wyjął z kieszeni płaszcz gazetę i udając zaczytanego, starał się pochwylić strzępy rozmowy dwóch kobiet. Niestety, nie udało mu się już nic więcej ciekawego posłuszyć. Mówiły teraz ciszej i dolatywały go tylko poszczególne nic nie znaczące słowa.

W pewnej chwili tęga utleniona blondynka skinęła na kelnera i zapłaciła. Następnie zaś obie panie poprawiły sobie fryzury i skierowały się ku wyjściu. Antoni wyszedł zaraz za nimi. Postanowił przekonać się, czy jego domysły były słuszne.

Tajemnicze nieznajome szły pewien czas bardzo szybko, aż wreszcie skręciły w boczną ulicę i wsiadły do oczekującego je niedużego sportowego wozu.

Antoni pośpiesznie zatrzymał przejeżdżającą właśnie taksówkę i kazał szoferowi jechać ostrożnie w ślad za zgrabnym złotym autem. Nie miał pewności, czy przypadkiem nie ulega jakimś złudzeniom, ale na wszelki wypadek wolał nie omijać żadnej okazji dowiedzenia się czegoś o całej tej zwariowanej sprawie.

Sportowy wóz prześlizgiwał się zręcznie pomiędzy ciężkimi limuzynami tłoczącymi się na jezdni. Ściganie samochodu po ulicach Londynu nie należy do rzeczy najłatwiejszych, toteż Antoni musiał co chwilę podniecać szofera do żywszej akcji, obawiając się, że auto z dwiema damami zniknie mu z oczu bezpowrotnie.

– Że też się panu chce uganiać tak za kobitkami – mruknął niechętnie szofer, który w czynnościach Antoniego przeczuwał

jakaś romantyczną eskapadę. – Niech sobie jadą na złamanie karku. Znajdzie pan inne. Tego u nas nie brak.

Antoni uśmiechnął się, ale nie wyprowadzał poczciewca z błędu. Tego rodzaju przypuszczenia były mu w danym momencie na rękę.

– Prędzej, prędzej – zawołał nerwowo. – Prędzej, bo policjant zamknie ruch.

Wydostali się wreszcie na mniej ruchliwe ulice miasta i samochód mógł swobodnie się poruszać. Antoni obawiał się, ażeby w sportowym wozie nie zauważono pościgu, ale jadące przodem nieznajome nie zwracały na niego uwagi i żadna z nich nie odwróciła się ani razu.

Jeszcze pół godziny jazdy i żółte auto zatrzymało się przed dużą, czteropiętrową kamienicą, wsuniętą trochę w głąb obszernej posesji. Przed nią zielenił się niespodziewanie niewielki ogródek.

Sportowy wóz oznajmił swe przybycie donośnym klaksonem i kierowany wprawną ręką wjechał do bramy. Antoni kazał szoferowi skrócić w pierwszą bocznicę i stanąć. Wsiadł pośpiesznie i zapłacił za kurs. Szofer mruknął coś pod nosem, wzruszył ramionami i natychmiast odjechał. Antoni zaś stanął na rogu i przez chwilę zastanawiał się nad tym, co właściwie powinien przedsięwziąć.

Szukać w kamienicy nieznajomych kobiet nie było sprawą prostą. Wejść do garażu i dopytywać się o właścicielki sportowego wozu także nie miało sensu. Jakże mógł uzasadnić tego rodzaju wywiad? Przecież nie był z policji. Nagle zbawcza myśl przysłała mu do głowy. Ten szofer z taksówki nie był wcale takim głupim człowiekiem. Najlepiej będzie udawać młodzieńca olśnionego urodą pięknej nieznajomej. To było najrozsądniejsze wyjście z sytuacji. Rola może trochę mało prawdopodobna w tych ciężkich, zmaterializowanych czasach, ale Antoni liczył na odwieczne słabostki. Ostatecznie któraż z pań nie lubi być adorowana i podziwiana? Musiał zaryzykować.

Tak rozmyślając Antoni począł się przechadzać przed kamienicą, w której wnętrzu zniknęło przed chwilą sportowe auto. Nie starał się kryć. Spacerował powoli jak człowiek, który

ma dużo czasu. Zaglądał w okna, przystawał, słowem, zachowywał się zupełnie swobodnie i naturalnie. Po pewnym czasie jednakże znudziła mu się ta warta i postanowił działać bardziej energiczniej. Nie namyślając się długo, wszedł do bramy i rozejrzał się ciekawie wokoło.

Dość duże, czysto zamiecione podwórze było otoczone boksami samochodowymi, pozamykanymi na kłódki. W kącie na prawo jakiś barczysty drab majstrował coś koło rozmontowanej ciężarówki. Spostrzegłszy Antoniego obrzucił go niechętnym spojrzeniem i bez słowa wrócił do swej roboty.

– Przepraszam pana – powiedział Antoni, uchylając uprzejmie kapelusza. – Przepraszam pana, ale chciałem o coś zapytać,

– Czego – warknął niezbyt zachęcająco drab, spoglądając spode łba na wytwornego młodzieńca. Antoni nie zmieszał się wcale.

– Przed piętnastu minutami wjechał do tej bramy sportowy samochód z dwiema eleganckimi damami, czy tak?

– A jeżeli nawet tak, to co z tego? – mruknął szofer.

Antoni włożył rękę do kieszeni, a następnie wsunął płaską monetę do dłoni swego nieuprzejmego rozmówcy. Pod wpływem okrągłego metalu ponura twarz barczystego mężczyzny złagodniała nieco.

– Chciałbym ód pana coś posłyszeć o tych paniach, które przyjechały tym żółtym sportowym wozem – mówił pośpiesznie Antoni, jakby się bał, że zbawienny ływ monety przestanie zaraz działać. – Chodzi mi przede wszystkim o tę młodą.

Szofer roześmiał się rubasznie.

– O tę młodą panu chodzi, he, he, he.

Antoni udał zażenowanego.

– Widzi pan. Chciałbym się bardzo zaznajomić z tą panią. Pan mnie chyba zrozumie, jako mężczyzna, prawda?

– He, he. Co nie mam rozumieć – zarechotał. – Pewnie, że rozumiem.

– No właśnie – ucieszył się Antoni – Czy mógłby mi pan powiedzieć, kim jest ta pani?

– A diabli ją wiedzą. To nie jest moja znajoma. Przyjeżdża, odjeżdża i tyle.

– Masz tobie – mruknął Antoni. – Ale mieszka w tym domu, prawda?

– Może i mieszka. Kto ją tam wie.

Antoni machnął ze zniechęceniem ręką. Tak już się pomyślnie zaczynała rozwijać pogawędka, a tu tymczasem nic z tego. Ten oberwaniec albo naprawdę nic nie wie, albo jest sprytniejszy, aniżeli na to wygląda.

– Ano trudno. Widzę, że się od pana niczego nie dowiem.

– Zdaje się, że nie, mister Walton.

Antoni drgnął gwałtownie, ale opanował się błyskawicznie i nie okazał zdziwienia.

– Co pan powiedział? – spytał spokojnie.

– Powiedziałem, że nie, mister Walton – powtórzył z uśmiechem drab.

Dopiero w tej chwili Antom uświadomił sobie, że umorusana twarz szofera nie jest mu obca. Nie mógł sobie jednak uświadomić, gdzie widział już tego człowieka. Postanowił się wycofać.

– W takim razie bardzo przepraszam – powiedział nie zwracając uwagi na to, że posłyszał swoje nazwisko. – Do widzenia panu. – Począł z wolna iść w kierunku bramy, nie spuszczać jednakże z oczu swego nowego znajomego.

– A dokąd to tak nagle panu śpieszno? – spytał drab, prostując się na całą wysokość. – Jeszcze wcześniej. Porozmawiamy.

– Niestety, już muszę odejść – rzucił pośpiesznie Antoni. – Przepraszam.

Szofer ujął w kosmatą łapę duży francuski klucz i szedł wolno ku Antoniemu, kołysząc się rytmicznie na krzywych nogach.

– Nie tak prędko, kociaku, nie tak prędko – mówił z ponurym uśmiechem. – Jeszcze się chwilę pobawimy.

Antoni w jednej chwili zrozumiał, że to nie żarty. Błyskawicznie przebiegła mu przez głowę myśl o rewolwerze, który miał w tylnej kieszeni spodni. Nie było już jednak czasu na to, aby rozpiąć płaszcz i wydobyć broń. Trzeba było działać

natychmiast. Wiedział doskonale, że przeciwnik ma ogromną nad nim przewagę, ale ufał w swą zwinność. Był niezłym sportowcem i znał boks.

Szofer zadał potężny cios, który byłby niewątpliwie zabił na miejscu Antoniego. Ten jednakże uskokzył w bok i całą siłą kopnął draba w brzuch. Olbrzym jęknął głucho i zatoczył się w tył. Z tego momentu skorzystał Antoni. W kilku susach znalazł się w bramie i wypadł na ulicę. Biegł, ile miał sił w nogach, nie zważając na to, że przechodnie patrzą na niego ze zdziwieniem. Po pewnym czasie zwolnił i obejrzał się za siebie. Nikt go nie gonił.

Otarł zroszone potem czoło i przystanął. Czuł się w gruncie rzeczy bardzo głupio. Rozejrzał się i wsiadł do przejeżdżającego autobusu. Wolał być jak najdalej od tego miejsca. Nieustannie prześladowała go twarzponurego draba. W żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, ale był przekonany, że już gdzieś go spotkał, nie wiedział tylko gdzie i w jakich okolicznościach. Po pewnym czasie wysiadł z autobusu i począł się zastanawiać nad tym, co ma robić dalej. W pierwszej chwili chciał odszukać doktora Gordona i opowiedzieć mu o całym zdarzeniu. Po namyśle jednak zrezygnował z tego zamiaru. Wydawało mu się, że nie ma się czym chwalić. Postanowił, nie zwlekając dłużej, jechać do Farrow. Nie pozostawało mu właściwie nic lepszego do zrobienia.

Wynajął więc samochód i kazał się zawieźć do gospody Darlena. Szofer nie miał ochoty na taki daleki kurs, ale zachęcony sowitym napiwkem zgodził się wreszcie i zapuścił motor.

W drodze Antoni raz jeszcze począł przetrawiać to wszystko, co mu się przytrafiło. Uświadomił sobie, że właściwie przypadkiem tylko uniknął śmierci. Nie było bowiem wątpliwości, że ten bandyta chciał go zabić. Ocaliła go tylko własna zręczność i ociężałość napastnika. Z jakąż łatwością mógł teraz leżeć nieżywy w jakiejś ciemnej i wilgotnej piwnicy, gdzie by go na pewno zawleczone. Brrr. Wzdrygnął się i odruchowo zapiął płaszcz pod szyją. To były niezbyt miłe rozważania.

Samochód z dużą szybkością gnał po gładkiej powierzchni szosy. Antoni rozsiadł się wygodnie i patrząc w okno, starał się myśleć o czymś przyjemniejszym. Ciągłe jednakże chwycił się na tym, że zastanowia się nad tą całą tajemniczą sprawą. Jakżeż już poczynił marzyć o tym, żeby się jakoś z tego wszystkiego wycofać. W tej chwili przypomniał sobie Elizę. Błada, niezwykle delikatna twarz dziewczyny wydała mu się teraz jakaś bardzo bliska. Te duże, zamysłone oczy patrzyły na niego poprzez samochodowe okno, za którym 1 już wieczór. – Eliza – szepnęła do siebie Antoni – Eliza.

Czyżby ta dziewczyna stała się dla niego czymś więcej aniżeli miłą, przygodną znajomą?

W tej chwili uświadomił sobie, że dotychczas jego stosunek do kobiet był zawsze niesłychanie powierzchowny. Jako młody, przystojny, dobrze się zapowiadający literat miał duże powodzenie i nie potrzebował się zbytnio wysilać, aby zdobyć względy jakiejś piękności. Zadowalał się przygodnymi, łatwymi sukcesami i traktował kobiety jako bardzo miły dodatek do innych spraw życiowych. Flirtów, romansów i przygód miał bez liku, ale ani wytworne damy z high life'u, ani dziewczęta z bulwarów i domów mód nie potrafiły go na dłużej zainteresować.

Sięgnął po papierosa. Nie spostrzegł nawet, że byli już niedaleko Farrow. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że bardzo pragnie znowu zobaczyć Elizę. Niepokoił się, co się z nią dzieje i czy nie potrzebuje jego pomocy. Stary Pings zrobił na nim niezbyt miłe wrażenie. Eliza na pewno nie miała lekkiego życia. Biedna mała.

– Gdzie zajedziemy? – spytał nagle szofer, przerywając Antoniemu rozmyślenia.

– To już Farrow?

– Tak. Właśnie dojeżdżamy.

Antoni zastanowił się chwilę. Wolał nie zajechać autem do gospody Darlena, a poza tym miał nadzieję, że może przypadkiem spotka gdzieś Elizę.

– Niech pan tutaj stanie – powiedział, gdy wjechali w pierwsze zabudowania miasteczka. – Dalej już pójdę pieszo.

– All right – rzucił szofer i zahamował. – Ja także wolę dalej nie jechać.

– A to dlaczego? – zainteresował się Antoni

– A to pan nie słyszał, że tu podobno straszy w tej dziurze?

– Boi się pan duchów?

Szofer wzruszył ramionami.

– Bać się nie boję, ale po co mam się tu tłuc po nocy.

Antoni wysiadł i zapłacił. Stał chwilę, czekając, aż samochód odjedzie. Następnie przełożył rewolwer z kieszeni spodni do płaszcza i ruszył wolno w kierunku szarzejących w mroku domów.

Wieczór był cichy i pogodny. Ciepłe, przesycone wilgocią powietrze kołysało się łagodnie. Przydrożne drzewa szeleściły resztkami zeschniętych liści. W szarym blasku gasnącego dnia rysowały się niewyraźne, zamglone kontury domów. Gdzieś w oddali zabłysło okno pierwszym światłem.

Antoni szedł powoli znaną już drogą. Przypomniawszy sobie ową straszliwą ulewę, poprzez którą brnął tędy po raz pierwszy. Uśmiechnął się na myśl o tym, jak fatalnie przemoczył sobie wtedy buty. Tamten wieczór wydał mu się nagle jakiś niezwykle odległy, a przecież to wszystko stało się tak niedawno.

Znalazłszy się przed domem profesora matematyki, przystanął chwilę, jak by na coś czekał. Miał niejasną nadzieję, że może Eliza będzie wracała o tej porze do domu, może ją spotka przypadkiem. Ale nie. Ulica była pusta, tylko środkiem jezdni stary, chudy koń ciągnął z trudem ciężki wóz. Antoni podniósł głowę i spojrzawszy w okna. Błyszczały jasnym światłem. Zapewne Eliza o tej porze przygotowuje ojcu kolację. Gdyby tak pchnąć furtkę i zastukać do tych drzwi, jak wtedy. Ale nie, to byłoby głupie. Czymże mógłby teraz wytłumaczyć późną wizytę? Ujrzał ponurą, milczącą twarz starego Pingsa i zniechęcił się zdecydowanie do tej myśli.

Nie, nie, nie miało sensu narażać się na impertynencje zgorzkniałego brodacza.

Gdzieś w oddali zaszczekał bez przekonania pies. Antoni drgnął, jakby zbudzony ze snu. – Nie doczekam się Elizy – szepnął z rezygnacją i zapiawszy pod szyją płaszcz, ruszył

ociężałym krokiem w kierunku gospody Darlena.

Oberżysta ujrawszy swego lokatora, nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Już pan wrócił?! – zawołał, witając przybyłego uprzejmym ukłonem.

– Ano wróciłem – mruknął niechętnie Antoni, który nie był usposobiony do konwersacji towarzyskiej.

– Sądziłem, że pan dłużej zabawi w Londynie. Przypuszczałem nawet, że pan już do nas nie zawita – powiedział domyślnie Darlen.

– A dlaczegoż by to? Załatwiłem tylko sprawę z moim wydawcą i jestem z powrotem. Niech pan nie zapomina o tym, że postanowiłem zaznajomić się bliżej z pańskimi duchami.

– A oczywiście, oczywiście. Ogromnie się cieszę, naprawdę ogromnie się cieszę.

– To doskonale – uśmiechnął się Antoni, którego zawsze bawił ten zawodowy ton oberżysty. – Czy mój pokój wolny?

Darlen zaśmiał się.

– Ależ oczywiście. A któż by mógł tu zamieszkać?

– To prawda. Zapomniałem.

– Czy podać panu do pokoju gorącą herbatę?

– Jeżeli jest, to bardzo chętnie się napiję.

Oberżysta pobiegł do kuchni, Antoni zaś wolno wywindował się do siebie na górę. Poczul się nagle bardzo zmęczony. Marzył o łóżku.

W niespełna dziesięć minut Darlen przyniósł mu szklanekę herbaty i parę kanapek z szynką.

– Mam nadzieję, że będzie pan miał dobrą noc – powiedział stawiając to wszystko na stoliku. – Dobranoc panu.

– Dobranoc – ziewnął Antoni i zdjął marynarkę.

Zamknął dokładnie drzwi na klucz, obszedł cały pokój, sprawdził rewolwer i dopiero wtedy zaczął się rozbierać. Leżąc już w łóżku, popijał z wolna herbatę i zastanawiał się nad swą sytuacją.

A więc był znowu w Farrow, w niesamowitej gospodzie Darlena. Doktor Gordon widocznie pokładał w nim jakieś nadzieje, skoro zdecydował się go tutaj przysłać. Co jednakże

właściwie należało przedsięwziąć? Tak czy inaczej musiał podjąć znowu przerwane badania, nie wtajemniczając w nie zbyt wiele oberżysty. Trudno było ostatecznie przewidzieć, jaką rolę odgrywał on w tej całej sprawie. Tajemnicza historia z portfelem wskazywałaby na to, że w gospodzie Darlena działają jakieś nieznane, a wrogie siły, które pragną jego zguby.

Może lepiej nie jeść tych kanapek – pomyślał Antoni, ale w tym momencie spostrzegł, że refleksja jest nieco spóźniona. Na talerzu pozostało zaledwie parę okruchów i skórka z szynki. Jeśli kanapki były zatrute, nie pozostawało zrobić nic innego, jak spokojnie oczekiwać śmierci. Antoni jednakże czuł się znakomicie i tylko powoli zaczynała go ogarniać coraz większa senność. – Ha, trudno – mruknął do siebie i zgasił światło. Zasnął niemal natychmiast. Ostatnią jego myślą było, gdzie mógł spotkać tego opryszka, który chciał go zamordować kluczem francuskim.

Nazajutrz dzień był pogodny. Słabe jesienne słońce złożyło dachy domów i nagie gałęzie drzew. W górze jaśniało nikłym, trochę zamglonym błękitem niebo. Za oknami ćwierkały wesoło wróble, nie zdając sobie sprawy z grozy nadchodzącej zimy.

Antoni ochoczo wyskoczył z łóżka. Czuł się rześki wypoczęty. Odbył poranną gimnastykę, ogolił się i ubrał bardzo starannie. Miał zamiar zobaczyć się z Elizą. Ukończywszy swą toaletę zszedł na dół i poprosił o śniadanie. Wczorajsze obawy przy świetle dziennym wydały mu się śmieszne. Po cóż, u diabła, Darlen miałby go truć. To było zupełnie idiotyczne przypuszczenie.

Oberżysta, jak zwykle niesłychanie uprzejmy, spytał, jak Antoni spędził noc, chwalił piękną pogodę, zebrał z podłogi jakieś papierki, wypowiedział swoje zdanie na temat polityki zagranicznej i skierował się do wyjścia. Antoniemu, który go przez cały czas dość uważnie obserwował, wydało się, że Darlen wychodząc obrzucił szybkim spojrzeniem rewolwer leżący na nocnym stoliku. Nie był jednakże tego pewien.

Farrow w promieniach jesiennego słońca wyglądało wesoło. Antoni przechadzał się wąskimi ulicami, ciesząc się pięknym dniem i spoglądając z zadowoleniem na pogodne twarze przechodniów. Wszelkie niesamowitości zniknęły tego ranka bez śladu. Małe, zwykłe miasteczko, z poczciwymi, sympatycznymi ludźmi, zajętych swymi codziennymi drobnymi sprawami.

Antoni szedł wolno, jak człowiek, który ma dużo czasu. Rozglądał się bacznie wokoło. Miał nadzieję, że przecież spotka Elizę. Na widok każdej zgrabnej, smukłej sylwetki kobiecej odczuwał jakiś dziwny niepokój. Wreszcie po dwugodzinnej przechadzce przypomniał sobie, że przecież Eliza pracuje i że o tej porze na pewno nie spaceruje po mieście. Machnął zniechęcony ręką i postanowił na razie zrezygnować z dalszych poszukiwań. Poczuli, że jest trochę zmęczony. W tej chwili spostrzegł, że znajduje się przed tą samą kawiarenką, w której ostatni raz rozmawiał z Elizą. Postanowił odpocząć i napić się kawy. Wszedł i drgnął gwałtownie. Przy tym samym stoliku... Nie? Czy to możliwe?

Nie zauważyła go. Siedziała zwróconą twarzą do okna i mieszała cukier w swej szklance. Była bardzo zamyślona.

Antoni zbliżył się cicho.

– Dzień dobry – powiedział cicho, jak by obawiał się spłoszyć zjawę.

Eliza szybko odwróciła się ku niemu.

– Ach to pan? Jakże się cieszę!

– Pani mi pozwoli usiąść?

– Ależ oczywiście. Bardzo proszę.

– Czy pani może czeka na kogoś?

– Nie. Wstąpiłam tylko na kawę.

Antoni odetchnął. Przez chwilę przebiegła mu przez głowę myśl, że może Eliza przyszła tutaj na schadzkę.

– Czy pani dziś nie pracuje? – spytał, aby coś powiedzieć.

– Nie. Dzisiaj mam wolny dzień. – Spojrzała na niego i zaraz spuściła oczy. – Tak się cieszę, że pan wrócił. Bardzo się o pana bałam.

– Bała się pani o mnie?

– Tak. Bardzo się bałam.

– Dlaczego?

– Mówiłam już panu. Tutaj wszystko jest takie dziwne. Bałam się, że panu przytrafiło się coś złego. Wyjechał pan nagle, bez pożegnania.

– Nie miałem czasu przyjść się pożegnać, zresztą wiedziałem, że niedługo wrócę – skłamał Antoni. W pierwszej chwili chciał jej opowiedzieć całą historię o śmierci Bissingera i o nagłym aresztowaniu, ale po namyśle doszedł do przekonania, że lepiej będzie na razie o tym nie wspominać.

– Cieszę się, że pana znowu widzę – powiedziała Eliza. – Ale właściwie wolałabym, żeby pan tutaj już nie wracał.

– Ach tak?

– Niech się pan nie dziwi. Czuję, że panu tu coś grozi. Boję się o pana, bardzo się boję. Nie powinien był pan wracać.

– Dlaczego właściwie tak bardzo troszczy się pani o mnie?

Dziewczyna obląła się rumieńcem. Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Obchodzi mnie los każdego człowieka, któremu grozi niebezpieczeństwo – powiedziała wreszcie. – Czy pana to dziwi?

– Ależ nie, wcale mnie to nie dziwi.

Siedzieli czas jakiś w milczeniu. Antoni zapalił papierosa i spojrzał na Elizę. Nagły rumieniec zgasł i znowu twarz jej pობladła. Nerwowym ruchem mięła papierową serwetkę. Antoni miał ochotę wziąć ją za rękę i powiedzieć coś bardzo serdecznego. Bał się, że ona zaraz wstanie i odejdzie.

– Co za dziwny zbieg okoliczności, że właśnie tutaj panią spotkałem. Jak to się stało?

– Całkiem po prostu – uśmiechnęła się Eliza. – Spacerowałam dość długo, zmarzłam trochę i przyszłam się tutaj ogrzać.

Antoni mimo woli spojrzał na jej płaszczyk wiatrem podszyty.

– Trzeba się cieplej ubierać. Może się pani przeziębici. Proszę pamiętać, że to już jesień.

– Tak, to prawda. Znowu jesień. Czas leci Ach, żeby pan

wiedział, jak ja mam tego wszystkiego dosyć. – Wybuchnęła nagle.

– Jak to dosyć? Czego? Nie rozumiem.

– Dosyć wszystkiego. Świata, ludzi, życia. No w ogóle dosyć.

– Przyznam się pani, że ja osobiście bardzo cenię życie, a świat raczej mi się podoba. Nie jestem pesymistą.

– Jaki pan szczęśliwy – szepnęła w zamyśleniu.

Antoniemu zrobiło się jej żal.

– Panno Elizo – powiedział łagodnie. – Od pierwszego naszego spotkania wyczułem, że panią coś gnębi. Nie mam prawa pytać, ale gdyby pani zechciała mi powiedzieć, co panią dręczy, gdyby pani dała mi chociaż do zrozumienia, o co chodzi. Prawda, że znamy się bardzo krótko, ale czy to ważne? Mnie się osobiście wydaje, że znamy się już dawno. Nie wiem dlaczego, ale tak mi się zdaje. Niech pani powie, dlaczego pani nie jest szczęśliwa.

– Szczęśliwa? – Eliza zaśmiała się nieszczerze, a w głosie jej Antoni wyczuł hamowane z wysiłkiem łzy.

Nie pytał więcej. Bał się, że może posunął się za daleko. Zgasił papierosa i przeganiał palcami czuprynę.

– Jak się miewa pani ojciec? – spytał.

– Dziękuję, dobrze.

I nagle zapanowała między nimi jakaś sztuczna, konwencjonalna atmosfera. Eliza dopiła kawę i spojrzała wyczekująco. Antoni czuł się bardzo nieswojo. Tysiące chaotycznych słów cisnęło mu się na wargi, ale nie umiał właściwie sprecyzować tego wszystkiego, co chciał w tej chwili powiedzieć. Wreszcie jednakże postanowił przerwać ciężące im obojgu milczenie.

– Elizo – powiedział cicho. – Nie chciałbym, żeby mnie pani źle zrozumiała. Może nie mam prawa wdziierać się w pani życie, ale proszę mi wierzyć, że bardzo pragnę pani pomóc. Nie wiem, co mam robić, ale chcę wydobyć panią z kręgu jakiegoś udręczenia, w którym pani żyje. Tak dłużej być nie może. Chcę pani pomóc.

– Mnie nikt pomóc nie może – odparła drewnianym głosem Eliza. – Dziękuję panu za pańską dobroć, ale nic pan dla mnie zrobić nie jest w stanie. Muszę już iść – dodała nagle,

spoglądając na zegarek. – Zrobiło się bardzo późno.

Wstała. Antoni spojrział na nią z wahaniem.

– Szkoda, że nie ma pani do mnie zaufania. Źle mnie pani ocenia.

Podniosła na niego oczy pełne łez.

– Proszę, niech pan tak nie myśli. Ja, ja... i tak bardzo dużo panu zawdzięczani.

– Mnie?!

– Tak. Pan nigdy tego nie zrozumie. Niech mi pan wierzy, że ja pana źle nie oceniam. Bardzo chciałam pana znowu zobaczyć. – Umilkła nagle, opanowując drżenie głosu.

– Zrobię wszystko, aby pani pomóc – powiedział Antoni. – Może pani na mnie polegać.

Wyszli na ulicę i w milczeniu skierowali się ku domowi Elizy. Wesole słońce przedostawało się poprzez gałęzie drzew rzucając na jezdnię ukośne cienie. Antoni patrzył w zamyśleniu na złote włosy dziewczyny.

– Bardzo chciałbym się znowu z panią zobaczyć – odezwał się po chwili. – Nie wiem, jak długo pozostanę jeszcze w Farrow, a wydaje mi się, że dzisiaj nie skończyliśmy naszej rozmowy.

– Niech pan wpadnie do nas jutro wieczorem, bardzo proszę – powiedziała dziewczyna, nie patrząc na niego.

– Do państwa? Do domu?

– Tak. Bardzo proszę.

Antoni zawahał się.

– Nie chciałbym się narzucać ojcu pani.

– Niech pan przyjdzie jutro – powtórzyła Eliza. – Ojciec będzie rad.

– Dobrze. Dziękuję za zaproszenie.

– A więc do jutra.

Ujął jej drobną dłoń i uścisnął mocno.

– Więcej wiary, Elizo – powiedział.

Oddaliła się pośpiesznie, jak by chciała uciec przed tymi słowami

Antoni stał dłuższą chwilę zamyślony, zaskoczony swymi własnymi uczuciami. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bliską stała mu się ta blada dziewczyna. Nagle spostrzegł, że ktoś mu

się kłania. Odkłonił się machinalnie i spojrział uważniej. Minał go młody Darlen. Nagłe olśnienie.

– Już wiem! – zawołał tak głośno, że przechodząca w tej chwili obok staruszka spojrziała na niego jak na wariata.

Tak, tak – myślał pośpiesznie. – Nie ulega wątpliwości: ten opryszek, który chciał go zabić, był tym samym osobnikiem, który wtedy rozmawiał z synem oberżysty.

Podniecony swym odkryciem począł iść szybkimi, nerwowymi krokami. To przecież była sensacja. Jakiż związek miała rodzina Darlenów z tajemniczym domem w Londynie? O czym mógł wtedy rozmawiać Patrick z tym bandytą i co go z nim łączy? Czyżby celowo nasłał zbira? Ale nie. Przecież ten ponury drab nie mógł przewidzieć, że Antoni będzie śledził sportowy wóz. To wszystko wydawało się bardzo tajemnicze. W każdym razie jedno było pewne. Należało się mieć na baczności. Kto wie, jakie jeszcze czekają go niespodzianki.

Zapalił papierosa i idąc ulicami, zastanawiał się nad tym wszystkim. Miał chaos w głowie. Nie był w stanie zrozumieć tego, komu mogło zależeć na jego śmierci. Nie miał wrogów. Prowadzi życie dość uregulowane, uważał się za człowieka uczynnego, cieszył się przyjaźnią wielu osób. Nie mógł więc pojąć, kto i dlaczego nastawał na jego życie. A może to tylko zwykły zbieg okoliczności? Może młody Darlen nic o tym wszystkim nie wie i może ten drab działał wtedy na własną rękę, jakimiś sobie tylko wiadomymi względami? Może był zazdrosny o tę młodą damę?

Ta ostatnia koncepcja wydała się Antoniemu dość prawdopodobna. Postanowił ostrożnie wy badać Patricka. Zawrócił i pogwizdując ruszył w kierunku gospody.

Zastał oberżystę bladego i przerażonego.

– Co się stało? – spytał widząc niezwykle podniecenie grubasa.

– Znowu, panie, znowu! – jęknął Darlen i otarł zroszone potem czoło.

– Co znowu? – zainteresował się Antoni. – Niechże pan gada po ludzku.

Oberżysta rozejrział się niepewnie i pochylił się do ucha

Antoniego.

– Znowu chodził! Znowu!

– Kto chodził? Gdzie?

– No ten, chodził po suficie.

– Czegóż się pan tym tak przejął? – zdziwił się Antoni. – Chyba się pan już do tych spacerów zdążył przyzwyczaić.

Darlen potrząsnął głową.

– Tego jeszcze nie bywało, proszę pana! – zawołał gwałtownie. – Rozumiem w nocy, od czasu do czasu. Jak ma chęć, to trudno – jego prawo w nocy przejść się nawet i po suficie, ale w dzień, panie, w biały dzień! Tego już nie zniosę!

– Kiedyż to się stało? – spytał Antoni.

– Kiedy? Dzisiaj, dzisiaj rano, proszę pana. Po prostu dzisiaj rano.

– Jak to? Teraz?

– Ano tak. Właśnie teraz, z samego rana.

– Był pan w restauracji?

– No jakże? Przed chwilą tam byłem. Stamtąd idę.

– I widział pan świeże ślady na suficie?

– Tak jak pana widzę w tej chwili.

– A tamte już pan zamalował?

– A oczywiście, zamalowałem zaraz na drugi dzień. Ksiądz proboszcz kazał mi zamalowywać, to i zamalowuję za każdym razem.

Antoni pomyślał chwilę.

– Mówił mi pan za pierwszym razem, panie Darlen, że te ślady ukazują się zazwyczaj najczęściej co tydzień. A teraz przecież przed paroma dniami widzieliśmy razem z panem świeże ślady.

– No właśnie – przytaknął oberżysta. – Dotychczas to się zdarzało raz na tydzień, a nawet rzadziej, a teraz dwa dni i znów to samo. I do tego w biały dzień!

– Skądże pan ma pewność, że to się stało w dzień? Może właśnie w nocy.

– Nie, nie – zaprzeczył żywo Darlen. – Z samego rana sufit był czyściutki, aż miło było spojrzeć. Dopiero potem.

– To pan rano tam był?

– Tak.

– Po co?

Darlen zmieszał się trochę.

– Miałem tam jeszcze trochę wódki – powiedział niechętnie.

– Ach tak. No a potem? Po cóż drugi raz poszedł?

– Córka do mnie przyleciała, wołając, że w restauracji słychać jakieś szmery. Zaciekawiony pobiegłem zobaczyć.

– No i co? Nikogo nie było?

Darlen wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że nikogo. Kogóż bym mógł tam zobaczyć. Nie daj Boże. Sala była pusta, jak zawsze, ale na suficie zobaczyłem ślady.

– Czy można je obejrzyć? – spytał krótko Antoni.

– Naturalnie, ale ja już nie pójdę. Pan daruje, ale nie mogę.

– Dobrze. Ma pan klucz?

– Tak, tak, bardzo proszę.

Antoni zastanowił się chwilę.

– Nie rozumiem – powiedział, patrząc badawczo na oberżystę. – Nie rozumiem, dlaczego pan tak rozpacza z tego powodu, że stało się to w dzień.

– Mister Walton – zawołał Darlen. – Czyż naprawdę tak trudno to zrozumieć? Dotychczas powtarzało się to raz na tydzień najczęściej i tylko w nocy. W dzień człowiek był zupełnie spokojny i nie potrzebował się obawiać żadnych duchów. Można było coś robić, pracować. A teraz? Co teraz? Jeżeli będziemy dzień i noc żyli pod tym strachem, to jakież to życie, mister Walton? Niech pan sam powie. Jakież to życie? Czy ja wiem, a może on w tej chwili gdzieś się tu pomiędzy nami kręci?

– Kto?

– No on. Ten duch, który łązi po suficie. Czy ja wiem, co mu może do głowy przyjść, mister Walton?

Antoni strzepnął niecierpliwie palcami.

– Głupstwa pan gada – powiedział, obejrzawszy się mimo woli poza siebie. – Nie ma żadnych duchów.

Oberżysta z przerażoną miną położył palec na ustach.

– Psssst – szepnął gwałtownie. – Niech pan tak nie mówi.

Jeszcze się obrazi.

– Niech pan będzie spokojny – uśmiechnął się Antoni. – W razie czego przeprosimy tego gentlemiana. – Wziął klucz z rąk oberżysty i ruszył w kierunku restauracji.

Darlen mówił prawdę. Na świeżo pomalowanym suwidać było zupełnie wyraźne ślady tych samych zabłoconych butów. Antoniemu wydało się tylko, że tym razem krok był jak gdyby trochę chwiejny.

Pijany duch – pomyślał z uśmiechem i zaczął dokładnie oglądać całą restaurację.

Sala była duża, prostokątna i dość wysoka. Podłoga nowa, w bardzo dobrym stanie. Okna solidne, pozamykane na ciężkie, okute okiennice. Tylko jedne drzwi prowadziły na dwór. Drugie drzwi, wewnętrzne, zamurowano. Nigdzie nie można było zauważyć nawet śladu jakiegoś potajemnego, dodatkowego przejścia.

Antoni obszedł wszystkie kąty, opukał ściany, zbadał podłogę, wreszcie raz jeszcze obejrzał tajemnicze ślady na suficie i wyszedł do ogrodu. Był bardzo niezadowolony ze swej działalności. Pragnął za wszelką cenę zbadać tajemnicę spacerów po suficie, a tymczasem przez cały czas swego pobytu w gospodzie Darlena nie posunął się ani o krok naprzód. Zapalił papierosa i wrócił do oberżysty, który zupełnie zrezygnowany siedział na wąskiej ławeczce, niedaleko płotu.

– No i cóż? – spytał pośepnie. – Widział pan?

– Widziałem.

– No i cóż pan na to?

– Ano nic. Na razie nie potrafię nic panu na ten temat konkretnego powiedzieć.

Darlen pokiwał głową.

– Tak, tak. Nie chciałbym pana urazić, mister Walton, ale już niejedyn tutaj próbował poradzić sobie z tym wszystkim i nic. Seanse robili, jakieś sztuki. Diabli wiedzą co i nic z tego wszystkiego. Jak chodził drań po tym suficie, tak chodzi i nie ma na niego sposobu. Ha, cóż, trzeba będzie chyba ruszyć stąd w świat. Takiego życia nikt dłużej nie zniesie, ani ja, ani moja rodzina.

– Niech pan będzie jeszcze trochę cierpliwy – powiedział Antoni – Kto wie, może jednak uda mi się wystraszyć stąd tego ducha.

– Oj, dalby Bóg – pokiwał głową oberżysta. – Dalby Bóg.

– Czy pański syn jest teraz w domu?

– Nie. Wyszedł z samego rana i jeszcze nie wrócił. Może ma pan do niego jakiś interes, a może ja bym mógł coś załatwić?

– Nie, nie, dziękuję, nic ważnego.

Obiad Antoni zjadł u Darlena i całe popołudnie spędził na dokładnym przeszukiwaniu i badaniu ogrodu i okolicznych zarośli. Miał nadzieję, że może wpadnie na coś takiego, co by rzuciło chociażby wątłe światło na całą sprawę. Wszystko jednakże na próżno. Wokół gospody nie znalazł absolutnie nic interesującego ani podejrzanego.

Wreszcie po paru bezowocnie straconych godzinach udał się w kierunku szosy, na której zatrzymywała się owa tajemnicza limuzyna. Pragnął za wszelką cenę stworzyć sobie choćby najbardziej fantastyczną hipotezę. Nie mógł się w żaden sposób pogodzić z myślą, że wchodzi tu w grę naprawdę jakieś nadprzyrodzone siły. Uważał to za zupełnie bezsensowne, a jednak...

Szosa biegnąca opodal gospody Darlena nie odznaczała się niczym niezwykłym. Po obu stronach była obsadzona dużymi drzewami, które rzucały cień na gładką zwirową powierzchnię.

Antoni przez dłuższy czas przechadzał się tam i z powrotem, obejrzał dokładnie przydrożne rowy i pnie drzew, określił w przybliżeniu miejsce, gdzie widział ową tajemniczą szarą limuzynę, słowem, zrobił wszystko, co według niego powinien uczynić dobry detektyw. Jednakże rezultat tych badań był żaden. Cóż? Szosa jak szosa. Żadnych znaków, żadnych nadzwyczajnych śladów.

Zły i niezadowolony z siebie, wrócił do swego pokoju, kazał sobie podać kolację i wcześniej poszedł spać. Był zmęczony.

W nocy zbudził się nagle z tym przeświadczeniem, że coś się dzieje. Pośpiesznie zapalił światło i pochwyił rewolwer. Cisza.

Znowu nerwy – pomyślał Antoni i już miał się położyć z powrotem do łóżka, gdy posłyszał niewyraźne gwizdnięcie.

Szybko zgasił światło i podszedł do okna. Noc była chmurna i ciemna. Nagle pośród drzew błysnęło światło latarki elektrycznej. Ktoś najwyraźniej chodził po ogrodzie. Antoni bez namysłu ubrał się pośpiesznie i możliwie jak najciszej zbiegł na dół. Odryglował drzwi i wyszedł. Pomiędzy drzewami znowu mignęło światło. Z rewolwerem w ręku Antoni ruszył pędem w tamtym kierunku.

– Stać! – krzyknął rozkazująco. – Stać, bo strzelam.

Wtem ktoś go pchnął silnie i powalił na ziemię. W tej samej chwili rozległy się strzały.

– Niech pan jeszcze się nie podnosi – posłyszał tuż koło siebie spokojny głos. Odwrócił się gwałtownie. Przy nim klęczał doktor Gordon z rewolwerem gotowym do strzału.

Rozdział czwarty
DLACZEGO BISSINGER MIAŁ CZYSTE RĘCE?

W pierwszej chwili Antoni oniemiał ze zdumienia.

– Mister Gordon? To pan – szepnął.

– Tak, to ja – uśmiechnął się doktor. – Dlaczego pana tak to dziwi?

– Nie spodziewałem się zobaczyć pana. Jestem zaskoczony. Czy to pan tak mnie porządnie wyrznął w plecy?

Gordon skinął głową.

– Tak. Gdybym pana nie przewrócił, dostałby pan kulę. Jak można być tak nieostrożnym?

– To prawda. Nie spodziewałem się, że będą strzelać. Co to byli za ludzie?

– Nie mam pojęcia. Jedno jest tylko pewne, że nie byli to pańscy przyjaciele.

– Tak i mnie się wydaje. Chodźmy. Nie będziemy przecież do rana siedzieć w tych krzakach.

Gordon rozejrzał się bacznie w ciemnościach i podniósł się ostrożnie.

– All right – powiedział. – Chodźmy.

Przebiegli szybko przez ogród i dopadli gospody.

Drzwi były otwarte. Antoni pchnął je mocno i wpuścił doktora do wnętrza. Gordon oświetlił hall latarką.

Było pusto i cicho. Wydawało się, że nikt z mieszkańców nie słyszał strzałów i że cała gospoda pogrążona była w głębokim śnie.

Antoni, stąpając na palcach, zaprowadził niespodziewanego gościa do siebie na górę.

– Niech pan nie zapala światła – szepnął Gordon, widząc, że jego towarzysz szuka wyłącznika. – Lepiej posiedźmy sobie po ciemku. Zresztą zaraz zaczną świtać.

Zapalił papierosa i usiadł niedaleko stołu. Mały, czerwony

punkcik żarzył się w ciemnościach.

– Skąd się pan tutaj tak nagle wziął? – spytał Antoni, siadając na brzegu łóżka. – Przyznać muszę, że mnie pan zaskoczył. Dlaczego pan przyjechał?

– O tym pogadamy później – odparł doktor. – Na razie chciałbym usłyszeć od pana, co pan porabiał od chwili, gdyśmy się pożegnali w Londynie. To mnie obecnie najbardziej interesuje. Antoni zawahał się. Gordon jak by to wyczuł i przysunął bliżej swe krzesło. – Mister Walton – powiedział dobitnie. – Bardzo bym chciał, żeby pan nic przede mną nie ukrywał. Niech pan nie zapomina, że sytuacja pańska nie jest najlepsza. Ja osobiście nie wierzę w to, żeby pan był wmieszany w morderstwo Bissingera, ale nie wszyscy są tego samego zdania. Jeżeli pan chce mnie i sobie dopomóc, to proszę o bezwzględną szczerłość.

– Nie mam właściwie nic do ukrywania – mruknął Antoni.

– Tym lepiej, a więc słucham pana uważnie.

Antoni w krótkich słowach opowiedział swój pościg za tajemniczymi kobietami i awanturę z opryszkiem.

– Popełnił pan błąd – powiedział Gordon.

– Mianowicie?

– Trzeba było natychmiast ze mną się skomunikować. Źle się stało.

– Nie wiedziałem, że ta sprawa może mieć jakieś znaczenie – tłumaczył się Antoni.

Doktor zgasił papierosa.

– Obawiam się, że tak. No trudno, stało się. Na przyszłość bardzo proszę, żeby mnie pan o wszystkim natychmiast zawiadamiał. Jeden dzień zwłoki może grozić poważnymi konsekwencjami. O, już świta – dodał, spoglądając w okno.

Antoni odwrócił głowę. Zaczynało szarzeć. Na pobliskim drzewie odezwał się jakiś zbudzony ptak.

– Zapomniałem jeszcze panu powiedzieć, że znowu widziałem te ślady na suficie.

Gordon wstał i przeciągnął się, aż ręce zatrzeszczały w stawach.

– Jestem diabelnie zmęczony – mruknął. – Kiedy pan

widział ślady?

– Dzisiaj rano.

– Nie zauważył pan poza tym nic podejrzanego?

– Nie, absolutnie nic. Obejrzałem dokładnie całą restaurację, a nawet i szosę. Na nic jednakże ciekawego nie natrafiłem.

– Hm. – Doktor sięgnął po nowego papierosa. – Więc pan powiada, że ten człowiek, który nastawał na pańskie życie, pozostaje w jakimś kontakcie z Patrickiem Darlenem?

– Tak.

– A czy pan trafiłby w Londynie do tego domu? Zapamiętał pan adres?

– Oczywiście.

– Doskonale. Wydaje mi się, że właśnie tam będziemy szukać rozwiązania całej sprawy.

– Czyżby?

– Tak. Jeszcze trudno mi coś konkretnego powiedzieć, ale mam takie wrażenie, że te tajemnicze damy, za którymi pan jechał, bardzo nam będą pomocne.

– Możliwe – powiedział w zamyśleniu Antoni.

Darlen był niezmiernie zdziwiony zobaczywszy obcego człowieka w pokoju swego gościa. Przyniósł, jak zwykle, śniadanie na ogromnej tacy i nagle zatrzymał się w drzwiach speszony i zaskoczony.

– Przyjechał do mnie mój kuzyn – wyjaśnił pośpiesznie Antoni – Nie mógł się w nocy dostukać, więc sam mu otworzyłem. Poprosimy o jeszcze jedno śniadanie.

– Yes, sir – kiwnął głową skwapliwie oberżysta. – Zaraz przyniosę!

– Nic pan nie słyszał, jak stukalem? – spytał Gordon.

– Nie, nic nie słyszałem – uśmiechnął się głupkowato Darlen.

– Dziwne, ale nie słyszałem. Musiałem bardzo mocno spać.

– Widocznie.

– Proszę, niech pan je – zaprosił Antoni doktora, gdy oberżysta zniknął. – Kawa stygnie.

– A co pan myśli o tym typie? – spytał Gordon, smarując

bułkę masłem.

– O Darlenie?

– Uhm.

Antoni zrobił nieokreślony ruch ręką.

– Czy ja wiem. Przyznam się panu, że bardzo zachwycony to nim nie jestem.

– Ani ja – przyznał szczerze doktor. – Nie podoba mi się. Czy nie sądzi pan, że on może maczać palce w tym wszystkim?

– Mówi pan o tych spacerach po suficie?

– No tak.

Antoni potrząsnął głową.

– Nie. Nie zdaje mi się. Darlen jest szczerze tym wszystkim przerażany i zgnębiony.

– To może być tylko dobra gra aktorska.

– Oczywiście. Ale nie widzę absolutnie żadnego powodu, aby miał urządzić takie historie. Gospoda prosperowała przedtem doskonale, a teraz wszyscy ją z daleka omijają. W tych warunkach trudno przypuszczać, żeby Darlen...

– Tak, tak – przerwał doktor. – Oczywiście. Ano zobaczymy. Come in – rzucił posłyszawszy stukanie do drzwi.

Wszedł Darlen, niosąc drugą porcję jedzenia. Oberżysta twarz miał pobladałą, a w całym jego zachowaniu się znać było silne zdenerwowanie.

– Proszę. Jest śniadanie – powiedział, rzucając trwożne spojrzenia wokoło.

– Cóż pan taki przygnębiony, mister Darlen? – spytał Antoni.

– Czy stało się coś nowego?

– Ach nie, nie – zaprzeczył żywo oberżysta – nic się nie stało, absolutnie nic.

– Może pan znowu zobaczył ducha?

Darlen począł się trząść.

– Ja już dłużej nie mogę, ja tego dłużej nie wytrzymam – jęknął żałośnie. – My tu chyba wszyscy powariujemy. Ja i cała moja rodzina, żona, dzieci, o ja nieszczęśliwy!

– Ale co się stało, u diabła? Gadajże pan z sensem! – zawołał Antoni.

– Znowu widziałem ten samochód, znowu.

Antoni zerwał się.

– Kiedy? Gdzie? Co pan mówi?

– Mówię prawdę. – Darlen zniżył głos do szeptu. – Mówię prawdę. Teraz jak poszedłem po śniadanie, widziałem przez okno ten samochód, szara limuzyna.

– Chodźmy – powiedział Gordon, wstając z miejsca.

Wyszli przed dom i ruszyli szybko w kierunku szosy. Żadnego samochodu jednakże nie było. Wokół cisza, tylko wiatr szumiał między drzewami.

– Może mu się zdawało – mruknął Antoni, rozglądając się bezradnie.

Gordon w zamyśleniu przechadzał się po szosie ze spuszczoną głową i grubą okutą laską trącał machinalnie drobne kamienie. W pewnym momencie schylił się i podniósł garść żwiru, który wsunął do kieszeni.

– Więc pan twierdzi, że na własne oczy widział pan ten tajemniczy samochód? – spytał nie podnosząc głosu.

– Oczywiście. Widziałem na własne oczy – przytaknął Antoni.

– I nikt nie wysiadł z owej szarej limuzyny? Jest pan tego pewien?

– Najzupełniej. Widziałem zupełnie wyraźnie.

– I zjrzał pan do wnętrza samochodu?

– Tak.

– I nikogo pan nie zobaczył?

– Nikogo. Auto było puste.

– Jak pan to sobie tłumaczy? Przecież samochód nie mógł jechać bez szofera.

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami Antoni. – To jakaś niesamowita sprawa.

– No chodźmy już stąd. Nic tu po nas – mruknął Gordon i ruszył ku gospodzie. – Jakie pan ma plany na dzisiaj? – spytał po chwili, spoglądając na Antoniego.

– Właściwie żadnych. Wieczorem jestem zaproszony do jednych państwa.

– Można wiedzieć do kogo?

– Do profesora Pingsa.

Doktor zdawał się myśleć o czym innym.

– Pójdzie pan tam? – spytał obojętnie.

– Chyba tak.

– Czy ta wizyta ma coś wspólnego z naszą sprawą?

– Ach nie – uśmiechnął się Antoni – Absolutnie nic.

– Mister Walton – powiedział doktor, zapalając papierosa. – Chciałbym, żeby pan jeszcze przez pewien czas pozostał w Farrow. Może uda się panu wyjaśnić jakoś sprawę tej limuzyny. Wydaje mi się, że musimy w jakiś sposób powiązać ze sobą tutejsze tajemnicze zjawiska ze sprawą zamordowania Bissingera.

Antoni spojrział z zainteresowaniem.

– Bardzo chciałbym wiedzieć, jakie są pańskie przypuszczenia w tej sprawie. Jestem pewien, że już pan coś wie.

Gordon uśmiechnął się.

– Niech pan sobie wyobrazi, że właściwie jeszcze nic nie wiem. Mam trochę luźnych faktów, wokół których snuję niepewne przypuszczenia. Nie, nie, niestety jeszcze nic konkretnego nie mogę powiedzieć. W każdym razie pragnę pana prosić o pomoc. Chciałbym, żeby pan troskliwie czuwał nad tą gospodą, Darlenem i całą jego rodziną. Niech pan jednakże będzie ostrożny. Sądząc po dzisiejszej nocy, nie cieszy się pan tutaj specjalną sympatią. Musi pan bardziej na siebie uważać. Porozumiałem się z tutejszym posterunkiem policji. Może pan w każdej chwili od nich telefonować, a poza tym w razie potrzeby dadzą panu swój wóz. Chciałbym, żeby mnie pan natychmiast zawiadomił, gdyby się coś stało niezwykłego. Niech pan pamięta, że od szybkiej akcji zależy powodzenie naszej sprawy.

– All right – zgodził się Antoni – Postaram się. Zrobię, co będę mógł.

– Chciałbym jeszcze obejrzeć tę restaurację i ślady na suficie – powiedział Gordon. – Czy może mi pan to ułatwić?

– Oczywiście. Wezmę tylko klucz od Darlena.

Gdy znaleźli się koło gospody, doktor uważnie obszedł cały budynek dokoła i dokładnie obejrzał.

– Czy pan zauważył, że fundamenty i podmurówka różnią się

bardzo od ścian? – zwrócił się do Antoniego.

– Tak. Zauważyłem. Mam wrażenie, że fundamenty są bardzo stare.

– Niech pan na chwilę zawoła oberżystę.

Darlen przybiegł natychmiast. Był spocony i bardzo zaaferowany.

– Słucham panów. Czym mogę służyć? Słucham uprzejmie.

– Czy to pan budował ten dom? – spytał Gordon.

– Ależ skądże znowu. Ja kupiłem już gotowy budynek. Gdzież bym sobie zawracał głowę budową. To by mnie za dużo kosztowało.

– Pytam dlatego – ciągnął dalej doktor – że fundamenty wydają mi się stare. Przypuszczam, że musiała tutaj stać jakaś zabytkowa budowla.

– Ma pan rację – przytaknął oberżysta. – Rzeczywiście słyszałem o tym. Podobno kiedyś stał tu pałac, mieszkał w nim hrabia czy książę. Ale to było ze dwieście lat temu, a może i dawniej. Potem, jak powiadają, pałac ten się spalił i w wiele lat po tym wypadku ktoś postawił na tym miejscu tę oberżę i dom. Dlatego też, jak to słusznie panowie zauważyli, fundamenty i podmurowanie odróżniają się od całego budynku. Szczególnie te duże kamienie od południowej strony. Gdyby panowie zechcieli posłuchać, to mógłbym jeszcze...

– Dziękuję panu za wyjaśnienie – uciał Gordon, który właśnie w tej chwili schylił się i podniósł z trawy zgniecioną, czystą kartkę papieru. Rozwinął ją i spojrzał uważnie.

– Co to takiego? – zaciekał się Antoni.

– Nic, głupstwo. Kawalek papieru. Chodźmy teraz zobaczyć te ślady na suficie.

Antoni otworzył z klucza drzwi i weszli wszyscy trzej do sali restauracyjnej.

– Cóż tutaj tak ciemno? Czy nie można otworzyć okiennic? – spytał doktor.

– Wolałbym nie – odezwał się cicho oberżysta. Gordon wzruszył ramionami. Przeczynał w tym jakiś zabobon.

– No to zapal pan chociaż światło – rozkazał.

Duży żyrandol zabłysnął jaskrawym światłem, rozpraszając

półmrok panujący na sali.

– Gdzie są te ślady? – spytał Gordon, podnosząc w górę głowę. Antoni spojrział i zdumiał się. Powierzchnia sufitu była nieskazitelnie biała.

– Czy pan już zdążył zamalować, mister Darlen? Czegóż się pan tak z tym pośpieszył?

Oberżysta nie odpowiadał.

Antoni odwrócił się ku niemu i w pierwszej chwili znieruchomiał z przerażenia.

Darlen stał bezwładnie oparty o ścianę, oczy miał szeroko otwarte, zupełnie nieprzytomne, dolna szczęka zwisała, ukazując żółte, popsute zęby. W całej postaci malowało się obłądne przerażenie.

– Mister Darlen! – krzyknął Antoni. – Mister Darlen!

– Ja nie malowałem sufitu! Ja nie malowałem sufitu! Ja nie malowałem! – bełkotał z trudem oberżysta i nagle krzyknął jakieś niezrozumiałe słowo i rzucił się do ucieczki.

Antoni spojrział niepewnie na doktora.

– Same zniknęły – szepnął niewyraźnie.

– Siady na suficie zniknęły same? – zdziwił się Gordon. – A może w ogóle ich nie było?

Antoni stanowczo potrząsnął głową.

– Co do tego nie ma żadnej wątpliwości. Na własne oczy widziałem je wczoraj rano.

– Hm. – Doktor począł uważnie przyglądać się podłodze. – Więc twierdzi pan, że widział pan wczoraj te ślady?

– Z całą pewnością. Niech mi pan wierzy, ja nie uległem halucynacjom.

– I oberżysta ich nie zamalował.

– Z tego widać, że nie. Zauważył pan przecież jego przerażenie.

– Chciałbym dostać drabinę – powiedział nagle Gordon.

– Drabinę?

– Tak.

– Trzeba poszukać Darlena.

Wyszli przed dom. Oberżysty jednakże nigdzie w pobliżu nie było. Po dłuższych poszukiwaniach znaleźli drabinę w sieni.

Gordon wziął ją na plecy i szybko wrócił do restauracji. Przy pomocy Antoniego rozstawił drabinę na środku sali i błyskawicznie znalazł się pod sufitem. Czas pewien badał w milczeniu białą powierzchnię, aż wreszcie zszedł na dół i w zamyśleniu spojrzał na Antoniego.

– Wie pan, to dziwne – powiedział, pocierając czoło. – Sufit wcale nie jest świeżo malowany. Czy rzeczywiście widział pan ślady zabłoconych butów?

– Ależ tak. Zapewniam pana – zniecierpliwił się Antoni. – Widziałem, widziałem najwyraźniej.

– W takim razie jak pan sobie wytłumaczy ich zniknięcie?

– Pojęcia nie mam.

– Nie można dostrzec śladów zeszkrobывania farby – ciągnął dalej doktor. – Dziwne. Nie widzę też żadnego podejrzanego pyłu na podłodze.

– Jak to się mogło stać? – mruknął Antoni.

Gordon nie odpowiedział. Obszedł całą salę, obejrzał ją bardzo dokładnie, dłuższy czas obserwował parapety okienne i podłogę. Wreszcie machnął ręką niecierpliwie i zwrócił się do Antoniego.

– Chodźmy – powiedział wyjmując papierośnicę. – Szkoda czasu.

– Czy nie sądzi pan, że to ma jakiś związek z...

– Trudno coś powiedzieć. Wszystko jest możliwe. Chodźmy.

Wyszli do ogrodu i Antoni zamknął starannie drzwi na klucz.

– Niech pan tylko nie zacznie wierzyć w duchy, mister Walton – uśmiechnął się Gordon, widząc skupioną twarz swego towarzysza.

– W końcu będę musiał zapisać się do tutejszego kółka spirytystów – zażartował Antoni.

– Na razie jednakże niech pan jeszcze nie odrywa swej myśli od ziemi i od zwykłych żyjących ludzi. Byłbym też bardzo rad, gdyby pan nie narażał się lekkomyślnie. Perspektywa ujrzenia pana w charakterze ducha wcale mnie nie nęci.

Gordon zatrzymał się i spojrzał na zegarek.

– No, na mnie już czas. Muszę jechać. Chyba już wszystko żeśmy uzgodnili?

– Tak mi się wydaje.

– Ale, ale – przypomniał sobie doktor. – Niechże mi pan poda adres tego domu w Londynie. Być może, że zechcę odwiedzić piękne panie.

– A oczywiście. – Antoni wydarł z notesu kartkę i pośpiesznie zanotował na niej ulicę i numer domu. – Proszę. Mam nadzieję, że dobrze zapamiętałem. Czy ma pan tu gdzieś niedaleko wóz?

– Tak. Przyjechałem autem inspektora. Do widzenia, mister Walton, do zobaczenia.

Doktor mocno ucisnął podaną sobie dłoń i szybko ruszył w kierunku furtki Antoni patrzył za nim. Poczł się nagle ogromnie samotny, zdany na łaskę i niełaskę jakichś nieznanych, wrogich mu sił.

Przeczuwając jego nastrój, Gordon odwrócił się i machnął życzliwie ręką, jak by gestem tym pragnął dodać otuchy przygnębionemu literatowi.

Samochód inspektora Hawkinsa był już gotów do drogi. Doktor wszedł i szofer z miejsca poderwał mocną maszynę.

– Jadł pan śniadanie? – spytał Gordon.

– Yes, sir.

– Zmienił pan koło?

– Yes, sir.

– A czy pan zdołał się dowiedzieć, czyj to motocykl widzieliśmy w nocy?

– Yes. To był podobno motor jakiegoś Darlena.

– Darlena?

– Yes.

Gordon wygodnie wyciągnął przed siebie nogi i sięgnął po papierosa. Właściwie cała sprawa zamiast się jakoś wyjaśniać gmatwała się nieomal z każdą chwilą. Gospoda Darlena, ślady na suficie, tajemnicza limuzyna. Darlen jeździ po nocy na motocyklu, ale który? Ojciec czy syn? Co w tej całej sprawie robi naprawdę ten Walton? Czy można mieć do niego całkowite zaufanie? Co to za drab chciał zabić Waltona i kto strzelał w nocy? Co z tym wszystkim ma wspólnego śmierć Bissingera i w jaki sposób można dowieść, że został on rzeczywiście

zamordowany. Skąd, u diabła, wziął się w sypialni Bissingera portfel Waltona?

Doktor tak był zaabsorbowany swymi myślami, że 1 zapalić papierosa. W pewnej chwili coś sobie przypomniał, sięgnął do kieszeni i wyjął tę kartkę papieru, którą znalazł w ogrodzie Darlena. Przyglądał się jej czas jakiś z uwagą. – Hm – mruknął i schował ją z powrotem. – Dziwne.

– Czy pan mówił coś do mnie? – spytał szofer.

– Nie, nie – zapewnił Gordon i począł nasłuchiwać. – Czy nie ma pan przypadkiem jakiegoś defektu w motorze? – spytał po chwili.

– Nie. Wszystko w porządku.

Doktor pokręcił głową.

– A jednak wydaje mi się, że motor nie pracuje normalnie.

Szofer zwolnił i zahamował.

– Zaraz zobaczymy. Możliwe, że pan ma rację. Tak coś, jak by świeca nie paliła. – Wyskoczył z wozu i podszedł do motoru. Gordon czekał cierpliwie.

Nagle drgnął. Tuż przed sobą ujrzał pobladłą twarz szofera.

– Co się stało?

– Niech pan spojrzy, sir – wybełkotał chłopak. – Niech pan spojrzy. – Podniósł ostrożnie niewielką prostokątną skrzynkę.

– Fiuuu – gwizdnął przeciągle doktor. – Piękna maszyna. Gdzie pan to znalazł?

– W motorze.

– W motorze?

– Yes. Jeszcze kilkanaście kilometrów, a byłoby nas rozerwało w kawałki.

– Hm. – Doktor wziął ostrożnie skrzynkę do ręki i paroma wprawnymi ruchami porozłączał druty. – W porządku. Teraz możemy bezpiecznie zawieźć to do Londynu. Ale w jaki sposób, u diabła, ta zabawka znalazła się u nas w motorze?

Szofer pokręcił głową.

– Nie wiem. Nic nie rozumiem. Jestem przerażony.

Gordon podrapał się za uchem. Zaufany szofer Scotland Yardu nie budził podejrzeń. Zresztą sam wyciągnął maszynę z motoru, a poza tym nie narażałby się przecież na pewną

śmierć. Jacyś więc troskliwi „przyjaciele” postarali się o tę niespodziankę. W tej chwili doktor przypomniał sobie ostrzeżenie sympatycznego bruneta. Nie ulegało wątpliwości, że nieudany zamach miał ścisły związek z tą sprawą.

– Czy pan zaglądał do motoru przed wyjazdem z Londynu?

– Yes, sir. Zawsze sprawdzam maszynę przed wyruszeniem w drogę.

– I nic pan podejrzanego nie zauważył wtedy?

– Nie. Wszystko było w porządku.

– Czy nikogo obcego nie zauważył pan w garażu?

– Nie. U nas nikt obcy nie ma wstępu do garażu. Surowo zabronione.

– No więc kiedyż to się mogło stać?

Szofer bezradnie rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia. Duchy czy co?

– Bzdury – żachnął się Gordon. – Jakie duchy. Musiał ktoś wsunąć piekielną maszynę w czasie, gdy pan jadł śniadanie. Gdzie pan jadł śniadanie?

– W małej pasztecziarni. Tam zaraz za rogiem, gdzie czekałem. Ale wóz postawiłem na ulicy i prawie cały czas patrzyłem na niego.

– W każdym razie musiało się to stać w Farrow. No, nie traćmy czasu. Jedźmy dalej. A jak tam świeca?

– Miał pan rację, sir. Trzeba ją będzie przeczyścić.

– Nasze szczęście, że się zatkała. Inaczej nie zajrzałby pan do motoru.

– O Jezu! – jęknął chłopak, siadając za kierownicą.

Motor zawarczał i ruszyli w dalszą drogę. Doktor żył jednakże, że szofer bardzo niepewnie prowadzi wóz.

– Niech mi pan odda kierownicę – powiedział po chwili. – Chętnie pana wyręcę.

Chłopak bez słowa ustąpił swego miejsca. Ręce mu się trzęsły i był jeszcze bardzo blady.

Mocna maszyna rwała naprzód. Biała wstęga szosy, jaśniejąca promieniami słońca, znikła z zawrotną szybkością pod kołami Szary tuman kurzu osiadał grubą warstwą na pobliskich krzakach i drzewach.

Gordon lubił szybką jazdę. Nacisnął gaz. Niebawem wpadli do Londynu. Tutaj jednakże trzeba było zrezygnować z pośpiechu.

Doktor postanowił skomunikować się natychmiast z Hawkinsem. Inspektor oczekiwał go w swym prywatnym mieszkaniu, ponieważ wiedział, że Gordon nie życzy sobie rozgłosu w tej całej sprawie i nie chce zbyt często pokazywać się w Yardzie.

– No i co? Jakiż rezultat pańskiej wycieczki? – spytał z zaciekawieniem.

Doktor opowiedział mu o wszystkim, nie zapominając także o przygodzie z bombą zegarową.

– Do diabła! – zaklął Hawkins. – Nie spodziewałem się, że te lotry odważą się na coś podobnego. Trzeba z nimi skończyć, doktorze, trzeba z nimi skończyć, i to jak najprędzej!

– Jest to moim gorącym życzeniem – uśmiechnął się Gordon, częstując inspektora papierosami. – Niech mi pan teraz powie, czy otrzymał już pan jakieś informacje odnośnie osoby Bissingera.

– Yes.

Doktor zainteresował się i przestał chodzić po pokoju.

– Więc słucham?

– Bissinger, przebywając na placówce za granicą, ł nieszczęśliwie w karty, a poza tym zakochał się podobno w jakiejś narkomance, zdaje się, że Amerykance.

– I na skutek tego wszystkiego potrzebował bardzo dużo pieniędzy – wtrącił Gordon, przysuwając sobie bliżej krzesło.

– Oczywiście, takie historie pociągają za sobą olbrzymie wydatki.

– Bissinger nie mógł temu wszystkiemu podolać i zapewne dlatego zaczął prowadzić podwójną grę, żeby coś niecoś zarobić i z drugiej strony.

– Tak, na to wygląda – przytaknął Hawkins. – Ale jeden z naszych agentów twierdzi, że w ostatnich czasach Bissinger chciał się jakoś wyplątać z tych szpiegowskich historii.

– Zapewne zaczął się bać, że wpadnie.

– Przypuszczalnie.

Doktor pokiwał głową w zamyśleniu.

– Ale zapewne pobrał już poważniejsze zaliczki i nie bardzo mógł się wycofać z roboty.

– I ja tak sądzę. Zresztą to by się zgadzało z tajnymi raportami.

– I jakież są pańskie dalsze wnioski, inspektorze?

– Sądzę, że ani jedni, ani drudzy nie zamordowali Bissingera.

– Zupełnie słusznie.

– I że wdał się on w zupełnie nową aferę, która miała mu przynieść olbrzymie dochody.

– Inspektorze, jest pan naprawdę genialny! – zawołał z zapalem Gordon. – Rozumowanie pańskie jest bez zarzutu.

Hawkins z zadowoleniem przełknął komplement.

– Najciekawsze jest tylko, kto i dlaczego zabił Bissingera. Jeżeli oczywiście przyjmiemy za pewnik, że został on rzeczywiście zamordowany.

– Sądzę, że tak.

– Ale właściwie nie mamy na to żadnych dowodów – zatroskał się Hawkins. – Sekcja nic absolutnie nie wykazała. Przecież jakieś ślady morderstwa musimy znaleźć.

– Niech się pan nie martwi, inspektorze, znajdziemy. A teraz chciałbym, żebyśmy się jak najprędzej zabrali obaj do roboty.

– Co pan chce robić? – spytał Hawkins.

– Przede wszystkim organizacja pracy – uśmiechnął się doktor. – Ja odwiedzę sympatycznego pana Forristera, który udaje, że poświęca się sprzedaży futer, a pana, inspektorze, chciałbym prosić, żeby pan był łaskaw zająć się tym adresem. – To mówiąc sięgnął do kieszeni i wydobył notatkę Antoniego.

– Cóż to za adres?

Gordon w krótkich słowach opowiedział przygodę biednego literata, podkreślając, że do tej sprawy przywiązuje specjalną wagę.

– Nie możemy zaniedbać żadnej okazji – zakończył. – Kto wie, co nas wreszcie naprowadzi na właściwy ślad.

– All right, all right – mruknął Hawkins. – Zbadamy to.

– No to doskonale. Tymczasem do widzenia. Gdzie się spotkamy?

Inspektor zastanowił się.

– Może u Ritza?

– Nie, nie – potrząsnął głową Gordon. – Lepiej u mnie.

– Niech będzie u pana. Jak pan woli. Chciałem jeszcze o coś pana zapytać, doktorze.

– Słucham.

– Jakie jest pańskie zdanie o tych „duchach” w Farrow? Ta historia zaczyna się robić głośna. Chciałbym wiedzieć, co pan naprawdę o tym myśli.

– Ha, cóż – wzruszył ramionami Gordon. – Ktoś bardzo sprytnie udaje ducha, ale jeszcze nie wiem kto.

– Czy łączy pan te zjawiska ze sprawą Bissingera?

– Historia z portfelem Waltona wskazywałaby na to.

– A czy uważa pan, że owe spacery po suficie mają coś wspólnego z tajemniczą limuzyną?

– Możliwe, bardzo możliwe, że wchodzi tu w grę jedna i ta sama osoba.

– Trzeba się będzie zająć tymi „duchami”.

– Oczywiście, ale na razie jadę do sklepu z futrami – powiedział Gordon. – A po południu oczekuję pana u siebie.

– All right. Będę u pana przed wieczorem,

– W razie potrzeby skomunikuję się z panem wcześniej telefonicznie.

– A niech pan uważa na maszyny piekielne – powiedział Hawkins.

– Postaram się – uśmiechnął się doktor. Pożegnał Hawkinsa i kazał się zawieźć do sklepu Forristera. Postanowił rozpocząć ofensywę na wszystkich frontach.

Wytworny kupiec przyjął go niezwykle uprzejmie. Jego poważna twarz niczym nie zdradzała jakiegokolwiek zdenerwowania czy zmieszania.

– Czym mogę służyć szanownemu panu? – spytał, spoglądając wyczekująco na Gordona.

Doktor przelotnym spojrzeniem obrzucił wnętrze sklepu, zatrzymując dłużej wzrok na postaci samego właściciela.

– Chciałbym z panem pomówić w cztery oczy – powiedział urzędowym tonem. – Czy ma pan teraz chwilę czasu?

– Ależ oczywiście – przytaknął skwapliwie Forrister. – Oczywiście. Służę panu. Przejdziemy tylko może do mego biura. Bardzo proszę.

Za sklepem znajdował się spory pokój, spełniający rolę kantoru. Biurko, szala z segregatorami, stolik zavalony jakimiś papierami, telefon i maszyna do pisania, przy której siedziała jakaś młoda osoba, wystukująca coś z niezwykłym zapalem.

– Może nas pani na chwilę pozostawi samych – rzucił dość szorstko Forrister. Panienska bez słowa złożyła swe papiery i wyszła, zamykając cicho drzwi za sobą. Kupiec przez chwilę przecierał okulary, wreszcie ulokował je na nosie i pytająco spojrzął na swego gościa. – Słucham pana. O cóż to chodzi?

– Mam wrażenie, że pan mnie sobie nie przypomina – powiedział Gordon, wyjmując z kieszeni papierośnicę. – Albo przynajmniej udaje pan.

– Nie rozumiem – obruszył się Forrister. – I w ogóle cóż to za ton? Nie jestem przyzwyczajony do podobnego traktowania, mister... mister...

– Nic nie szkodzi. Przyzwyczai się pan – zapewnił doktor. – Ale nie o to chodzi. Byłem tu u pana przypadkowo przed paroma dniami.

– Możliwe, bardzo możliwe. Tyle ludzi przychodzi do sklepu, że doprawdy trudno zapamiętać.

Gordon spojrzął twardo w oczy mówiącego.

– Niech pan nie udaje, mister Forrister. Pamięta pan mnie doskonale. Szukałem wtedy u pana tego przystojnego bruneta, który zniknął bez śladu.

– Ach, tak, tak. Przypominam sobie. To było jakies nieporozumienie.

– Mister Forrister – powiedział wolno Gordon, gniotąc w palcach niewypalonego papierosa. – Mister Forrister, jestem ze Scotland Yardu i radzę panu wycofać się jak najprędzej z tej całej historii. Jeżeli mi pan obecnie ułatwi pewne sprawy, to ja gotów jestem w zamian za to zapomnieć o tym, co było. Niech się pan dobrze zastanowi. Prędzej czy później to się musi skończyć kryminałem, mister Forrister. Proszę nie zapominać o tym, że wiem o panu więcej, aniżeli się pan domyśla.

– Ależ panie inspektorze! – zawołał wzburzony kupiec. – Ja nic nie mam na sumieniu. Nie rozumiem, o czym pan mówi. To jakieś fatalne nieporozumienie. Ja doprawdy nie wiem, czego pan chce ode mnie. Jestem przerażony i zaskoczony. Czyżby ktoś zrobił na mnie jakiś donos? Proszę, niech pan mi to wszystko jaśniej wytłumaczy.

Gordon patrzył na niego z uśmiechem.

– Minał się pan z powołaniem – powiedział w końcu. – Powinien był pan zostać aktorem. Zrobiłby pan niewątpliwie wielką karierę. Ale żarty na bok. Raz jeszcze proponuję panu współpracę. Daję panu okazję wycofania się z tej afery bez żadnych przykrych następstw. Jeżeli pan będzie dalej prowadził tego rodzaju interesy, tym gorzej dla pana. Ja pana osobiście nie rozumiem. Ma pan dobrze prosperujący interes handlowy. Gdyby pan to wszystko powiedział komu innemu, to może by uwierzył w pańską niewinność. Na pańskie nieszczęście jestem specjalistą psychologiem i po tej rozmowie z panem wiem już wszystko, co chciałem wiedzieć. Mam całkowicie wyrobione zdanie odnośnie pańskiej osoby. No, do widzenia pana. Gdyby miał pan chęć odkryć przede mną pewne tajemnice, to proszę się zgłosić do Scotland Yardu.

Forrister siedział przez cały czas milcząco, jego kamienna twarz nie zdradzała żadnych wzruszeń.

– Nic nie wiem, nic nie rozumiem – mruknął.

Gordon wstał i ujął za klamkę.

– Do widzenia – rzucił krótko.

– Panie inspektorze...

Doktor odwrócił się od drzwi.

– Słucham.

– Zostawił pan papierośnicę.

– Ach, tak. Dziękuję. Czy nie ma mi pan nic więcej do powiedzenia?

– Nie, nie. Nie rozumiem, o co panu chodzi.

Gordon wzruszył ramionami i wyszedł. Gdy znalazł się na ulicy, zagwizdał przez zęby i począł iść przed siebie dużymi, pośpieszonymi krokami. Teraz był już zupełnie pewien, że Forrister odgrywał poważną rolę w tej całej sprawie. Tego

rodzaju człowiek nie mógł być zwykłym, nic nieznaczącym pionkiem.

Znalazszy się koło poczty doktor postanowił zatelefonować do Hawkinsa. Wszedł więc i począł szukać po kieszeniach drobnych pieniędzy. Nagle jedna z kabin telefonicznych otworzyła się gwałtownie i wybiegła z niej kobieta w długim sportowym płaszczu. Gordon błyskawicznie cofnął się w tył, aby nie być poznanym. Katarzyna Heller. Do kogóż ona mogła stąd telefonować, mając aparat w domu? Podszedł szybko do urzędniczki i poprosił o sprawdzenie tej rozmowy, podając się za inspektora ze Scotland Yardu. Dziewczyna niezwłocznie spełniła jego życzenie.

– Kabina czwarta rozmawiała przed chwilą z Farrow – powiedziała półgłosem.

– Dziękuję pani – rzucił doktor i zapominając o telefonie do Hawkinsa, wybiegł na ulicę. Rozejrzał się bacznie dokoła. Niestety. Katarzyny Heller nie było już ani śladu.

Zapalił papierosa, zatrzymał samochód i kazał się zawieźć do domu. Miał masę spraw do przemyślenia, a nigdzie nie było tak spokojnie, jak u niego.

Pocziwy Horacy szczerze się ucieszył.

– Dobrze, że pan już wrócił, sir – powiedział z uśmiechem. – Dopytywano się o pana.

– Kto się pytał?

– Doktor Dawisson dzwonił z samego rana ze szpitala. Powiedziałem, że pan został nagle wezwany do pacjenta.

– A co poza tym?

– Nic specjalnego. Spokój.

– Nikogo nie było?

– Nie. A prawda, był doktor Prist.

– No i co mówił?

– Nic nie mówił. Zostawił list.

– No to dawaj.

– Leży u pana doktora na biurku.

Gordon wszedł spiesznie do swego gabinetu i rozerwał dużą niebieską kopertę.

Szanowny kolego – pisał Prist. – Ślad krwi na tej deseczce

został dokładnie zbadany. Wszystkie właściwości pokrywają się z analizą krwi nieboszczyka. Sądzę, że można twierdzić, iż jest to krew Bissingera. Pozdrowienia łączę. Prist.

– W porządku – mruknął Gordon, chowając list do kieszeni.

– Tego się spodziewałem. Ilu mamy dzisiaj pacjentów? – spytał Horacego, który cicho wsunął się do gabinetu.

– Czterech. To jeszcze ci z zeszłego tygodnia.

– All right. Przyjmę ich. Ale pamiętaj, żebyś nikogo więcej nie wpuszczał.

– Yes, sir.

– A teraz daj mi coś do zjedzenia, bo jestem głodny jak wilk.

– Yes, sir. Zaraz podaję.

Doktor podniósł słuchawkę i połączył się z Hawkinsem. Chciał się z nim zobaczyć jak najprędzej. Injedyndakże nie było ani w Yardzie, ani w domu. Nikt też nie umiał powiedzieć, kiedy wróci.

Gordon otworzył maszynę do pisania i założył papier. Postanowił porobić notatki ze swego dotychczasowego procesu myślowego. Chciał mieć zestawienie całego materiału. Uciekał się zazwyczaj do tego systemu, gdy sprawa była trochę bardziej zawiłana. Uważał, że taka konkretyzacja myśli wpływa dodatnio na obiektywny sąd i prawidłowe wnioskowanie.

Nie zdążył jednakże napisać nawet kilku zdań, gdy wszedł Horacy oznajmiając, że lunch podany.

Jedząc soczysty befsztyk z polędwicy, doktor zastanawiał się nad tym, dlaczego właściwie Katarzyna Heller nie próbowała ulotnić się z Londynu. Jeżeli dotychczasowe rozumowanie było słuszne, należało się spodziewać, że była gospodyni Bissingera w najbliższym czasie zapragnie zmienić miejsce swego pobytu, a kto wie, może nawet i klimat.

– Czy wiesz, jaki najczęściej ludzie popełniają w życiu błąd? – spytał Horacego, który właśnie napełniał kieliszek czerwonym winem.

– No, sir.

– Przeciagają strunę. Czy ty grywasz w karty, Horacy?

– No, sir. Boję się hazardu.

– To dobrze. Masz duże szanse, że nie dostaniesz się do

kryminału.

– Mam nadzieję, sir. Chociaż gdybym został przestępcą, to miałby pan ze mną nie lada kłopot. Niełatwo dałbym się złapać.

– To bardzo możliwe. Masz przecież dobrą szkołę. Przypuszczam jednak, że nie zostaniesz gangsterem.

– No, sir. Za dobrą na to mam posadę, a poza tym za dużo się nazytałem kryminalnych książek. Już mnie te rzeczy przestają bawić.

– Czy wierzysz w duchy, Horacy?

– W duchy?

– Tak.

Śłużący podrapał się w swój potężny nos.

– Gdy byłem jeszcze małym chłopcem, moja babka...

– Daj spokój – przerwał Gordon. – Chcesz mi zapewne opowiedzieć historię o babce i czterech kotach?

– Yes, sir.

– Znam to. Opowiadałeś mi już kilka razy.

– Później już nigdy nie miałem do czynienia z duchem – mruknął Horacy, niezadowolony, że mu przerwano tę ciekawą opowieść.

Doktor wychylił kieliszek wina i zamyślił się. A jednak niezwykle zjawiska w Farrow nie dawały mu spokoju. Był pewien, że w końcu wytłumaczy się to wszystko zupełnie prosto, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę z trudności, jakie się przed nim piętrzyły. Teraz znowu dodatkowo zrodził się w nim niepokój o Waltona. Ten lekkomyślny literat byłby ostatniej nocy dostał niechybnie kulę. Gordon czuł, że musi działać szybko i że trzeba jak najprędzej likwidować to wszystko, w przeciwnym bowiem razie główni aktorzy tego dramatu mogą mu się wymknąć z rąk.

Skończył jeść i wrócił do swego gabinetu. Tutaj zaraz usiadł do maszyny i zabrał się do pracy. Nie dane mu było jednakże tego dnia spokojnie streścić dotychczasowych rezultatów dochodzenia. Za ledwie bowiem skończył pisać pierwszą stronę, gdy rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych i niebawem ukazał się Horacy z wiadomością, że przyszli pacjenci. Nie było rady. Doktor, zły, zamknął maszynę i począł się przygotowywać

do przyjęcia chorych.

Tym razem pacjenci niczym nie zainteresowali Gordona. Były to przypadki typowego rozstroju nerwowego, bez specjalnych odchyień od zwykłego szablonu. Dwie podstarzałe histeryczki i dwóch mężczyzn w średnim wieku, skarżących się na ogólne zniechęcenie i brak radości życia.

Gordon zbadał wszystkich bardzo dokładnie, zapisał lekarstwa, polecił zrobić analizę krwi, doradził wyjazd i zmianę otoczenia, wreszcie perswazją i logiczną argumentacją starał się nakłonić tych ludzi do pracy nad samym sobą.

W trakcie rozmowy z ostatnim pacjentem posłyszał dzwonek. Zaraz też domyślił się, że przyjechał Hawkins.

Nie omylił się. Inspektor siedział spokojnie w poczekalni, paląc papierosa w długiej cygarnicy.

– No i cóż, inspektorze? Jakże panu poszła robota? Proszę, niech pan wejdzie.

Hawkins podniósł się i przeszedł do gabinetu. Był jakiś markotny i osowiały.

– Ano nic – mruknął po chwili. – Klapa.

– Jak to? Co się stało?

– Właśnie że nic się nie stało. Byłem pod wskazanym przez pana adresem. No i cóż, zwykła kamienica na przedmieściu, różni ludzie w niej mieszkają, ale cóż z tego? Na nic ciekawego nie natrafiliśmy.

– Kto mieszka w tym domu?

– Masę ludzi. Urzędnicy, studenci, krawiec, krawcowa, jakiś emeryt, nauczycielka. No mówię panu – zwykła czynszowa kamienica. Ani śladu czegoś podejrzanego.

– Ma pan spis lokatorów?

– Oczywiście. Moi ludzie pod różnymi pretekstami odwiedzili wszystkie mieszkania w tym domu. Znamy już niemal wszystkie tamtejsze plotki kuchenne.

– Czy może mi pan pokazać spis lokatorów?

– Ależ oczywiście, proszę. – Hawkins wydobyl z kieszeni spory arkusz papieru i podał go doktorowi.

– Zobaczymy – mruknął Gordon. – Któż to jest ten Maurice Arne?

- Fryzjer.
 - Francuz?
 - Nie. Tylko nazwisko francuskie. Możliwe zresztą, że pochodzenia francuskiego.
 - Uhm. A niech mi pan jeszcze powie, kim jest pani Karolina Vernant?
 - Nauczycielka.
 - Czy nie wie pan, czego ona uczy?
 - Podobno obcych języków.
 - Zdaje się, że jest także pochodzenia francuskiego.
 - To bardzo możliwe.
 - Bardzo bym chciał, żeby Walton mógł zobaczyć tę panią – mruknął doktor, stukając ołówkiem w papier. – Czy nie zastanowiło to pana, inspektorze, że ty te w tej kamienicy jest nazwisk o brzmieniu francuskim?
 - Nie. Sądzę, że to zwykły zbieg okoliczności.
 - Możliwe. Chociaż to trochę dziwne. Co by pan powiedział na to, gdybym ja się nagle zaczął uczyć francuskiego?
 - Przecież pan świetnie włada tym językiem.
 - Zawsze jeszcze można się doskonalić.
 - Co pan ma na myśli?
 - Mam ogromną ochotę odwiedzić panią Karolinę Vernant.
 - To zawsze można zrobić.
 - Odłożymy to jednakże na później – powiedział Gordon. – Na razie chciałbym pana prosić, inspektorze, żeby mi pan dopomógł w aresztowaniu Katarzyny Heller.
 - Chce pan aresztować Katarzynę Heller?
 - Tak.
 - Gospodynię Bissingera?
 - Tak.
- Hawkins spojrzał niespokojnie na doktora.
- Ależ my nie mamy żadnych dowodów przeciwko tej kobiecie!
 - Dowody musimy zdobyć w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin. Na razie nie możemy pozwolić na to, aby nam uciekła.
 - Gordon w kilku słowach opowiedział swoje dziwne spotkanie z byłą gospodynią Bissingera.

– Przypuszcza pan, że ona jest zamieszana w morderstwo?

– Jestem pewien. Niech pan zresztą posłucha. – Doktor pochylił się do ucha inspektora i szeptał coś cicho przez chwilę. Hawkins słuchał bardzo uważnie.

– Tak – powiedział, zapalając nerwowo papierosa. – Tak. Musimy ją aresztować. Kiedy pan chce tani jechać?

– Choćby zaraz.

– All right. Nie traćmy zatem czasu. – Inspektor był bardzo podniecony. Zatelefonował do Scotland Yardu, prosząc o wydelegowanie paru ludzi na wszelki wypadek, sprawdził rewolwer, a następnie włożył płaszcz, kapelusz i stanął gotowy do wyjścia. – Idziemy?

– Tak. – Gordon wydał jeszcze parę poleceń Horacemu i otworzył drzwi.

W drodze nie rozmawiali prawie zupełnie. Doktor przymknął oczy i zdawał się drzemać, Hawkins zaś przeżuwał w skupieniu jakieś niewesołe myśli. Nie lubił takich historii. Nigdy jeszcze nie aresztował, nie mając w ręku niezbitych dowodów winy. Liczył jedynie na to, że Katarzyna Heller, zaskoczona niespodzie, zdradzi się z czymś i ułatwi sytuację. Czuł, że Gordon ma rację i że inaczej postąpić nie można.

Gdy wóz inspektora zatrzymał się przed willą Bissingera, Gordon skinął na przechadzającego się po ulicy policjanta. Ten od razu ich poznał i zbliżył się pośpiesznie.

– Słuchajcie, Bill – powiedział Gordon. – Pilnujcie wejścia do tej willi, jak przyjadą ze Scotland Yardu, niech zaraz przychodzą do nas na górę.

– Yes, sir.

– Idziemy, inspektorze.

Drzwi otworzyła im Katarzyna Heller. Na widok niespodziewanych gości przez kamienną twarz gospodyni przemknęło ledwo dostrzegalne zdziwienie.

– Dzień dobry panom – powiedziała matowym, równym głosem. – Proszę bardzo.

– Chcieliśmy z panią pomówić – mruknął Hawkins, nie zdejmując kapelusza. – Może nas pani zaprosi do swego pokoju?

– Ach, nie – zaprotestowała gospodyni. – U mnie taki nieporządek. Może panowie pozwolą do saloniku.

– Niech nas pani zaprowadzi do swego pokoju – upierał się Hawkins.

– Ależ dlaczego, panie inspektorze.

– Nie czas na dyskusje. Idziemy.

Katarzyna Heller mieszkała w dużym, widnym pokoju na parterze. W tej chwili panował tu rzeczywiście niebywały nieporządek. Szafa i bielizniarka były otwarte i wszystkie rzeczy walały się na podłodze. Na środku pokoju stały dwie duże skórzane walizy, zapakowane do połowy. Inspektor zamienił z Gordonem błyskawiczne spojrzenie.

– Cóż to? Wybiera się pani w podróż? – spytał, patrząc uważnie na gospodynię. Ta jednakże nie zmieszala się zupełnie.

– Skądże znowu, panie inspektorze. Gdzież bym ja wyjeżdżała. Pakuję tylko swoje letnie rzeczy waliz, żeby mieć trochę więcej miejsca w szafie.

– I przez pomyłkę zapewne zapakowała pani tę futrzaną czapkę – zauważył doktor, wskazując palcem biały kapturek z królików. – A może uważa to pani za letnią garderobę, jak również i te ciepłe rękawice?

– Panie doktorze! – obruszyła się gospodyni. – Mam prawo chyba pakować do moich walizek, co mi się podoba?

– Oczywiście – zgodził się Gordon. – Proszę, niech pani siada. Mamy z panią do pomówienia.

Katarzyna Heller usiadła posłusznie na wyściełanym taborecie.

– Słucham.

– Bardzo mi przykro – ciągnął dalej Gordon – ale zmuszeni jesteśmy panią aresztować, Katarzyno Heller.

Obojętna dotychczas, blada twarz gospodyni skurczyła się nagle gwałtownym grymasem.

– Aresztować?! Mnie? Ależ panie inspektorze – zwróciła się nagle do Hawkinsa, jak by od niego spodziewała się pomocy. – Ależ panie inspektorze! Co to ma znaczyć?!

– Niestety, to prawda – skinął głową Hawkins. – Przyszliśmy tutaj po to, aby panią aresztować. Proszę nam nie utrudniać

sytuacji. Sądzę, że pani zachowa się spokojnie.

– Ale o co jestem oskarżona?! Czego wy chcecie ode mnie? O co jestem oskarżona? Mam chyba prawo wiedzieć?!

– Słusznie – odezwał się spokojnie doktor. – Ma pani prawo wiedzieć. A więc jest pani oskarżona o współudział w zamordowaniu Bissingera.

– Jezus Maria! W zamordowaniu Bissingera! Ależ mister Bissinger umarł na serce! Nikt go nie zamordował. Co pan mówi, panie doktorze?!

– Pani wie lepiej od nas, że Bissinger nie umarł własną śmiercią – powiedział dobitnie Gordon. – Został zamordowany i pani w tym morderstwie dopomagała, co więcej, chciała pani rzucić podejrzenie na pana Waltona.

Twarz Katarzyny Heller znowu przybrała kamienny wyraz. Mogłoby się здаwać, że ta sprawa wcale jej nie dotyczy. Po niedawnym wybuchu nie pozostało ani śladu.

– To są jakieś bajki – mruknęła wzruszając ramionami. – Panie inspektorze – zwróciła się znowu do Hawkinsa. – Może pan będzie łaskaw objaśnić mnie, o co chodzi panu doktorowi.

– Chwileczkę – uśmiechnął się Gordon. – Czy może mi pani powiedzieć, gdzie pani spacerowała dziś rano?

– Nigdzie. Siedzę cały dzień w domu.

– To brzydko, że pani kłamie. Była pani dziś na pocztę i telefonowała pani do Farrow, do gospody Darlena. Nie chciała pani telefonować z domu, bo obawiała się pani, że aparat tutejszy jest pod obserwacją, i słusznie. – Gospodyni pomimo woli przygryzła dolną wargę. – A widzi pani – ciągnął dalej doktor. – Mam wrażenie, że się pani bardzo nie podoba to, co mówię. Trudno, trzeba być zawsze przygotowanym na to, że prawda wypłynie na wierzch.

– Ależ proszę pana! Cóż ja...?!

– Proszę mi nie przerywać. Od razu pierwszego dnia, kiedy pani wybiegła na ulicę, wzywając pomocy, wydało mi się to wszystko bardzo podejrzane. Widzi pani, w tych sprawach zazwyczaj decydują drobiazgi. Nie wolno zapominać o drobiazgach. Pani miała wtedy bardzo zabłocone buty, chociaż dzień był pogodny i suchy. Musiała pani gdzieś spacerować po

ślocie. W pokoju Bissingera nie było ani śladu błota, to znaczy, że pani do tego pokoju wcale nie wchodziła. Co więcej, nie próbowała pani nawet ratować Bissingera. Zauważylibyśmy przecież jakąś szklanę z wodą w pobliżu łóżka. Trudno sobie wyobrazić, żeby pani, zobaczywszy swego chlebodawcę zemdlonego, nie starała się go jakoś ocucić. Zazwyczaj w takich wypadkach skrapia się twarz wodą lub wlewa się do gardła odrobinę koniaku. Tego wszystkiego pani nie zrobiła. Z tego więc wynika, że z góry już pani miała pewność, że Bissinger nie żyje. W odpowiednim momencie wybiegła pani na ulicę, wzywając pomocy. Pani jest kobietą bardzo sprytną. Od razu też pani zauważyła, że my nie bardzo wierzymy w tę naturalną śmierć Bissingera. W nocy porozumiała się pani telefonicznie z Farrow i młody Darlen, któremu mister Walton krzyżował plany, wpadł na pomysł rzucenia ewentualnego podejrzenia na Waltona. Wsiadł na motocykl i przywiózł pani portfel Waltona, do którego włożyliście ten list. W dalszym ciągu...

Dziki, nieludzki krzyk wyrwał się z gardła Katarzyny Heller. Zerwała się z miejsca i wpatrując się nieprzytomnym wzrokiem w doktora, cofała się ku oknu podnosząc ręce do skroni.

– Nie, nie, nie! – bełkotała niewyraźnie. – To niemożliwe! – Twarz miała trupioblada, oczy szeroko rozwarłe.

– Czy pan ma przy sobie kajdanki? – spytał spokojnie doktor, zwracając się do Hawkinsa. Inspektor podniósł się szybko z miejsca.

– Ręce do góry! – Zabrzmiał nagle stanowczy głos. Gordon i Hawkins spełnili rozkaz. W drzwiach stał młody, smagły mężczyzna z dwoma rewolwerami w rękę. Po wyrazie jego oczu widać było, że nie żartuje.

– Chodźmy, matko! Prędko! Wóz czeka!

Katarzyna Heller, drżąc na całym ciele, z trudem narzuciła na siebie płaszcz.

– Co z moimi rzeczami? – jęknęła żałośnie.

– Do diabła z rzeczami! Prędeż!

Młodzieniec wypchnął pośpiesznie przerażoną kobietę, sam zaś cofał się tyłem, trzymając ciągle broń gotową do strzału.

Gdy oboje zniknęli, Hawkins zaklął straszliwie i dobywszy

rewolweru skoczył w ślad za nimi. W tej chwili rozległy się gwałtowne, bezładne strzały.

Gordon wraz z inspektorem wybiegli do ogrodu. Hawkins uśmiechnął się z zadowoleniem. Rinc zakładał właśnie przystojnemu brunetowi kajdanki. Z przestrzelonej ręki sączyła się krew. Obok stała na wpół przytomna Katarzyna Heller.

– Dobrana para – mruknął doktor. – A z tym młodzieńcem to my się już znamy nie od dzisiaj.

– Jak to? – zdziwił się inspektor.

– Tak. To jest właśnie ten sympatyczny młody człowiek, który wtedy tak mnie troskliwie ostrzegał.

– I który potem zniknął w sklepie Forristera?

– Właśnie.

– A to jest jego mamusia?

– Widocznie.

– No, chłopcy – powiedział inspektor do policjantów. – Przyjechaliście w samą porę. Zabierzcie tego eleganta i dbajcie o jego zdrowie. Trzeba mu starannie opatrzyć rękę. Dalej, siadajcie do auta.

Policjanci zaprowadzili więźniów do oczekującej ich karetki. Inspektor w zamyśleniu patrzył za nimi.

– No – powiedział po dłuższej chwili. – Nie spodziewałem się, że tak nam łatwo to wszystko pójdzie. Pan był zupełnie pewien siebie, doktorze.

– Niezupełnie – przyznał szczerze Gordon. – Kiedy nie mam stuprocentowych dowodów, stwarzam zazwyczaj sobie najbardziej prawdopodobną teorię i liczę na reakcje psychologiczne delikwenta. Przyznać muszę, że bardzo rzadko mnie to zawodzi. Nawet najbardziej doświadczeni i opanowani zbrodniarze w końcu się zdradzają jakimś odruchem. Tak samo stało się i tym razem. Po prostu zupełnie przypadkowo udało mi się dość dokładnie odgadnąć sytuację i tak zaskoczyłem tym tę kobietę, że straciła całkowicie panowanie nad sobą.

– Posiada pan niezwykle dar – pokiwał głową Hawkins.

– Przesada, kochany inspektorze, gruba przesada. Po prostu trochę wprawy, trochę spostrzegawczości, a poza tym niech pan pamięta o tym, że jako lekarz nieustannie mam do

czynienia z najgłębszymi tajnikami ludzkiej psychiki. To niewątpliwie bardzo ułatwia robotę.

– Nie rozumiem jednej rzeczy – mruknął, jakby do siebie, Hawkins.

– O czym pan mówi?

– Myślę w tej chwili o tym, kto i dlaczego zamordował Bissingera. Nie rozumiem także, w jakim celu ten Darlen, jak pan twierdzi, chciał wplątać w to wszystko Waltona.

Gordon zapalił papierosa.

– Sam się nad tym zastanawiam od początku – powiedział z wolna. – Sądzę, że dzisiejszy dzień powinien przynieść zasadniczy zwrot w całej sprawie. Musicie przydusić na badaniach tego chłopaka. W tej chwili jednak nie chcę już o niczym myśleć. Jestem nie zmęczony. Good bye, inspektorze. Jadę do domu.

– Kiedy się zobaczymy? – spytał Hawkins.

– Zadzwońię do pana jutro z samego rana. Przypuszczam, że będzie pan miał już dla mnie jakieś ciekawe wiadomości.

– Postaram się. Czy potrzebuje pan jeszcze do ochrony sierżanta?

– Nie. Może go pan już zabrać ode mnie. Ale, ale, inspektorze... Bardzo bym chciał, żebyście nie pozwolili Forristerowi wyjechać z Londynu. Coś mi się zdaje, że dzisiejsze aresztowanie bardzo źle wpłynie na jego samopoczucie.

– All right. Niech pan będzie spokojny. Nie zwieje tak łatwo.

– Musimy pamiętać o tym, inspektorze, że to bardzo poważny przeciwnik.

– Damy sobie z nim radę. Nie ma obawy. Może pana odwiedzić do domu?

– Bardzo chętnie, jeżeli tylko ma pan dosyć czasu.

– Jeszcze zdążę porozmawiać z tym drabem. Jedziemy.

– Wie pan co – powiedział Gordon, gdy już obaj usadowili się wygodnie w aucie. – Wydaje mi się w tej chwili, że popełniliśmy jednakże duży błąd.

– O czym pan myśli?

– Mam wrażenie, że za wcześnie aresztowaliśmy Katarzynę

Heller.

– Przecież sam pan chciał.

– Tak, i właśnie dlatego czynię sobie teraz wyrzuty, ale z drugiej strony lepiej, że tak się stało, niż gdyby się miała nam wymknąć.

– Oczywiście, lepiej, że siedzą oboje.

Doktor zapalił papierosa i pogrążył się w zadu. Nie odezwał się już ani słowem. Hawkins także nie przerywał milczenia.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział wreszcie inspektor, gdy szofer zahamował maszynę. Gordon wyglądał tak, jak by się obudził.

– Dziękuję panu, inspektorze. Zadzwoń jutro. – Wysiadł z auta i spiesznie poszedł do siebie na górę. Był bardzo zmęczony. Czuł, że musi porządnie odpocząć, jeżeli chce, aby jego mózg pracował należycie.

– Dawaj kolację i przygotuj kąpiel – rozkazał Horacemu.

Służący bez słowa pobiegł spełnić polecenie. Od razu spostrzegł, że doktor nie jest w najlepszym humorze.

Niepotrzebnie chyba spłoszyłem tę bandę – myślał Gordon, przechadzając się dużymi krokami po gabinecie. – Jeżeli nie zdołam działać teraz błyskawicznie, gotowi się wymknąć z potrzasku. Do diabła.

Smaczny omlet z grzybami oraz kieliszek doskonałego wina wpływają zwykle dodatnio na poprawienie najgorszego nawet humoru. Toteż doktor zaspokoiwszy głód począł trochę pogodniej patrzeć w przyszłość. Ostatecznie dzisiejszy dzień mógł przecież śmiało zaliczyć do swoich sukcesów. Sądząc z zachowania się gospodyni Bissingera, w rozumowaniu swym nie pomylił się ani trochę. W tej chwili nie chciał jednakże o niczym myśleć. Czuł ogromne znużenie.

– Kąpiel gotowa, sir – posłyszał jakby z oddali głos Horacego. Rozebrał się pośpiesznie i poszedł do łazienki.

Ciepła woda przyniosła odprężenie mięśniom i nerwom. Gordon zanurzył się z rozkoszą w pachnącej wannie, myśląc mimo woli, że jednak życie posiada dużo uroku. Umył się szybko i pośpieszył do łóżka. Za chwilę spał już twardym, spokojnym snem.

Nazajutrz wstał bardzo wcześnie. Ubrał się i zjadł śniadanie w zawrotnym tempie, nie zważając na zgorzsną minę Horacego, który nie znoślił pośpiechu.

– Jeśliby kto dzwonił, powiedz, że będę około południa w domu.

Doktor chwycił płaszcz i kapelusz i wybiegł na ulicę. Od samego rana dręczyły go wyrzuty sumienia, że zaniedbuje karygodnie swe obowiązki zawodowe. Od razu też pojechał do szpitala.

Miss Marres, jak zwykle, powitała go bardzo chłodno i widać było, że jest z szefa ogromnie niezadowolona.

– Jakże się pan bawił na wycieczce? – spytała z sarkastycznym uśmiechem, oglądając pod światło rentgenowskie zdjęcie.

– A dziękuję pani. Wszystko dobrze poszło – odparł Gordon, udając, że nie dostrzega specjalnego tonu swej asystentki. Humory starej panny szczerze go zawsze bawiły. – Co nowego, miss Marres? Jak sobie pani dawała radę?

– Doskonale. Zdaje się, że doktor Dawisson chciał się z panem naradzić w jakiejś sprawie.

– Dawisson? A to świetnie. Zaraz go poszukamy. Ale skądże tu takie wspaniałe jabłka – dodał, wskazując kosz z pięknymi owocami. Miss Marres zarumieniała się zadowolona.

– Prawda, że piękne? Przyniosła mi je wczoraj jedna pacjentka ze swojego własnego ogrodu. Może pan doktor ją pamięta? Miss Parker.

– Ach tak, coś sobie przypominam. Leżała zdaje się w tej dużej separacie.

– Tak, tak, ta sama.

– Rzeczywiście ładny prezent. Piękne jabłka.

– Może pan doktor chce skosztować? Proszę bardzo! – zawołała z ożywieniem miss Marres. Gordon poczuł, że ma ogromną ochotę na jabłko.

– Chętnie, dziękuję pani. Ale niestety nie mam scyzoryka.

– Zaraz, zaraz. Widziałam tu gdzieś scyzoryk doktora Dawissona. Pewnie jest u niego w szufladzie. – Otworzyła pośpiesznie biurko i podała Gordonowi mały, zgrabny nożyk w

kościanej oprawie. – Proszę. Może pan sobie obrać najpiękniejsze jabłko.

Gordon otworzył scyzoryk i nagle drgnął.

– Czy to rzeczywiście nóż doktora Dawissona? – spytał spokojnie.

– Ależ tak. Na pewno. Dlaczego pan pyta?

– Nic. Tak sobie. Byłbym pani bardzo wdzięczny, gdyby pani była łaskawa poszukać doktora Dawissona.

– Bardzo chętnie. Już idę.

Gdy drzwi się za asystentką zamknęły, Gordon błyskawicznie chwycił telefon i połączył się z doktorem Pristem.

– Mówi Gordon – rzucił w słuchawkę. – Doktorze, proszę bardzo, żeby mnie pan odwiedził u mnie w szpitalu. Sprawa pilna. Niech pan nie mówi nikomu, że do pana telefonowałem.

– All right, all right – zamruczał staruszek. – Zaraz przyjeżdżam.

Gordon wsunął scyzoryk do kieszeni i wyszedł z gabinetu. Na korytarzu spotkał Dawissona.

– Dzień dobry – powiedział uprzejmie, ściskając dłoń młodego lekarza. – Co tam nowego?

– Ruch, jak zwykle – uśmiechnął się Dawisson. – Roboty mamy masę. Właśnie spotkałem miss Marres, która powiedziała mi, że chce pan ze mną mówić.

– Tak. Mam do pana parę spraw. Czy będzie miał pan chwilę czasu po południu? Może zjemy gdzieś razem lunch.

– Ależ najchętniej, panie doktorze. To dla mnie prawdziwy zaszczyt.

– No, no, nie przesadzajmy – uśmiechnął się Gordon. – A więc, powiedzmy, koło drugiej spotkamy się w gabinecie. Dobrze?

– Doskonale. Będę na pana czekał.

– A teraz chciałbym zobaczyć chorych.

– All right. Jeśli pan pozwoli, będę panu towarzyszył.

– Bardzo proszę.

Gordon w towarzystwie Dawissona odbył swój codzienny obchód, starając się z trudem skupić uwagę na pacjentach. W żaden sposób nie mógł dopuścić do tego, aby Dawisson

spostrzegł jego roztargnienie. Myślą jednakże był nieustannie gdzie indziej. Straszliwe przypuszczenie nie dawało mu spokoju. Czyżby to rzeczywiście było możliwe? Chorych badał pośpiesznie i niecierpliwie. Na zapytania Dawissona odpowiadał krótko, rzeczowo, nie wdając się w dłuższe rozmowy.

Gdy wrócił do swego gabinetu, posłyszał właśnie, że dzwoni telefon. Podniósł szybko słuchawkę. Był bardzo rad, że jest w tej chwili sam. Dzwonił portier z dołu, oznajmiając, że przyszedł doktor Prist i czeka w poczekalni.

Gordon nie tracąc ani chwili zbiegł pośpiesznie na dół. Doktor Prist oczekiwał go już rzeczywiście i bardzo się niecierpliwił.

– Co się znowu stało? O co chodzi? – spytał, widząc wchodzącego Gordona.

Ten rozejrzał się bacznie wokoło. Na szczęście poczekalnia była zupełnie pusta.

– Doktorze – powiedział cicho. – Sprawa jest niesłychanie pilna. – Wyjął szybko z kieszeni scyzoryk Dawissona i podał go staruszkowi.

– Co to znaczy? – zdziwił się Prist. – Na co mi ten nóż?

– Widzi pan ślady krwi na tym ostrzu?

– Widzę doskonale.

– Musi pan natychmiast zrobić mi dokładną analizę tych śladów. Niech pan postawi na nogi całe laboratorium. Trzeba to zbadać bardzo dokładnie. Wyniki muszą mieć dostarczone tutaj przed godziną drugą.

– Nie ma mowy. Nie zdążymy – mruknął niechętnie Prist, który był wiecznym opozycjonistą i nie wierzył z zasady, ażeby coś się mogło udać.

– Musicie zdążyć. Od tego zależy powodzenie naszej sprawy. Jeżeli by pan miał się spóźnić z tą robotą, proszę uprzedzić mnie telefonicznie. Dobrze?

– All right – zamruczał stary i nie żegnając się nawet z Gordonem, wyszedł ze szpitala. Jeszcze na ulicy kręcił gniewnie głową i mruczał coś pod nosem. Nie znosił takiego pośpiechu.

Tymczasem Gordon pomyślał chwilę i spokojniejszym już

krokiem udał się do kancelarii szpitalnej. Miał teraz sporo czasu.

Uprzejma urzędniczka przywitała go czarującym śmiechem.

– Czym mogę służyć panu doktorowi? Tak rzadko ostatnio pan doktor nas odwiedza.

– Wydaje mi się, że w zeszłym miesiącu robiono analizę krwi wszystkim funkcjonariuszom szpitalnym – powiedział bez żadnych wstępów Gordon.

– Tak. Dobrze pan doktor pamięta. To było w ubiegłym miesiącu.

– Czy mógłbym przejrzeć wyniki?

– Ależ proszę bardzo. – Panienska podała kartotekę.

– Dziękuję – powiedział Gordon i zabrał się pośpiesznie do przeglądania luźnych kartek. Wyjął z kieszeni ołówek i zanotował coś starannie w notesie. – All right. Bardzo pani dziękuję. Jest pani bardzo uprzejma – uśmiechnął się do urzędniczki. Dziewczyna płonęła rumieńcem, Doktor Gordon był od dawna podmiotem jej snów i marzeń.

Wyszedszy z kancelarii, Gordon udał się do siebie na górę i połączył się z Hawkinsem. Inspektor był w fatalnym humorze i odpowiadał półsłówkami. Katarzyna Heller oraz jej syn nie dali się dotychczas nakłonić do złością jakichkolwiek zeznań.

– Inspektorze – powiedział w słuchawkę Gordon. – Niech pan się tym tak bardzo nie przejmuje. Zaręczam panu, że ci ludzie prędzej czy później zaczną mówić. Na razie mam do pana taką prośbę. Chciałbym, żeby pan zjadł ze mną dziś lunch u Ritza. To jest związane ściśle z naszą sprawą. Proszę tylko się nie spóźnić. Punktualnie o drugiej. Dobrze?

– All right – rzucił Hawkins i odłożył słuchawkę.

Wszystko więc było na razie załatwione. Gordon spojrzął na zegarek i do pokoju przyjąć. Paru pacjentów z miasta przyszło po poradę.

Biała cisza szpitalnego korytarza. Długie wskazówki elektrycznego zegara posuwają się nieubłaganie naprzód. Minuty zamieniają się w godziny.

Gordon zaczynał się denerwować. Od doktora Prista nie było jeszcze żadnej wiadomości. Czyżby staruszek rzeczywiście nie

zdołał sobie poradzić? Trzeba było działać szybko, błyskawicznie. Kto wie, jakie zmiany w sytuacji mogły przynieść najbliższa godziny. Teraz już nie wolno było czekać. Teraz zaczynała się właściwa gra.

Punktualnie o wpół do drugiej zadzwonił telefon. , który już od dłuższego czasu czatował przy aparacie, podniósł natychmiast słuchawkę. Dzwonił doktor Prist. Tak, analiza krwi została przeprowadzona i pokrywa się całkowicie z poprzednią analizą. To nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Gordon podziękował i powoli odłożył słuchawkę. Czuł, że w tej chwili trochę ł. Właściwie w głębi duszy miał jednak nadzieję, że się myli. Tak, wołałby, żeby się tym razem pomylił.

W tej chwili wszedł Dawisson. Młody lekarz był uśmiechnięty i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

– Już jestem do pańskiej dyspozycji, panie doktorze – powiedział od drzwi. – Możemy iść.

– Doskonale. Zaraz się przebiorę. – Gordon zdjął płaszcz lekarski, umył starannie ręce i włożył marynarkę. – Jedziemy.

U Ritza tłoczno było, jak zwykle o tej porze. Gordon i Dawisson szukali nadaremnie wolnego stolika.

– O, jest mój znajomy! – zawołał Gordon, spostrzegłszy w głębi sali Hawkinsa. – Przysiadzimy się do niego.

Inspektor przedstawił się Dawissonowi i uprzejmie zaprosił obu lekarzy do swego stolika. Rzucił też przelotne, baczne spojrzenie Gordonowi.

– Ogromny tu ruch dzisiaj mają – powiedział, przeglądając kartę. – Mam wrażenie, że będziemy dość długo czekać.

– A, do diabła, zapomniałem papierosów – mruknął Gordon, sięgając do kieszeni. Hawkins nie odezwał się ani słowem. Wiedział doskonale, że doktor ma zawsze pełną papierošnicę.

– Kupię u portiera – zaproponował Dawisson, wstając.

– Nie chciałbym pana fatygować, panie kolego.

– Ależ głupstwo. Ja także nie mam co palić.

– Inspektorze – szepnął Gordon, gdy młody lekarz oddalił się. – Bardzo bym chciał zabrać tego typu do pana, do Yardu.

– All right – mruknął Hawkins. – Zrobione. Cóż to znowu takiego?

– Później. Zresztą zobaczy pan. Teraz nie ma czasu. Wraca.

Dawisson rzeczywiście ą papierosów przeciskał się przez gąszcz natłoczonych stolików.

– Są papierosy – powiedział wesoło. – A zaraz będzie i kelner. Już go zamówiłem.

– To świetnie – ucieszył się Gordon, który zawsze do końca umiał grać komedię bardzo starannie.

Rozmowa potoczyła się na tematy obojętne. Mówiono o teatrze, o polityce i o medycynie. Pojawił się wreszcie i kelner, który przyjął szybko zamówienie i odpłynął zaraz z powrotem, zręcznie lawirując w natłoczonej sali.

Hawkins starał się być bardzo rozmowny i przerzucał się z jednego tematu na drugi. Robiło to takie wrażenie, jak by się chciał popisać swą erudycją.

– Kiedyż pan mi pokaże te słynne zbiory? – spytał Gordon, gdy podano pieczyście.

– W każdej chwili jestem do pańskiej dyspozycji – odparł inspektor, nie zdradzając się z tym, że nie ma najmniejszego pojęcia o jakich zbiorach mowa.

– Cóż to za zbiory? – zainteresował się Dawisson.

– Mister Hawkins posiada wspaniałe zbiory motyli – pośpiesznie wyjaśnił Gordon. – Kompletował je na całej kuli ziemskiej.

– Ach, tak. To pan dużo podróżował?

– Owszem, dość dużo – przyznał skromnie Hawkins, który nigdy poza Anglię nie wyjeżdżał.

– To ciekawe. Chętnie bym zobaczył.

– Jeśli panowie macie czas i ochotę, to możemy po lunchu pojechać do mnie – zaproponował swobodnie inspektor.

– Doskonale – zgodził się Gordon. – Skorzystamy z pańskiego zaproszenia.

– Mam nadzieję, że nie zabierze nam to dużo czasu – powiedział Dawisson. – Muszę jeszcze dzisiaj załatwić kilka spraw na mieście.

– Ach, nie, nie. Mieszkam bardzo blisko – upewnił Hawkins, nalewając kieliszki.

– Może pójdziemy gdzieś wieczorem do teatru? –

zapropował Gordon.

– Bardzo chętnie. Już dawno nie widziałem nic dobrego.

– Musimy wobec tego sprawdzić, co dziś grają.

– All right.

Po skończonym lunchu trzech panowie wyszli z restauracji i Hawkins zaprosił swych gości do dużego czarnego „Chryslera”, który czekał na niego.

– Piękny wóz – powiedział z uznaniem Dawisson.

– Panowie wybaczą – uśmiechnął się inspektor, gdy ruszyli z miejsca – ale zapomniałem zupełnie, że mam coś jeszcze bardzo pilnego do załatwienia u siebie w biurze, więc jeśli panowie pozwolą, to może najprzód tam zajedziemy. To nie potrwa długo.

– Dobrze – zgodził się Gordon. – Jedźmy.

– A gdzie pan pracuje? – spytał Dawisson, zapalając papierosa.

– W Scotland Yardzie.

Inspektor zauważył, że przez pogodną twarz młodego lekarza przemknęła ledwo dostrzegalna chmura. Coś się tu święci – pomyślał, przyglądając się badawczo Dawissonowi.

Gordon tymczasem patrzył z roztargnieniem na ruchliwą o tej porze ulicę.

Samochód zatrzymał się przed Scotland Yardem.

– Zajdziecie panowie do mnie na chwilę? – spytał Hawkins otwierając drzwiczki.

– Oczywiście. Zobaczymy pański apartament przy okazji – powiedział z uśmiechem Gordon.

Obaj lekarze wysiedli z auta i udali się za inspekto. Gordon spoważniał nagle i starał się tak iść, żeby mieć Dawissona przed sobą.

Gdy znaleźli się już w gabinecie Hawkmsa, inspektor usiadł za biurkiem i poczęstował swych gości papierosami

– Proszę, może panowie zapalą – powiedział uprzejmie.

Gordon potrząsnął przecząco głową.

– No, kończmy już tę całą komedię – mruknął niechętnie.

Dawisson spojrział na niego zdumiony.

– Komedię?

– Tak. Domyśla się pan chyba, że chodzi o pana?

– O mnie? Nie rozumiem.

Gordon wykonał niecierpliwy gest.

– Chciałbym panu zadać jedno pytanie, mister Dawisson.

– Słucham.

Gordon podszedł bliżej i spojrzał mu prosto w oczy.

– Dlaczego pan zabił Roberta Bissingera? – spytał zniżając głos.

Rumiana twarz Dawissona poszarzała nagle, jak by ją kto posypał popiołem. W jednej chwili zrozumiał wszystko. Nie panując nad sobą zerwał się tak gwałtownie, że przewrócił krzesło i błyskawicznym ruchem dobył rewolweru.

– Spokojnie, młodzieńcze, spokojnie – rozległ się głos inspektora, który szybkim uderzeniem wytrącił broń z ręki lekarza. – Niech pan nie zapomina o tym, że jest pan moim gościem.

Dawisson rzucił się rozpaczliwie w kierunku okna. Gordon i Hawkins przytrzymali go za ramiona. Opadł bezwładnie na krzesło i spojrzał na nich nieprzytomnie. Nagle zaśmiał się.

– Ja nie zabiłem Bissingera! Nie macie na to żadnych dowodów, nie macie dowodów, cha, cha, cha!

– Trzeba zawsze staranniej wycierać scyzoryk – powiedział spokojnie Gordon. – Żal mi cię przyjacielu. Nigdy nie przypuszczałem, że do tego dojdzie.

– Panie doktorze! Niech mnie pan ratuje! Panie doktorze! Ja zawsze, ja wszystko dla pana – skowyczał Dawisson. Był szarozielony, żyły wystąpiły mu na czole, a w kącikach ust ukazała się piana.

– Niech go pan każe zabrać, inspektorze – powiedział z niesmakiem Gordon. – I tak teraz nic się od niego nie dowiemy.

Inspektor nacisnął dzwonek.

– Wyprowadzić tego człowieka – rozkazał, gdy policjant wszedł do gabinetu.

– Yes – rzucił służbowo policjant i zbliżył się do Dawissona. Ten już się zupełnie uspokoił. Siedział zrezygnowany, patrząc bezmyślnie w podłogę. Gdy policjant dotknął jego ramienia,

podniósł się i począł płakać.

– Żal mi tego chłopca – mruknął Gordon i zapalił papierosa.

– To naprawdę było dla mnie bardzo przykrą niespodzianką.

– Panie doktorze – powiedział po chwili Hawkins. – Mam wrażenie, że należy mi się jakieś wyjaśnienie. Przyznać muszę, że absolutnie nic nie rozumiem z tego wszystkiego. Dawisson zamordował Bissingera scyzorykiem? Ależ przecież Bissinger nie był nawet ranny.

Gordon wstał i przeszedł się po pokoju.

– Zaraz panu wszystko wytłumaczę – powiedział po chwili. – Jak panu wiadomo, od razu sprawa Bissingera wydała mi się bardzo podejrzana. Nie wierzyłem, że Bissinger umarł naturalną śmiercią. Zacząłem badać zwłoki i całe otoczenie. Bissinger miał czyste ręce od dłoni do łokci. To nasunęło mi myśl, że ktoś mu musiał ręce polewać ciepłą wodą. Poza tym zauważyłem, że w pobliżu kanapki widnieje duża kropla krwi podłódze, która po przeprowadzeniu analizy okazała się krwią Bissingera. Krew Bissingera znalazłem dziś zupełnie przypadkowo na scyzoryku Dawissona. Bissinger miał spore draśnięcia na rękach. Wszystko to razem...

– Ależ gdzież tu morderstwo?! – wykrzyknął niecierpliwie Hawkins.

– Niech pan zaczeka. Od razu pomyślałem, że takiego morderstwa mógł się dopuścić tylko lekarz albo człowiek bardzo wykształcony. Widzi pan, swego czasu przeprowadzano medyczny eksperyment na zbrodniarzach, polegający na tym, że zabijano ludzi za pomocą sugestii.

– Za pomocą sugestii?!

– Tak. Brano zbrodniarza skazanego na śmierć, zawiązywano mu oczy i oznajmiano, że zostanie stracony przez wypuszczenie krwi z żył. Po czym nakłuwano mu nieszkodliwie ręce i polewano je letnią wodą, aby miał wrażenie uchodzenia krwi. Po pewnym czasie, ściśle określonym, człowiek ten przestawał żyć.

– Nadzwyczajne! – wykrzyknął Hawkins. – Zupełnie nadzwyczajne.

– Tak. Siła sugestii jest olbrzymia i może nawet pozbawić

człowieka życia. Gdy ta możliwość przyszła mi do głowy, przypomniało mi się, że mniej więcej przed rokiem Dawisson żywo interesował się tym eksperymentem i pytał mnie nawet o coś w związku z tym. Zrodziło się we mnie podejrzenie, ale dopiero teraz...

– Ależ jaki motyw tej potwornej zbrodni?! – zawołał inspektor.

– Odpowiedzi na to pytanie udzieli nam albo sam Dawisson, albo szara limuzyna z Farrow – odparł doktor.

Rozdział piąty SZARA LIMUZYNA

Nie jest rzeczą łatwą odgrywać rolę detektywa, jeśli rozmyślanie o charakterze romantycznym nie dają człowiekowi spokoju. Nic więc dziwnego, że Antoni, któremu przed oczyma coraz częściej stawała zwiewna postać Elizy, z każdą niemal chwilą tracił zdolności wywiadowcze i zupełnie już nie wiedział, co sądzić o spacerach po suficie lub o tajemniczej szarej limuzynie. Robił wszystko, co było w jego mocy, aby wyświecić te nadprzyrodzone zjawiska, ale ponieważ jego wysiłki nie odnosiły dotychczas żadnego skutku, przeto z wolna poczynął przywykać do owych „duchów”, które, przynajmniej na razie, nie robiły mu żadnej krzywdy. Pokój w gospodzie Darlena był możliwy, jedzenie niezłe, a Eliza, córka profesora, z każdym dniem piękniejsza. Toteż Antoni coraz chętniej odbywał długie spacery w towarzystwie uroczej dziewczyny, a coraz niedbalej zajmował się sprawami niesamowitymi. Dostawszy w międzyczasie wiadomość od doktora Gordona, że sprawa jego portfela została już do pewnego stopnia wyjaśniona, uspokoił się zupełnie i począł jeszcze bardziej lekceważyć „duchy”, które służyły mu teraz raczej jako pretekst do przedłużenia pobytu w Farrow. Piękna Eliza była w dalszym ciągu nieszczęśliwabardzo zdenerwowana, ale na wszystkie pytania odpowiadała milczeniem lub zmieniała temat rozmowy. Antoni pragnął za wszelką cenę złamać upór dziewczyny i miał nadzieję, że w końcu jego starania zostaną uwieńczone sukcesem. Wyobrażał już sobie Elizę wypłakującą na jego męskiej piersi wszystkie żale i troski. Pragnął być jej pocieszycielem i obrońcą. Na razie, w czasie wspólnych przechadzek, snuł rozważania filozoficzne na temat świata i życia i pilnie obserwował, jakie robią wrażenie wypowiedane przez niego maksymy.

Ta miła jesienna sielanka rozwijałaby się zapewne bez

większych przeszkód ku obustronnemu zadowoleniu, gdyby...

Pewnego wieczoru Antoni wracał ze spaceru odurzony zapachem wędnących ziół oraz melodyjnym głosem Elizy. Szedł krokiem lekkim, sprężystym, czując w rękach i nogach wielką tężyznę i siłę. Zdawało mu się, że w tej chwili najlepszy bokser świata nie zdołałby go pokonać. Gotów był każdego wyzwąć do walki. Radość życia rozsadzała mu piersi.

Mrok gęstniał. Wczesny jesienny wieczór zamieniał się szybko w noc. Niebo zasnuło się ciemnymi chmurami. Zerwał się wiatr i czuć było w powietrzu zbliżający się deszcz.

Antoni przyspieszył kroku i zapiął szczelnie płaszcz pod szyją. Chciał jak najszybciej dostać się do gospody. Czuł, że zimno poczyna przenikać go na wylot.

Trzeba było włożyć gruby sweter – pomyślał z żalem.

Nagle posłyszał w ciemności przyciszoną rozmowę. Znieruchomiał i począł nadśluchować. Zupełnie wyraźnie poznał głos młodego Darlena. Przykląkł ostrożnie za jakimś dużym krzakiem i cały zamienił się w słuch.

– Do wszystkich diabłów – mówił Patrick. – Nie podoba mi się to wszystko. Stara siedzi, doktora także podobno nakryli. Mówię ci, że trzeba wiać.

– Nie twoja głowa – odezwał się drugi głos. – SzeF wie, co robi Nie bój się.

– A jakże – mruknął znowu Patrick. – Będę czekał, aż mnie przymkną. Ojciec już na mnie krzywo patrzy. Boję się, że się czegoś domyśla. Mam dosyć. Stary drapnie za granicę i tyle go będę widział. W razie czego na pewno nie będzie się o nas troszczył.

– A jak jutro?

– Jutro jeszcze trzeba załatwić. Podstawię maszynę jak zwykle i zaraz z Londynu jadę tutaj. Chciałbym, żebyś na wszelki wypadek kręcił się tu gdzieś w pobliżu.

– Boisz się tego faceta?

– Waltona?

– Uhm.

– Kto by się go bał. Jak mi będzie zawadzał, to go rąbnę i tyle. może się coś skomplikować. Wiesz co? Myślałem już o

tym, żeby przemalować wóz.

– Nie czas teraz na to. Jak się trochę uspokoi. Słuchaj no, Patrick, nie boisz się ty tak chodzić tutaj po nocy?

– A czegoż bym miał się bać?

– A tych duchów, co to łążą po suficie.

– Nic mi do nich. Co mnie to obchodzi. Ojciec się boi, ale ja...

– Co to może być? Jak ty myślisz? To lepszy numer niż twoja limuzyna.

– Diabli wiedzą – mruknął niechętnie Patrick. – Duchy i już. Nie mam do nich pretensji. Pomagają mi w robocie.

– No tak. Ludzie boją się tu podejść.

– Właśnie. Można wszystko spokojnie załatwić.

~ No to już ę domu. Deszcz zaczyna padać. Bywaj do jutra.

– Good bye.

Antoni posłyszał ciężkie oddalające się kroki, a za chwilę tuż koło niego mignęła sylwetka drugiego człowieka. Musiał to być Patrick Darlen.

Deszcz począł padać gęstszy i wiatr dał mroźny, północny. Antoni przeczekał parę minut, wreszcie podniósł się i ostrożnie ruszył w kierunku gospody. To, co posłyszał, wytraciło go zupełnie z równowagi. Patrick był zbrodniarzem, należał do jakiejś tajemniczej bandy. Szara limuzyna to jego dzieło, ale w takim razie jak można było sobie wytłumaczyć, że samochód poruszał się bez szofera? Kto jest owym tajemniczym szefem bandy? Co teraz robić? Co przedsięwziąć? Trzeba jakoś działać, ale jak? Może powiedzieć o wszystkim staremu Darlenowi, który najwidoczniej o niczym nie wie. Nie, nie, to nonsens. W ten sposób spłoszyłyby tylko opryszków. Tysiące nerwowych, bezładnych myśli przebiegało mu przez rozgorączkowaną głowę. Trudno było powziąć decyzję, obmyślić jakiś plan działania.

Tej nocy Antoni nie zmrużył oka. Siedział w swym pokoju kompletnie ubrany i przez uchylone drzwi nadśluchiwał pilnie. Postanowił wysledzić Patricka.

Godziny oczekiwania wlokły się w nieskończoność. Ciężkie, łożowane powieki opadały bezwładnie. Cisza była zupełna. Cały dom spał.

Wreszcie mrok począł za oknami szarzeć i szyba zarysowała się jaśniejszą plamą. Zbliżał się świt. Antoni podniósł się, przeciągnął zdrętwiałe ciało. Było mu zimno i miał w ustach przykry smak nieprzespanej nocy.

Nagle na dole cicho skrzypnęły drzwi. Antoni jednym skokiem znalazł się przy oknie. Ciemna pochylona postać szła szybko w kierunku furtki. Patrick! Bez namysłu Antoni zbiegł na dół i wypadł do ogrodu. Trzeba było teraz wysilić cały spryt na to, żeby śledzić młodego Darlena, nie będąc samemu widzianym.

Puste i ciche ulice rozbrzmiewały odgłosem samotnych kroków. Mokra kamień lśnił gładką powierzchnią w półmroku. Antoni szedł w znacznej odległości za Patrickiem, kryjąc się co chwilę za węglami domów. Posuwał się cichymi, szybkimi krokami, stąpając ciągle na palcach. Ciemny płaszcz i kapelusz zacierały jego sylwetkę w szarym, niepewnym świetle.

Młody Darlen, nie spodziewając się najwidoczniej, że może być śledzony, kroczył szybko naprzód, rozbryzgując energicznie nogami błoto. Był wysoki, barczysty, lekko pochylony ku przodowi. Ruchy miał zwinne, zdradzające siłę i pewność siebie.

Za miastem, na końcu, wąskiej, ciemnej uliczki, stała drewniana szopa. Ku niej to Patrick skierował swe kroki. Antoni przykucnął za jakąś pustą beczką i czekał. Pozawarczał motor i tuż koło niego przemknął duży samochód. – Szara limuzyna – szepnął, wpatrzony w oddalające się auto. Nagle poderwał się i począł biec przed siebie. Trzeba przecież działać. Nie można tak stać beczynnym. Ale co robić? Jak gonić Darlena?

W tej chwili Antoni przypomniał sobie, co mu mówił Gordon, Tak, to była jedyna możliwość. Nie zastanaąc się dłużej pędem puścił ę w kierunku postepolcji. Muą mu dać samochód!

Drzwi były oczywiście o tej porze zamknięte. Antoni począł więc walić w nie ze sił. Niewiele to jednakże pomagało, Głucha ła jedyną odpowiedzią.

Wreszcie jednak, na skutek rozpaczliwych okrzyków Antoniego, rozległo się jakieś potężne sapanie i zachrypnięty

głos spytał: – Kto tam?

– Proszę natychmiast otworzyć! Ścigam zbrodniarzy! Otwórzcie! Prędkiej! Prędkiej!

Zasuwy i rygle szczęknęły bez najmniejszego pośpiechu. W drzwiach ukazała się zaspana twarz policjanta.

– O co chodzi? Czego pan tak wali? Jacy zbrodniarze?

Antoni dość chaotycznie wyjaśnił całą sprawę, powołując się na doktora Gordona. Policjant flegmatycznie podrapał się za uchem.

– Doktor Gordon? Tak, wiem, ze Scotland Yardu. Owszem, prosił, żeby panu dopomóc. Więc o co właściwie chodzi?

– Potrzebuję natychmiast samochodu! – krzyknął zrozpaczony Antoni.

– Samochodu? O, z tym to będzie gorzej.

– Dlaczego?!

– A dlatego, mój panie, że nasz samochód wczoraj właśnie się popsuł. Ten wariat John urwał sprzęgło.

Antoni spojrzał bezradnie.

– Wszystko przepadło – powiedział cicho.

– Ale, ale – ożywił się nagle policjant. – Może pan umie jeździć na motocyklu?

– Oczywiście, że umiem.

– No to mamy bardzo dobry motocykl, prawie nowy. Gotowy do drogi, bo łaśnie kierownik...

– Dawaj pan ten motocykl! – przerwał nerwowo Antoni

– To chodźmy do garażu.

Motocykl rzeczywiście okazał się dobry, Antom bez trudu zapalił motor i błyskawicznie skoczył na siodło. W jednej chwili minął Farrowwypadł na szosę prowadzącą do Londynu. Świeże ślady świadczyły o tym, że szara limuzyna przejeżdżała tędy przed chwilą.

Antoni pochylił się nad kierownicą i dodał gazu. Silmotor rwał naprzód, rozbryzgując z impetem wodę nagromadzoną w kałużach. Rozdygotana maszyna gnała z taką siłą, jakby się chciała za chwilę unieść w powietrze. Antoni nie zważał na to, że szosa jest śliska i że każdy zakręt grozi katastrofą. Trzymał rękę na gazie i nie zmniejszał tempa. Była to szalona jazda,

którą mógł przyplacić życiem. Za wszelką cenę jednakże postanowił dogonić szarą limuzynę. Darlen widocznie także nie żałował swej maszyny, bo limuzyna zniknęła bez śladu. Dzień się już robił zupełny i duże czarne wrony zrywały się z przydrożnych drzew, spłoszone warkotem motoru.

Wreszcie Antoni zrozumiał, że Darlen miał zbyt dużą nad nim przewagę czasu, aby można było marzyć o dogonieniu go. Zwolnił więc trochę i począł się zastanawiać nad tym, co ma w dalszym ciągu przedsięwziąć. W Londynie można było szukać szarej limuzyny przez tydzień albo i dłużej. Jakież więc były szanse odnalezienia Darlena? Po namyśle Antoni postanowił skomunikować się z Gordonem.

Doktor spał jeszcze smacznie, gdy Horacy wszedł ostrożnie do jego pokoju.

– Czego mnie budzisz, u diabła?

– Przepraszam sir – szepnął Horacy – ale mister Walton przyjechał. Mówi, że sprawa bardzo pilna. Wspomniał o jakiejś szarej limuzynie.

– Walton?! – zawołał doktor i już zupełnie zbudzony wyskoczył z łóżka. – Podaj mi szlafrok. Prędko!

Horacy nerwowo otworzył szafę. Widział, że sytuacja jest poważna.

Gordon narzucił szlafrok i wybiegł do gabinetu. Wyciągnął rękę i przywitał się pośpiesznie z Antonim.

– Co się stało? – spytał. – Dlaczego przyjechał pan o świcie?

Antoni bezładnie opowiedział mu o wszystkim. Gorsłuchał uważnie, nie przerywając ani jednym słowem. Na koniec sięgnął po papierosa i począł szukać zapalek.

– Czy dobrze zapamiętał pan rozmowę Darlena w ogrodzie? – spytał po chwili.

– Zupełnie dobrze. Pamiętam każde słowo – odparł Antoni.

– I twierdzi pan, że młody Darlen nic nie wie o tych spacerach po suficie?

– Z tego, co mówił, wynika, że nie wie.

– Hm – mruknął doktor. – Dziwne. Przypuszczałem, że ta szara limuzyna i spacer po suficie są dziełem jednej i tej samej osoby. Dziwne.

– Co teraz zrobimy? – spytał niespokojnie Antoni. – Trzeba działać.

– No cóż – uśmiechnął się Gordon. – Będziemy się starali odnaleźć Darlena i jego limuzynę.

– W jaki sposób?

– Zobaczymy. Sposobów jest sporo. Ja osobiście mam wrażenie, że Darlen na pewno odwiedzi Forristera.

– Któż to taki?

– Właściciel sklepu z futrami.

– Cóż on ma z tym wspólnego?

– Dowie się pan o tym później. Na razie muszę się porozumieć z inspektorem. – Gordon nakręcił numer i czekał. Po chwili posłyszał zaspany głos Hawkinsa. – Przepraszam, że pana budzę, inspektorze, ale musimy zabrać się zaraz do roboty. Niech pan każe obstawić dobrze Forristera, sklep i jego mieszkanie prywatne. Chodzi o szarą limuzynę. Trzeba ją zatrzymać. Przy kierownicy Patrick Darlen. Tak, tak. Niech pan do mnie zaraz przyjedzie. I niech pan nie zapomni wysłać także kogoś do tej kamienicy z ogródkiem. All right. Czekam na pana.

– Czy przypuszcza pan, że znajdziemy go? – spytał niespokojnie Antoni

– Nic nie wiadomo – powiedział Gordon. – Na razie musimy zjeść śniadanie, bo na głodno nie ma sensu pracować. – Zawołał Horacego i kazał nakrywać do stołu. – Pójdę się ubrać i ogolić – zwrócił się do Antoniego. – Przepraszam pana na chwilę.

Po upływie dziesięciu minut Horacy oznajmił z zadowoleniem, że śniadanie gotowe. Gordon zawiązał pośpiesznie krawat i poprosił Antoniego do stołu.

– Niech mi pan powie, mister Walton – powiedział smarując kawałek chleba – czy nie zapamiętał pan numeru wozu?

– Nie – odpowiedział Antoni. – Wydaje mi się zresztą, że numer był zakryty.

– Bardzo możliwe. W każdym razie to nadzwyczajny zbieg okoliczności, że udało się panu podsłuchać rozmowę tych opryszków. To nam kolosalnie ułatwi robotę. Musimy się śpieszyć z jedzeniem, ponieważ inspektor powinien być tu lada

chwila.

Zaledwie doktor skończył mówić, gdy u drzwi wejściowych zabrzmiał niecierpliwie dzwonek i za chwilę do pokoju wszedł energicznie Hawkins.

– Cóż to znowu za sensacja, doktorze? Wyrwał mnie pan z głębokiego snu. Przyznam się, że byłem trochę zły na pana.

Gordon w paru słowach opowiedział przygody Antoniego.

– Chodzi teraz o to – dodał na zakończenie – żeby możliwie jak najprędzej wpaść na trop tej słynnej szarej limuzyny.

– Zrobiłem już, co było w mej mocy – zapewnił inspektor wysłuchawszy uważnie całej historii. – Wszystkie posterunki policyjne zawiadomione, wyloty z miasta pilnie strzeżone. Darlen nie powinien się wymknąć, jeżeli naturalnie nie zagarażował gdzieś wozu i nie ukrył się w jakiejś melinie.

– Nie sądzę – wtrącił Antoni. – Z tego, co słyszałem, ma on dziś jeszcze wrócić do Farrow.

– Tym gorzej dla niego, a tym lepiej dla nas – mruknął inspektor. – Co robimy, doktorze? Czy pan wie, że Katarzyna Heller wczoraj zaczęła mówić?

– To świetnie – ucieszył się Gordon. – Czy powiedziała już coś ciekawego?

– Na razie sypnęła tylko parę osób. Wydałem już rozkazy aresztowania. Ale o Forristerze nie chce nic mówić, albo udaje, albo rzeczywiście nic o nim nie wie. Czy pan chce gdzieś teraz ze mną jechać?

– Tak – powiedział Gordon wstając od stołu. – Bardzo bym chciał, żebyśmy wszyscy trzej odwiedzili panią Karolinę Vernant. Mam dziwne przeczucie, że mister Walton zna tę damę..

– Ja?! – Zdziwił się Antoni. – Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

– A jednakże przypuszczam, że ją pan pozna, jeżeli naturalnie nie zapomniał pan damy w sportowym wozie.

– Ach tak? Przypuszcza pan, że to ona?

– W każdym razie któraś z tych dwóch. Z całej listy lokatorów tego domu ta nauczycielka obcych języków najbardziej na to wygląda.

– Jedźmy więc – zniecierpliwiał się Hawkins.

Gordon szepnął coś w przejściu Horacemu i wszyscy trzej zbiegli pośpiesznie po schodach. Gdy wsiedli do wozu, inspektor podał szoferowi adres. Antoni od razu poznał ową „historyczną” kamienicę.

– Tak, to tu – powiedział z przekonaniem. – Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– To świetnie – uśmiechnął się Gordon. – Chodźmy na górę.

Madame Vernant spała jeszcze o tej porze i w żaden sposób nie chciała się zgodzić na wpuszczenie tak wczesnych gości. Wreszcie zniecierpliwiony Hawkins powiedział, że jest z policji i zażądał natychmiastowego otwarcia drzwi. Posłyszeli jakieś straszliwe zamieszanie, ale w końcu drzwi uchyliły się i w progu ukazała się niemłoda już kobieta w barwnym jedwabnym szlafroku. Na widok trzech mężczyzn cofnęła się przerażona.

– Czego panowie sobie życzą? – spytała niepewnie. – O tej porze?

– To ona – szepnął Antoni na ucho doktorowi

– Chcieliśmy z panią pomówić – powiedział sucho Hawkins.

– Jesteśmy ze Scotland Yardu.

– Ze Scotland Yardu? O co chodzi?

– Chwileczkę – wtrącił się Gordon. – Czy można wiedzieć, gdzie pani garażuje piękny sportowy wóz?

– Ależ ja nie mam samochodu. Jestem tylko skromną nauczycielką. To jakaś pomyłka, panie inspektorze.

– Chciałbym wejść do tamtego pokoju – rzucił doktor, wskazując przeciwległe drzwi. Madame Vernant zaprotestowała żywo.

– Ach nie, nie, proszę pana. Tam leży moja chora siostra. Przestraszy się. Proszę, niech panowie tam nie wchodzi!

Hawkins odsunął ją bezceremonialnie i pchnął drzwi.

– Proszę, niech pan wejdzie, doktorze – powiedział krótko.

Na drewnianym łóżku leżała dziewczyna niezwyklej urody. Fala rozplecionych ciemnych włosów otaczała jej głowę. Ogromne czarne oczy były szeroko otwarte. Na widok nieznanym krzyknęła przeraźliwie i skuliła się w kącie łóżka, drżąc na całym ciele.

– Ależ ja znam tę dziewczynę! – zawołał Gordon. – To Klementyna! Inspektorze, niech pan uważa na starą.

Ostrzeżenie było na czasie, ponieważ domniemana nauczycielka szybko sunęła w kierunku drzwi.

– Chwileczkę – warknął Hawkins – gdzie to się pani tak śpieszy.

W ręku pani Vernant błysnął browning. Padł strzał. Na szczęście Hawkins błyskawicznym ruchem zdążył podbić w górę uzbrojoną dłoń.

– Do wszystkich diabłów! – zaklął ze złością. – Tego już za wiele. – Pochwycił mocno wojowniczą damę i sprowadził ją na dół do samochodu.

Tymczasem Gordon, przy pomocy Antoniego, próbował uspokoić chorą. Trzęsa się ciągle i patrzyła na nich nieufnie.

– Czy każecie mi go zabić? Ja nie chcę, ja nie chcę. Puśćcie mnie! Puśćcie!

Gordon ujął ją za rękę.

– Proszę, niech się pani uspokoi – powiedział łagodnie. – Jestem lekarzem. Przyszedłem panią zbadać. Nikogo nie będzie pani zabijać. Obronimy panią. Niech się pani nie boi.

– Pan jest lekarzem? – spytała, przytomniejąc nagle.

– Tak. Jestem lekarzem i chcę pani pomóc.

Dziewczyna przestała drżeć i spojrzała na niego niemal zalotnie.

– A da mi pan trochę kokainy? – spytała cicho. – Tylko trochę, niedużo. Przecież pan jest dobry, bardzo dobry. Bissinger był także dobry.

– Dostanie pani wszystko – odparł Gordon. – Jeżeli tylko będzie pani grzeczna i posłuszna.

– Dostanę kokainy? Naprawdę? Dostanę kokainy? – zawołała z dziecięcą radością.

– Ależ tak, oczywiście. Proszę się uspokoić.

Gordon przeszedł do sąsiedniego pokoju i połączył się ze szpitalem. – Przyślijcie zaraz wóz i dwóch ludzi – rzucił w słuchawkę i podał dokładny adres.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Hawkins. Inspektor palił flegmatycznie papierosa i miał minę wyraźnie znudzoną.

– No i cóż? Cóż pan zrobił z naszą „nauczycielką”? – spytał doktor.

– Odesłałem ją pod dobrą opieką na miejsce przeznaczenia. Trzeba przyznać, że miał pan dobrego nosa. Czy pan wie, kim się okazał ten fryzjer z trzeciego piętra, ten Maurice Arne?

– Pojęcia nie mam.

– Niech pan sobie wyobrazi, że to jest syn Katarzyny Heller, któregośmy aresztowali, a który tak dzielnie stanął w obronie mamusi.

– Niemożliwe?! – zdziwił się Gordon! – Nigdy bym nie przypuszczał.

– A jednak tak. Właśnie jeden z moich ludzi przyniósł mi tę wiadomość.

– No, to powoli sytuacja zaczyna się wyjaśniać.

– Nie mogę tylko ciągle znaleźć odpowiedzi na jedno pytanie – mruknął Hawkins.

– Cóż pana tak gnębi, inspektorze?

– Dlaczego zamordowali Bissingera?

– Niech pan posłucha – powiedział doktor. – Moje przypuszczenia w tej sprawie są takie: Bissinger, jak sam mnie pan o tym poinformował, zaczął prowadzić podwójną niebezpieczną grę, żeby zdobyć pieniądze. Rujnowały go karty, jak również ta dziewczyna, która leży w sąsiednim pokoju. Takie historie jednakże nie udają się nigdy na dłuższą metę. Niebawem ziemia poczęła się palić pod nogami Bissingera, który przerażony tym wszystkim zapragnął się jakoś wydostać z trudnej i niebezpiecznej sytuacji. W tym właśnie czasie nawiązał kontakt ze znakomicie zorganizowaną bandą fałszerzy pieniędzy.

– Dlaczego przypuszcza pan – przerwał inspektor – że to byli fałszerze pieniędzy?

– Dlatego, że list mający skompromitować Waltona napisany był na papierze, na którym drukowane są nasze funty. Kawałek takiego samego papieru znalazłem też przypadkowo koło gospody Darlena. To mnie naprowadziło na myśl, że mamy do czynienia z fałszerzami pieniędzy.

– Bardzo prawdopodobne – mruknął Hawkins.

– A teraz dalej – kontynuował przerwana myśl Gordon. – Bissinger nadawał się świetnie do tej roboty, ponieważ przebywając na placówce zagranicznej, mógł z łatwością przemycać fałszywe dolary, funty i franki. Zgodził się na tę robotę, chcąc za wszelką cenę zdobyć potrzebne pieniądze, aby wypłatać się z tamtej afery. Jednakże musiał się czymś narazić bandzie, która bojąc się wyspy postanowiła go zlikwidować. Początkowo chciano użyć do tego jego kochanki, tej nieszczęśliwej Klementyny, ale potem Dawisson wpadł na inny, o wiele lepszy pomysł.

– Czy pan od razu podejrzewał Dawissona o udział w zbrodni?

– Nie, skądże. Na myśl mi nie przyszło, że to może chodzić o niego. Dopiero jak znalazłem kartkę w sklepie Forristera.

– Jaką kartkę?

– Podczas mojej pierwszej bytności u Forristera, kiedy to szukałem tego przystojnego bruneta, zauważyłem na podłodze przypadkowo małą kartkę papieru, na której było napisane: „Farrow – 127”. Co oznacza ta cyfra, nie wiem do tej pory. Zapewne jakiś szyfr bandy. Co innego natomiast zwróciło moją uwagę, a mianowicie charakter pisma. Na drugi dzień w szpitalu przejrzałem uważnie recepty zapisane przez Dawissona i doszedłem do przekonania, że to on był autorem tej krótkiej notatki. Na wszelki wypadek porozumiałem się z ekspertem grafologiem, który potwierdził moje przypuszczenia. Zacząłem więc pilniej przyglądać się Dawissonowi. Później to tajemnicze zniknięcie ze szpitala Klementyny, no i wreszcie historia ze scyzorykiem, na którym znalazłem ślady krwi Bissingera.

– Trzeba przyznać, że banda świetnie zorganizowana – powiedział Hawkins.

– Znakomicie. Przypuszczam, że posiadają swe agentury we wszystkich większych miastach Europy. Mieli tylko paru niewyrobionych ludzi i to ich zgubiło.

– Mówi pan o Dawissonie?

– Oczywiście o Dawissonie i o Darlenie, który używał kompromitującego papieru do robienia notatek. Zawsze w takich sprawach decydują drobiazgi.

– Kogo pan uważa za głównego szefa – spytał inspektor. – Zapewne Forristera?

Doktor skinął głową.

– Tak. Forrister najbardziej wygląda mi na poważną osobistość w tej sprawie. Jest niesłychanie wyrobiony i opanowany. Boję się też, żeby się nam nie wymknął.

– Nie ma obawy. Pilnuje go dobrze Rinc ze swoimi ludźmi.

– Myślę jednak, że dobrze by było go odwiedzić – zauważył Gordon.

– All right. Pojedziemy do niego.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

– Come in – zawołał Hawkins. Weszło dwóch barczystych sanitariuszy z kaftanem bezpieczeństwa.

– Ach, nie potrzeba takich historii – uśmiechnął się Gordon.

– To nie jest żaden niebezpieczny furiat.

Przeszli do sąsiedniego pokoju, gdzie Antoni zdołał już trochę uspokoić chorą. Na widok jednakże nowych twarzy zerwała się gwałtownie i przyciskając kurczowo prześcieradło do piersi, szeptała coś z przerażeniem.

– Zajmijcie się nią i oddajcie w szpitalu pod opiekę miss Marres. Powiedzcie, że specjalnie zależy mi na tej pacjentce – powiedział Gordon. – A my jedźmy do Forristera, inspektorze – zwrócił się do Hawkinsa.

– Żal mi tej małej – odezwał się Antoni, gdy schodzili ze schodów. – Czy sądzi pan, panie doktorze, że będzie ją można wyleczyć?

– To nigdy nie wiadomo. Ale trzeba mieć nadzieję, że tak. Trudno mi się w tej chwili zorientować w jej stanie. Z narkomankami zazwyczaj dość trudno sobie poradzić, ale jest młoda, więc możliwe, że się z tego wydobędzie.

Wsiedli do samochodu i Hawkins kazał jechać do sklepu Forristera. Z daleka już spostrzegł Rinca, który przechadzał się cierpliwie po drugiej stronie ulicy.

– Co nowego? – spytał Hawkins. – Czy Forrister jest u siebie?

– Tak. Od rana nigdzie nie wychodził.

– A szarej limuzyny nie było?

– Nie, nie widziałem.

– All right. Chodźmy.

Sympatyczna panienska powitała ich uprzejmym uśmiechem.

– Czym mogę panom służyć? – spytała, patrząc w oczy Antoniemu.

– Chcieliśmy się widzieć z panem Forristerem – powiedział Gordon.

– Niestety. Bardzo żałuję, ale pana Forristera nie ma obecnie w sklepie.

– Jak to nie ma? – zdziwił się Hawkins.

Panienska spojrziała na niego niechętnie.

– Nie ma. Wyszedł do miasta.

– To niemożliwe. – Hawkins wierzył Rincowi – To niemożliwe. Jesteśmy z policji. Bardzo nam przykro, ale musimy przeprowadzić rewizję w całym lokalu.

– Proszę – wzruszyła ramionami ekspedientka. Inspektor z zawodową wprawą obejrzał dokładnie sklep, magazyn i biuro. Forristera rzeczywiście nigdzie było.

– Co u diabła – mruknął Hawkins, wychodząc na ulicę. – Słuchaj no, Rinc – zwrócił się do detektywa. – Forristera nie ma w sklepie.

– Niemożliwe! Mogę przysiąc, że nie wychodził. Od rana go pilnuję.

– Niech się pan nie przejmuj, inspektorze – powiedział Gordon. – Musi tu być jakieś ukryte wyjście, w którym wtedy także zniknął ten młodzieniec. Ale nie warto się tym w tej chwili zajmować. Zaręczam panu, że Forrister już nigdy nie wróci do swego sklepu.

– Więc? – zaniepokoił się inspektor.

– Więc albo zdołamy go schwytać w Londynie, albo trzeba go będzie szukać nieco dalej.

– Do wszystkich diabłów – zaklął Hawkins. – Tak głupio pozwolić mu zwać.

– Może trochę działaliśmy za nerwowo – przyznał Gordon. – Ale trudno, stało się. Niech pan każe obstawić wszystkie dworce, szosy i trzeba zawiadomić władze portowe. Lepiej byłoby, żeby ten ptaszek nie wyfrunął z Anglii

– All right, all right – mruknął Hawkins, wsiadając do samochodu. – Pojedziecie ze mną do Yardu?

– Tak.

Maszyna ruszyła z miejsca i skręciła w pierwszą przecnicę.

– Nie miałeś żadnej wiadomości o tej limuzynie? – spytał inspektor Rinca.

– Nie. Nic o niej nie wiem. Może będą w Yardzie jakieś meldunki.

– Głupia historia, bardzo głupia historia – mruzczał Hawkins. Widać było, że jest bardzo zdenerwowany i niezadowolony z siebie.

– Niech się pan nie przejmuj, inspektorze – pocieszał go Gordon. – Jakoś to będzie.

– Trzeba było już dawno aresztować tego łotra! – wybuchnął Hawkins. – Teraz diabli wiedzą, gdzie go szukać!

– Szara limuzyna! Szara limuzyna! – krzyknął nagle Antoni takim głosem, aż wszyscy podskoczyli na siedzeniu.

– Co? Gdzie? Jak?

– Jedź za tym wozem! – zawołał podniecony Hawkins. – Gazu!

W tej chwili jednakże policjant zatrzymał ruch i szara limuzyna zniknęła w tłumie samochodów.

Inspektor krzyczał, przeklinał, złorzeczył. Nic jednakże nie pomogło. Musieli czekać na skrzyżowaniu. A tymczasem Patrick Darlen ze swoim wozem był już daleko.

– Co teraz zrobimy? – spytał Rinc, rozglądając się bezradnie. – Nie wiadomo przecież, w którą ulicę skręcili.

– Ja myślę, że musimy jechać do Farrow – powiedział Antoni. – Przypuszczam, że właśnie tam ich znajdziemy.

– All right. Jedźmy do Farrow – zgodził się Hawkins, który już trochę ochłonął z pierwszej złości.

Szofer zmienił bieg i ruszył we wskazanym kie. Maszyna prowadzona wprawną ręką prześlizgiwała się zręcznie w tłumie innych samochodów. Mijali ulice, place, bulwary. Wreszcie wydostali się na szosę i zwiększyli szybkość.

– Czy wszyscy panowie macie przy sobie broń? – spytał Gordon.

– Yes – odpowiedzieli niemal chórem, a Antoni odruchowo dotknął kieszeni.

– Czy myśli pan, że będzie strzelanina?

– Trzeba być na wszystko przygotowanym.

– Nie wiadomo, czy oni rzeczywiście pojechali do Farrow – mruknął zasepiony Hawkins.

– Musimy jednakże to sprawdzić. Przecież nie wiedzą, że ich ścigamy, więc bardzo możliwe, że chcą jeszcze coś w Farrow załatwić.

– Gazu! – zawołał niecierpliwie Hawkins, któremu ciągle szybkość wydawała się za małą. – Gazu!

– Yes – odparł lakonicznie szofer i nacisnął pedał. Maszyna rwała teraz jak szalona, zarzucając silnie na wirażach. Chwilami wydawało się, że wóz wyskoczy z szosy. Wreszcie na horyzoncie ujrzeli pierwsze zabudowania .

– Zaraz się przekonamy – mruknął Antoni i pochylił się do szofera, żeby mu wskazać drogę.

Na bocznej szosie, niedaleko gospody Darlena, stała lśniąca, szara limuzyna.

– Jest! – zawołał triumfalnie Hawkins.

– Wiech pan tutaj stanie – powiedział Gordon. – Nie trzeba ich spłoszyć.

„Chrysler” Hawkinsa zmniejszył szybkość i stanął z boku szosy za dużym pnem strzaskanego piorunem drzewa.

– Jeżeliby się próbował cofać, zastawisz mu drogę wal z automatu. Rozumiesz? – rzucił Hawkins, wyskakując z wozu.

– Yes, sir – odparł szofer.

– Rinc ze mną, zajdziemy im od przodu, mister Walton z lewej strony, pan, doktorze, z prawej. Broń mieć w pogotowiu.

– All right.

Szli ostrożnie w kierunku nieruchomej limuzyny. Gdy podeszli już zupełnie blisko, spostrzegli, że okna samochodu były zasłonięte ciemnymi firankami. Rinc z Hawkinsem, zgodnie z ustalonym planem, wyskoczyli na szosę o kilkanaście metrów przed maszyną. Obaj trzymali rewolwery gotowe do strzału. Cisza. Żadnego głosu ani poruszenia wewnątrz wozu.

Gordon wyszedł z przydrożnego rowu i w kilku skokach

znalazł się przy limuzynie. Energicznym ruchem szarpnął drzwiczki i zajrzał do wnętrza. Samochód był pusty.

Doktor skinął w milczeniu na towarzyszy, którzy zbliżyli się pośpiesznie.

– Co to znaczy? – zdumiał się Hawkins, zniżając mimo woli głos do szeptu. – Co to jest, u diabła?

Gordon usiadł szybko przy kierownicy i zapuścił motor.

– Doktorze! Co pan wyprawia?

Szara limuzyna potoczyła się wolno i stanęła o kilkanaście metrów dalej.

Na szosie, w miejscu gdzie przed chwilą stała limuzyna, widać było wyraźnie duże betonowe koło, wpuszczone w żwir.

– Właz – szepnął Antoni. – Niesłychane.

– Chodźcie do wozu – powiedział Gordon – pokażę wam coś ciekawego.

Hawkins szybko zbliżył się do doktora.

– Niech pan spojrzy, inspektorze. – To mówiąc Gordon wyjął sporą paczkę owiniętą w papier.

– Dolary! – zawołał inspektor. – Paka dolarów, a więc miał pan rację.

– I jeszcze to – uśmiechnął się doktor. – Sprytnie pomyślane, co?

Na dnie samochodu widać było wyraźnie dużą, okrągłą klapę z metalową rączką.

– Do diabła! – krzyknął Hawkins. – To rzeczywiście dobrze pomyślane. Nie wysiadając z wozu, wchodził do włazu i podziemnym przejściem dostawał się do gospody. Do diabła!

– Tak, to bardzo sprytnie – uśmiechnął się doktor.

– Ale że nikt nie zauważył tego na szosie – odezwał się Hinc.

– Za każdym razem zasypywali właz żwirem – objaśnił doktor. – Było to trochę pracowite, ale opłacało się. Ale, ale, panowie, my tu gadamy sobie, a ja bym jednakże doradzał pilnować tego przejścia. Coś mi się wydaje, że nasi przyjaciele zechcą z powrotem dostać się do limuzyny, i to możliwie jak najszybciej.

– Co zrobimy? – spytał Antoni.

– Myślę, że najmądrzej będzie postawić maszynę na swoim

miejscu, żeby ich za wcześnie nie spłoszyć – powiedział Hawkins.

– All right – zgodził się Gordon i cofnął wóz. Potem szybko otworzył maskę i przez chwilę coś majstrował w motorze. – W porządku. Teraz nie ruszą z miejsca.

Otoczyli z daleka samochód i czekali cierpliwie.

– Idzie – szepnął cicho Antoni.

Rzeczywiście dał się słyszeć jakiś szmery jakby kasznięcie, po czym coś stuknęło. Ktoś się sadowił w samochodzie.

– Jazda – posłyszeli rozkazujący głos. Zgrzytnął starter, ale motor nie zapalał. – Co, u wszystkich diabłów. Prędeży!

Hawkins nagłym szarpnięciem otworzył drzwiczki samochodu i skierował wewnątrz lufę rewolweru.

– Ręce do góry!

Zaskoczenie było kompletne. Patrick Darlen i Forrister oniemieli z przerażenia. Z drugiej strony wozu ukazali się jednocześnie Gordon, Rinc i Antoni. Inspektor z niezwykłą wprawą założył błyskawicznie opryszkom kajdanki.

– All right – uśmiechnął się zadowolony. – Nareszcie wszystko w porządku.

Gordon wskazał na duże paki banknotów.

– Niech pan patrzy, inspektorze, ile tu pięknie zrobionej forsy – powiedział wesoło. – Nie chcieli tego zostawić i dlatego trochę opóźnili swój wyjazd. – Otworzył motor i pomajstrował w nim znowu. – Może pan ich odwieźć własnym wozem, inspektorze. Ja z panem Waltonem pojedę pańskim.

– Ja tu jeszcze zostaję – powiedział Antoni.

– Zostaje pan?

– Tak. Mam jeszcze coś do załatwienia.

– To w takim razie przyjadę po pana wieczorem.

– Dobrze. Bardzo dziękuję.

Antoni ukłonił się i wolno ruszył w kierunku gospody Darlena. Był dziwnie przygnębiony i czuł jakiś wewnętrzny niesmak po tym wszystkim.

Oberżysta, ogromnie podniecony, przywitał go widocznego zdenerwowania.

– Widział pan, mister Walton? Widział pan?

- Co? – spytał niechętnie Antoni.
 - Znowu ta limuzyna. Widziałem na własne oczy.
 - Niech mi pan lepiej da coś do jedzenia. Jestem głodny.
- Darlen spojrział na niego ze zdziwieniem.
- Nie interesuje to pana?
 - Już nie. Chce mi się jeść.
 - Zaraz, zaraz. Coś dobrego dzisiaj mam dla pana.

Antoni obserwował grubasa i namyślał się nad tym czy ma mu powiedzieć wszystko, ale wreszcie postanowił nie mieszać się do łych spraw. I tak przecież jutro będzie tu policja, a może nawet jeszcze dzisiaj. Będą robić rewizję, wezmą starego na badania. Zrobiło mu się przykro. Pragnął już jak najprędzej wydostać się stąd. Nagle poczuł, że jest bardzo zmęczony. Nie spał przecież całą noc, a cały dzień żył bez przerwy nerwami. Postanowił więc zjeść coś, a potem przespać się trochę i pójść do Elizy.

Okazało się jednak, że projektowana drzemka przedłużyła się trochę i Antoni zbudził się dopiero późnym wieczorem.

Lada chwila może przyjechać po mnie Gordon – pomyślał, zrywając się z łóżka. – A przecież jeszcze muszę zobaczyć się z Elizą. – Ubrał się pośpiesznie i wybiegł z domu.

Noc już była zupełna. Dalekie okna błyszcząły światłem. Na niebie zapalały się gwiazdy.

Gdy Antoni zbliżył się do domu profesora, nagle stanął i spojrział uważnie. Tuż koło furtki spostrzegł Elizę, a obok niej barczystą postać brodatego Pingsa. Już miał podejść do nich i przywitać się, gdy słowa, które posłyszał, zatrzymały go na miejscu.

– Jeżeli będziesz uparta, zatłukę cię na śmierć – warknął brodac.

– Ależ ojczu, zrozum – błagała dziewczyna. – Ja już dłużej nie mogę. Ja oszaleję.

– Możesz szaleć, ile ci się podoba, ale musisz mi być posłuszna, rozumiesz?!

W Antonim serce zamarło. Co to jest? Co to wszystko znaczy?

Pings szarpnął córkę i pociągnął ją za sobą. Antoni ostrożnie posuwał się za nimi.

Tajemnicza para zmierzała w kierunku ogrodu Darlena. Eliza już się zupełnie uspokoiła i szła posłusznie koło ojca. Antoni zauważył, że profesor niósł długą tyczkę.

Weszli do ogrodu. Pings posuwał się teraz wolno, prowadząc za rękę dziewczynę. Szli prosto do sali restauracyjnej. Antoni osłupiał i tamując oddech w piersiach czekał na to, co się stanie.

Pings cicho otworzył okiennicę i Eliza zwinnym ruchem skoczyła do środka.

– Elizo! Elizo! – krzyknął Antoni, nie panując już nad sobą. Nagle ujrzał przed sobą ogromną twarz brodacza i poczuł, jak żelazne kleszcze zaciskają mu się wokół szyi. Szarpnął się rozpaczliwie i stracił przytomność.

Gdy otworzył oczy, był piękny, słoneczny dzień. Dźwignął się z trudem i spojrzał zdumiony dokoła. Leżał w jasnym, białym pokoju na wygodnym łóżku. Siadł i zakaszał. Co to było? Co się właściwie stało? Pod oknem stoi doktor Gordon w białym kitlu.

– Panie doktorze!

– No i cóż? Lepiej panu? – spytał Gordon odwracając się do Antoniego.

– Panie doktorze, co to znaczy. Gdzie ja jestem? Co się stało?

– Nic się takiego nie stało. Niech pan będzie zupełnie spokojny. Znowu zjawiłem się w samą porę. Ten Pings byłby pana chyba udusił.

Antoni przymknął oczy i w jednej chwili cała niedawna scena odżyła w jego wyobraźni.

– Gdzie Eliza? – spytał cicho.

– Jest w sąsiednim pokoju. Zabrałem ją także do szpitala. Była bardzo wstrząśnięta, ale już dobrze – powiedział Gordon.

– Co to wszystko znaczy, panie doktorze? Nic nie rozumiem. Dlaczego Eliza? Dlaczego profesor? Niech mi pan to wytłumaczy.

– Dobrze – zdecydował się doktor. – Wszystko wyjaśniła mi ta dziewczyna, nie chciałbym jednakże, aby pan rozmawiał z nią na ten temat. Musi się uspokoić. Już wolę sam panu

opowiedzieć tę niesamowitą historię.

– Będę panu niesłychanie wdzięczny, panie doktorze.

– Profesor Pings zwariował – zaczął Gordon. – Dostał bardzo oryginalnej manii, która mimo wszystko pozwalała mu zupełnie spokojnie pracować w szkole i o której wiedziała tylko jego córka.

– Ale co to takiego było? – zniecierpliwił się Antoni.

– Zaraz się pan dowie. Pingsa porzuciła żona, którą on bardzo kochał, a ona nie mogła znieść tego, że jej mąż był tylko małomiasteczkowym nauczycielem. Pings popadł po tym w stan maniakalny i zapragnął zrobić coś takiego, żeby jego mała miejscina stała się sławna na całą Anglię, a może nawet na cały świat. Wpadł na szalony, a zarazem niezwykły pomysł, aby urządzić te spacery po suficie, które miały zainteresować wszystkie towarzystwa naukowe. Częściowo dopiął swego. Obrął sobie za miejsce tych poczynań gospodę Darlena i przy pomocy Elizy, którą terroryzował, znaczył owe tajemnicze ślady na suficie.

– Ale w jaki sposób?

– Całkiem po prostu. Stawiał sobie na ramionach dziewczynę, która odbijała na suficie ślady zabłoconych butów, umieszczonych na kiju. Później Pings ł swój system i zamiast zabłoconych butów używał wyciętych z papieru śladów, które jednakże musiał sam zdejmować. Dlatego wtedy nie mogliśmy zauważyć świeżej farby na suficie. Eliza delikatnie przyklejała czymś te ślady, a następnie zdejmowała je. Biedna dziewczyna była już u kresu sił.

– Czy mógłbym ją zobaczyć, doktorze? – spytał Antoni wyskakując z łóżka.

– Dobrze. Tylko jeden warunek. Niech ją pan nie męczy żadnymi pytaniami.

Antoni ubrał się pośpiesznie.

Eliza leżała spokojnie, z szeroko otwartymi oczami. Ujrzawszy Antoniego uśmiechnęła się.

– Tak się cieszę, że pan przyszedł.

– Zostawiam was samych – powiedział wesoło Gordon. – A nie zapomnijcie zaprosić mnie na wesele.



Cena 10zł

– Tak, to dziwne, to bardzo dziwne – powiedział cicho doktor, nie zwracając uwagi na ironiczny ton Antoniego. – Skąd ten portfel u Bissingera? Przyzna, mister Walton, że to jest bardzo obciążający dowód przeciw panu.

Oczywiście. Tym niemniej ja nic nie mam wspólnego z tą sprawą. Podałem już panu szereg poważnych osobistości, na które się mogę powołać. Mogą panowie sprawdzić dokładnie, kim jestem.

– Tak, tak – mruknął Gordon. – Czy jest pan pewien, że w Farrow w gospodzie Darlena miał pan jeszcze ze sobą ten portfel?

– Oczywiście. Włożyłem do niego kilka starych rachunków, żeby mi nie zawadzały.

– Kiedy pan spostrzegł brak portfelu?

– Dopiero teraz, jak panowie mi go pokazali.

W tej samej serii ukaza się wkrótce:

Peter Cheyney - Kat czeka niecierpliwie

Arthur Conan Doyle - Pies Baskerville'ów

Wawrzyniec Hauser - Wszystko zdarza się wieczorem

Antoni Marczyński - Kłopoty ze spadkiem